



**Scot Alicia**

**Mężczyzna z przeszłością**

Tytuł oryginału Brandon's Bride



## PROLOG

Ray Bands mógłby liczyć kolejne dni ilością pogniecionych torebek po precelkach i pustych puszek po niskokalorycznych napojach. Mnóstwo tych opakowań wałało się na metalowej podłodze furgonetki z aparaturą podsłuchową. Pierwszego dnia pomyślał o przyniesieniu kosza na śmieci, ale zaraz porzucił ten pomysł. Teraz brodził po szeleszczącym, pokrytym solą celofanie i nawet tego nie zauważał. Zresztą furgonetka i tak nie należała do niego. A w jego pracy schludność nie miała znaczenia.

Ważne były rezultaty.

Jeszcze raz się przeciągnął, prostując ramiona, pogimnastykował swoją starą, trzeszczącą szyję i poprawił słuchawki. Ekran nadal był ciemny, a duże rolki taśm tkwiły w bezruchu, gotowe do nagrywania, gdyby aparatura zarejestrowała jakiś dźwięk. Nic się jednak nie działo. Ray oparł stopy o puste kartonowe pudło, otworzył nową torebkę beztłuszczowych precelków i utkwiał w nich ponure spojrzenie. Wolałby złociste, smażone frytki.

Ray wychował się w czasach, gdy żywność była po prostu żywnością, a człowiek cieszył się, że ma co jeść. Nie istniało

żadne beztłuszczowe to czy tamto. Pół wieku temu nikt by nie uwierzył, że jedzenie zawierające o wiele mniej wszystkiego - mniej tłuszczu, mniej soli, mniej cholesterolu oraz - na Boga - mniej smaku - może kosztować więcej. To przechodziło ludzkie pojęcie.

W zeszłym roku Ray poznał Melissę, wyszczekaną nauczycielkę aerobiku - amatorkę płatków owsianych z mlekiem, miodem i owocami. Miała o kilkadziesiąt lat mniej niż on i była taka piękna, że na jej widok z wrażenia zaniemówił. Przekonała go do konsumpcji chrupek z dmuchanego ryżu, chudego mięsa i surowych warzyw. Rzucił palenie. Przestał pić piwo. Zapisał się do klubu odnowy biologicznej, gdzie młode kuszące ciała przeżyły się przed lustrzaną ścianą tak bezwstydnie, że nie wiedział, gdzie podziać oczy.

W nocy budził się czasem, żeby popatrzeć na śpiącą Melissę.

Wyglądała tak ślicznie! Jej ciemne, lśniące włosy otaczały bladą, eteryczną twarz. Patrzył na nią i zastanawiał się, co taka słodka dziewczyna robi z takim starym dziadem jak on. Nawet przemknęła mu myśl, czy czasem Melissa nie jest z KGB. Te czasy jednak należały do przeszłości. Skończyły się misje jak z filmów o Jamesie Bondzie. Złe imperium już nikomu nie zagrażało. Przeżył tę epokę i nie doświadczył nawet połowy atrakcji, których się spodziewał. Do licha, za cztery lata przechodził na emeryturę, i właśnie odebrano mu aktualną sprawę. Teraz miał podsłuchiwać bankiera z Wall Street, który ostatnio pracował tylko wtedy, kiedy chciał.

Jak na życzenie, ekrany nagle ożyły. Na ich ciemnym tle pojawiły się jasne, faliste linie o zróżnicowanym apogeum, uzależnionym od natężenia odbieranego dźwięku. Brandon Ferringer w końcu się obudził w swoim apartamencie na Manhattanie.

Rayowi powiedziano niewiele o obiekcie inwigilacji. Fer-

ringer zaliczał się do kategorii bajecznie bogatych poszukiwaczy mocnych wrażeń. Przed czterema laty został wdowcem. Od tego czasu nieustannie jeździł po świecie, zawzięcie szukając przygód lub śmierci - w zależności od tego, jak na to popatrzeć. Właśnie wrócił z Nepalu. Ta eskapada chyba dała się Ferringerowi mocno we znaki, ponieważ spał przez pięć dni i nocy. Najwyraźniej przed chwilą wstał. Ray wreszcie usłyszał odgłosy krzątania.

Wyregulował odbiór i wlepił wzrok w cztery główne ekrany.

Mikrofon zainstalowany w łazience zarejestrował szum włączanego prysznica, a następnie charakterystyczne szuranie. Ktoś wycierał ciało ręcznikiem. Po chwili przeszedł przez hol i mikrofon z kuchni przekazał wycie młynka do kawy.

Włączono też telefon komórkowy Brandona. Rolki z taśmami drgnęły i zaczęły się obracać. Aparatura oczywiście nagrywała połączenie. W mieszkaniu Ferringera jeszcze nie podłączono regularnej linii. Rayowi było to bardzo na rękę. Pluskwa w klasycznym aparacie czasem wywoływała zakłócenia lub ciche, miarowe trzaskanie. Każdy głupi wiedział, co to oznacza, i podsłuch tracił sens. Natomiast telefony komórkowe nie stwarzały żadnych problemów. Nie wymagały instalowania pluskwy. Wystarczyło znać konkretną częstotliwość. Ferringer już kiedyś musiał być inwigilowany - akta zawierały częstotliwość, numer seryjny i osobisty numer identyfikacyjny jego „komórki”.

Sygnal chwilami zanikał. Odbiór z wysokich pięter nie zawsze był najlepszy - przeszkadzało za dużo stalowych dźwigarów. W końcu po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

- Zakład pogrzebowy C.J. Nikt nie zadba o waszego nieboszczyka tak jak my.

- Cześć, C.J. - powiedział Brandon.
- Mój Boże! - W głosie drugiego mężczyzny zabrzmiało zdumienie.

Ray zmarszczył brwi i ze stosu pustych celofanowych torebek po preclach wygrzebał teczkę z aktami Ferringera. Kim, u licha, był ten C.J. i dlaczego Ferringer dzwonił do przedsiębiorcy pogrzebowego? Ray przerzucił kilka kartek i rozwiązał zagadkę. W tezcze znajdowała się informacja na temat rodziny Ferringera. Miał dwoje przyrodniego rodzeństwa - Maggie Ferringer i C.J. MacNamara. Ojcem całej trójki był Maksymilian Ferringer, który zginął w katastrofie samolotowej w Indonezji w 1972 roku. Ciała Maksymiliana Ferringera nigdy nie odnaleziono.

C.J. MacNamara wstąpił do piechoty morskiej i służył w oddziale zwiadowczym. Obecnie mieszkał w Sedonie w stanie Arizona. Prowadził tam bar i pracował na pół etatu jako tak zwany funkcjonariusz do spraw poręczeń.

Ray prychnął z pogardą. Łowcy nagród byli najwyżej bandą ambitnych szczeniaków, którym nie udało się zostać policjantami. Sami nieudacznicy, bez żadnego wyjątku. Przy czym czarno-białe zdjęcie sugerowało, że ten MacNamara prawdopodobnie nieźle radził sobie z paniami.

- Rany kota, nie wierzę własnym uszom - w końcu odezwał się C.J. - Ile to już - cztery, pięć miesięcy? Jak się miewasz, Brandon, i gdzie, u licha, się podziewałeś?
- Wchodziłem na Everest.
- Na tę górę? O kurczę, Brandon. Ludzie giną na Everescie.
- Ja nie zginąłem.
- Widocznie głupi nadal mają szczęście.
- Wiesz o tym z własnego doświadczenia. - Co u ciebie, C.J.? I jak tam Tamara?

W aktach podano, że Tamara Allistair jest sekretarzem prasowym i aktualnie mieszka z MacNamara. Dodatkowa uwaga brzmiała: Patrz: akta senatora Brennana. Ray nie miał pojęcia, co to oznacza.

- U nas wszystko w porządku. Tamara niedawno otworzyła w Sedonie sklep. Sprzedaż wygląda obiecująco. Wyzaczyliśmy już datę ślubu. Pobieramy się we wrześniu. Przypuszczam, że nie będzie cię wtedy na półkuli północnej.

- Mylisz się. Prawdę mówiąc, zamierzam następane sześć miesięcy spędzić w Oregonie. Dostałem angaż na strażaka.

- Co takiego?! - Ray zawtórował C.J., zdumiony podobnie jak on.

- Nasz ojciec podarował Maggie medalion - cicho powiedział Brandon. - Mówiła ci kiedyś o tym? W środku znajdowało się zdjęcie pięknej kobiety. Nie była żadną z naszych matek.

- To ciekawe, ale jaki to ma związek z Oregonem?

- Ja... a właściwie Julia... odkryła również, że Maks był w spółce z dwoma partnerami - Alem Simmonsem i Budem Irvingiem. Lydia twierdzi, że zaprzyjaźnili się jeszcze w średniej szkole w Tillamook. Po maturze wspólnie założyli firmę. Nigdy nie została rozwiązana. Świadczą o tym dokumenty Izby Handlowej. Pewnie o tym nie wiedziałeś?

- Maksymilian i spółka? Daj spokój, Brandon. Ten facet nigdy nawet nie wysyłał pocztówek do swoich żon i dzieci. Uważasz, że byłby w stanie z kimś współpracować?

- Al Simmons zniknął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku - kontynuował Brandon. - Trafiłem jednak na ślad Buda Irvinga. Mieszka w Beaverville, w stanie Oregon.

- Hmm... Co rozumiesz przez to, że Simmons zniknął?

- Po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku rozpląnął się we mgle. Nie płaci podatków, nie odnawia prawa jazdy, nie korzysta z kart kredytowych, nie ma kont w bankach. Nikt nie

wystawił też świadectwa jego zgonu. Zupełnie, jak gdyby w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Al Simmons przestał istnieć.

- Zastanawiające. Takie zniknięcie na ogół oznacza dziwne sprawy.

- Też tak myślę.

- Słuchaj, Brandon... - C.J. westchnął głośno. W przeszłości ten temat musiał być omawiany wielokrotnie, ponieważ Brandon nie pozwolił bratu dokończyć.

- Twoim zdaniem to zbyt niebezpieczne.

- Oczywiście.

- Uważasz, że skoro Maks nie żyje od dwudziestu pięciu lat, to teraz nie ma sensu tego wszystkiego rozgrzebywać?

- Właśnie - przyznał C.J. - Nie wywołuj wilka z lasu.

- Nie wydaje ci się dziwne, C.J., że dwaj członkowie trzyosobowej spółki wyparowali jak kamfora? Jeden w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, drugi dwa lata później? Osobiście widziałem to miejsce w Indonezji, gdzie rozbił się samolot Maksa. Odnalezienie jego ciała nie powinno było nastęrczać żadnych trudności. Coś mi tu nie gra. Czuję, że Bud Irving z Oregonu może wyjaśnić to i owo.

C.J. milczał.

- Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi – dodał Brandon.

- Bracie, ta sprawa to nie przelewki. Miałem telefony z pogroźkami. Ten ktoś mówił o Maksie. A ty...

- A ja może z tego powodu straciłem żonę.

- Przecież oficjalnie stwierdzono, że zastrzelił ją jakiś rabuś.

- Badala przeszłość Maksa, żeby uzupełnić dane dotyczące mojego drzewa genealogicznego, a zaraz potem ją zabito. Niech mnie szlag, jeśli to był rabuś!

- Nie masz żadnej pewności...
- Ty też nie, C.J.! - ryknął Brandon.

Coś takiego. Ray był pod wrażeniem. MacNamara służył w piechocie morskiej, a jej żołnierze mieli wybuchowy temperament. Ray nigdy by jednak nie przypuszczał, że to wymuszany bankier z Wall Street może zareagować aż tak emocjonalnie. Widocznie Brandon odziedziczył więcej genów Maksymiliana, niż obaj bracia mogli przypuszczać.

Jabłko rzeczywiście nigdy nie pada daleko od jabłoni.

A Maksymilian, zwany Kameleonem był człowiekiem o nieprzeciętnej osobowości.

Teraz obaj jego synowie oddychali głęboko, żeby zapamiętać nad nerwami, które ich poniosły.

- Pojadę tam z tobą - zaproponował C.J.
- Nie, ty masz Tamarę. Nie mogę narażać waszej przyszłości.
- We dwóch byłoby łatwiej...
- Zadzwoń do ciebie, jeśli wyłonią się jakieś trudności.

Wyślij mi zaproszenie na ślub na adres Lydii, dobrze? Moje gratulacje, C.J. Życzę wam szczęścia.

- Brandon... - C.J. był najwyraźniej niezadowolony z obrotu sprawy. Westchnął ciężko. - Bądź ostrożny, braciszku. Chcę, żebyś przyjechał na mój ślub. Ma być równie radosną okazją jak twoje wesele.

- Tak, to był cudowny dzień... - w zamyśleniu przyznał Brandon. - Wasz ślub też będzie wspaniały, C.J. Na pewno.

Odłożył słuchawkę, zanim brat zdążył odpowiedzieć.

Telefon komórkowy nie został powtórnie włączony. Cisza w mieszkaniu panowała tak długo, że Ray prawie wpadł w panikę. Przypomniał sobie jednak przebieg rozmowy i zaraz się uspokoił. Brandon Ferringer prawdopodobnie stał teraz przy oknie ekskluzywnego apartamentu. Patrzył na wspaniały Central



Park, lecz widział tylko swoją żonę Julię w białej, ślubnej sukni.

Oczy Raya odrobinę zwilgotniały. Jezu, staję się cikliwym starym dziadem, pomyślał, ale natychmiast wyobraził sobie Melissę w białych koronkach. Czyż nie byłaby zachwycająca? Co by zrobił, gdyby ją spotkało coś złego?

Potrząsnął głową, sfrustrowany kierunkiem, w którym pobiegły jego myśli. Dobrze wiedział, że tacy jak on nie miewają życia rodzinnego. A Melissa zasługuje na znacznie lepszy los.

Zdjął słuchawki, wyszukał telefon podłączony do zwykłej linii i z pamięci wystukał kolejne cyfry. W jego pracy nigdy nie zapisywało się numerów, adresów, nazwisk ani poleceń. Jeśli ktoś coś zapomniał, to ponosił przykre konsekwencje.

- Obiekt w ruchu - zameldował bez żadnych wstępów.
- Szczegóły.

Ray powtórzył rozmowę. Mężczyzna po drugiej stronie milczał. Ray nie był pewien, kim tamten jest. Dysponował odpowiednim pełnomocnictwem i znał hasła. Reszta nie miała dla Raya znaczenia.

- Masz go śledzić - polecił mężczyzna. - Nie spuszczać go z oka. Jeśli dotrze zbyt blisko, zabij go.

- Tak jest. - Znów trzeba ruszyć w drogę. Melissa nie będzie tym zachwycona, ale co mógł na to poradzić? „Jestem handlowcem, kochanie. Muszę podróżować. Ale nie martw się. Zostały mi tylko cztery lata do emerytury. Głupie cztery lata”.

- To ma wyglądać na wypadek. Bardzo przekonujący. Nie chcemy, żeby włączył się MacNamara.

No tak, MacNamara. Były żołnierz piechoty morskiej, oddział zwiadowczy. Rzeczywiście lepiej nie prowokować go do działania.

- W porządku.
- Dzwonić tylko wtedy, gdyby coś się zmieniło. Im mniej

kontaktów, tym lepiej.

- Jasne. - Ray przerwał połączenie. Nie musiał się silić na takie grzeczności, jak „do widzenia”. Włożył słuchawki. Nie usłyszał żadnego dźwięku. Ferringer pewnie nadal wyglądał przez okno. Czy tak bardzo tęsknił za Julią? A może raczej myślał o ojcu i o przeszłości, spowitej mgłą tajemnicy?

Niektóre sprawy nie powinny ujrzeć światła dziennego, Ferringer. Nawet po tylu latach.

Ray znów oparł nogi o pudło i zaczął opracowywać strategię.

Otwierając torebkę z precelkami, zastanawiał się, który z „wypadków” byłby najbardziej odpowiedni. Śmierć na autostradzie zawsze budziła podejrzenia. Bardziej prawdopodobnie wyglądało majstrowanie przy uszkodzonych instalacjach lub urządzeniach. W grę wchodził jeszcze pożar lub porażenie prądem. I jedno, i drugie łatwe do zrealizowania. Ewentualnie zepchnięcie w przepaść. Zawsze stuprocentowo skuteczne.

Ray nadgryzł twardy jak kamień precel i omal nie złamał na nim zęba. Stanowczo wołał ziemniaczane frytki.

## ROZDZIAŁ 1

Pracownica agencji obrotu nieruchomościami dokładnie wyjaśniła Brandonowi, jak dojechać do rancza Lady Luck. Mimo to trafił tam dopiero przy trzeciej próbie. Za pierwszym razem uznał, że wąska, piaszczysta droga odchodząca od szosy to zapomniana leśna ścieżka. Minął ją i po przejechaniu ośmiu kilometrów zawrócił. Beaverville w stanie Oregon nie było aż takie duże. Centrum składało się z sześciu budynków o szarych, podniszczonych fasadach. Gdyby nie nowoczesny dom ze złościgo drewna, zbudowany na rogu, można by uznać je za skansen.

Nowy budynek okazał się sklepem z paszą dla bydła. Zarówno frontowy ganek, jak i znajdujące się na tyłach rampy były zawałone wielkimi, płóciennymi worami z ziarnem. Obok mieścił się mały sklepik z artykułami spożywczymi. „Obsłużyliśmy już dwudziestu sześciu klientów” - żartobliwie głosił jego zakurzony szyld. Po drugiej stronie magazynu z paszą Brandon zobaczył sklep myśliwski. Na wystawie pysznił się tuzin błyszczących strzelb. Ilość leżących obok pudełek z nabojami wprawiały w ekstazę Stowarzyszenie Właścicieli Broni Palnej. Ze strzelbami sąsiadował wiekowy bar o nazwie Whiskey Jack's. „My obsłużyliśmy sto sześćdziesiąt osób” - chlubił się jego szyld.

Brandon ruszył szosą numer 26. Co chwila omiatał wzrokiem pobocze, aby nie przegapić tablicy z nazwą rancza.

Wyobrażał sobie, jak ta okolica będzie wyglądać za jakieś dwa tygodnie. Rozległe pustkowie pokryje się gęstą, stepową trawą i różowymi kwiatami naparstnicy, choć na horyzoncie majestatyczne góry zachowają swoje śnieżne czapy. Teraz jednak pejzaż nie mógł się podobać. O jego ponurym charakterze decydowały szare kopy suchej jak pieprz bylicy i ledwie widoczne kielki trawy wschodzące z czerwonego gruntu. Jedno uderzenie pioruna i wszystko stanie w płomieniach. Ściana ognia sięgnie na wysokość kilkudziesięciu metrów i z hukiem przypominającym ryk odrzutowca będzie się przesuwać sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jelenie rozpoczną szaleńczą ucieczkę, lecz tylko niektóre ujdą z życiem. Stuletnie dęby spalą się prawie doszczętnie, a pozostałe po nich pniaki będą się kopać aż do połowy listopada.

Brandon wciąż miał takie sceny przed oczami. Pamiętał piekielny żar, zapach, potworny hałas, krwistoczerwone słońce i pragnienie, którego nie sposób ugasić. A także nabożny strach przed tym, do czego zdolna jest natura.

Znów znalazł się w środku miasteczka. Skrzywił się i zawrócił. „Ranczo Lady Luck znajduje się tuż przy szosie” - zapewniała agentka. „To jedyne ranczo w okolicy. Proszę wypatrywać tablicy. Nie można jej nie zauważyć”.

- Nie można jej nie zauważyć - zamruczał urągliwie. - Akurat. - Korciło go, żeby wrócić do agencji i zwymyślać jej właścicielkę.

Z prawej strony znów zamajaczył zjazd w coś, co można było uznać za drogę. Brandon gwałtownie nadepnął pedał hamulca i samochód zatrzymał się z piskiem opon. Pomiędzy gałęziami jednego z bardziej okazałych krzaków tkwił kawałek deski. Powiedzmy, że była to tablica.

Wygramolił się z auta, gniewnie zacisnął wargi i podszedł do krzaka. Owszem, kryła się za nim tablica z napisem „Ranczo

Lady Luck".

- Twoja mamusia musiała być kaktusem - poinformował krzak. Sięgnął po tablicę i nabił ją na ogrodzenie z drutu kolczastego. Wrócił do wynajętego gruchota i pojechał w prawo. Pojazd podskakiwał na wybojach, a Brandon miał wrażenie, że za chwilę rozleci się na kawałki.

Poprzysiągł sobie, że jeśli tylko odnajdzie ranczo, to dużo czasu upłynie, zanim znowu wsiądzie do samochodu.

Kręta droga prowadziła coraz bardziej pod górę. Wyżej, wbrew oczekiwaniom, nie rosły mizerne krzaki, lecz gęsty sosnowy zagajnik. Jechało się w nim prawie jak w tunelu, ponieważ gałęzie skutecznie blokowały światło przymglonego słońca. Nagle drzewa się skończyły i Brandon zobaczył ranczo.

Na kolistym, wysypanym żużlem podejździe stała stara półciężarówka, czerwona bardziej od rdzy niż lakieru. Mały drewniany dom z zakurzonym gankiem miał dach lekko zakłęśnity z jednej strony. Pokrywała go graba warstwa sosnowych szpilek i mchu. Komin najwyraźniej zaczynał się rozpadać. Frontowe drzwi zestarzały się inaczej niż reszta elementów – były nowsze, ale już spaczyły się w okolicy zawiasów. Wszystko niewątpliwie wymagało napraw, a pobliskie stajnie wyglądały niewiele lepiej.

Jednak w kwadratowych oknach wesoło falowały ładne zasłonki w niebiesko-białą kratkę. Wokół ganku stały duże donice, w których rosły czerwone, różowe i żółte tulipany. Na poręczy schły dwie końskie derki w jaskrawych kolorach, a na oparciu mocno używanego bujaka wisiała gruba, niebiesko-żółta kołdra.

Brandon wysiadł z samochodu. Nigdzie nie było widać właścicieli, ale nie wiadomo skąd pojawił się pręgowany rudy kot.

Mruczał i ocierał się o nogi nowo przybyłego, chodząc

wokół nich wciąż tą samą trasą w kształcie ósemki. W końcu Brandon przykucnął i podrapał kocura za uchem.

- Wiesz, gdzie mógłbym znaleźć Victorie Meese? - spytał kota. Ciągle nie dysponował innym kandydatem do rozmowy.

Rudzielec znów zamruczał i na moment przymknął mądre, złociste oczy. C.J. miał kiedyś ukochanego rudawego kota, który wabił się Speedy.

- Może wynajmiesz mi pokój? - nie dawał za wygraną Brandon. - Będę ci kupował najlepszą żywność dla kotów, a twoje pudełko wyłożę pociętymi dolarami. Czemu nie? I tak nie wpadłem na pomysł, jak się ich pozbyć w lepszy sposób.

Kocur nie był idiotą. Przyłgnął do nogi Brandona i miauczeniem wyraził pełną aprobatę.

- Wielki, uparty... – Czyjś melodyjny głos gniewnie wyrecytował serię mało pochlebnych określeń. Brandon natychmiast się podniósł i wzrokiem poszukał tej zdenerwowanej osoby.

- No, rusz się wreszcie. Tutaj, do kąta. Ty wstrętny skurczybyku... Powinam im pozwolić przerobić cię na klej!

Idąc za głosem, Brandon wszedł do stajni. Za rzędem pustych przegród znajdowało się stanowisko paszowe. Właśnie tam smukła blondynka w zakurzonych dżinsach i podartej kraціastej koszuli zmagala się z ważącym pół tony wałachem. Chyba przegrywała. Najwyraźniej chciała zmusić ogromnego siwka, żeby wycofał się na krytą arenę przylegającą do stajni. Natomiast siwek najwyraźniej nie zamierzał tego zrobić.

- Pomóc pani! - zawołał Brandon. Zerknęła na niego przelotnie.

- Nie. Doc nie lubi obcych. Wystarczy, że pan się ruszy, a on stratuje nas oboje.

Brandon popatrzył na cztery twarde kopyta wielkości salaterki i został na swoim miejscu. Natomiast kobieta mocno

chwyciła lejce i zmusiła konia do opuszczenia łba.

- Słuchaj no, dosyć tych harców - powiedziała stanowczo.  
- Masz cofnąć swój wielki tyłek, i to już - poleciła tonem gwarantującym natychmiastowe posłuszeństwo u małych dzieci i głupawych zwierząt.

Dla większego efektu oparła się o bark konia i zaczęła go popychać. Jej długie, równo obcięte jasne włosy, w których było pełno słomy, spływały do przodu. Zaciśnięte na lejcach ciemne, szczupłe dłonie miały krótkie, brudne paznokcie, a nagie przedramiona sprawiały wrażenie silnych. Brandon z uznaniem patrzył na blondynkę i oceniał jej wygląd. Wysportowana sylwetka. Zgrabne nogi. Niewątpliwie bardzo sprawna kobieta. A także atrakcyjna.

Wyteżając wszystkie siły, wepchnęła siwka na arenę i triumfalnie zatrzasnęła drzwiczki. Koń kilkakrotnie uderzył kopytem o ziemię, po czym potrząsnął grzywą, jak gdyby mówił: „To przecież niemożliwe!”.

- Następnym razem każę przerobić cię na klej - zagroziła blondynka. Otrzepała dłonie, podniosła rękawice i odwróciła się do Brandona.

- Czym mogę panu służyć? - Utkwiła w nim spojrzenie, które sprawiło, że Brandon zaniemówił. Nigdy przedtem nie widział oczu w takim kolorze. Nie były ani niebieskie, ani szare, lecz srebrzystobłękitne.

- Słucham pana? - powtórzyła pytająco, a Brandon wreszcie zamknął gapowato otwarte usta.

- Eee... czy pani jest Victoria Meese?

- A kto chciałby wiedzieć? - Wydawała się lekko zaniepokojona. Powoli żuła źdźbło siana wystające z kącika ust.

- Przyjechałem w sprawie wynajmu pokoju. W agencji w Redmard powiedziano mi, że tutaj coś znajdzie.

- Ach, o to chodzi.

Blondynka najwyraźniej się odprężyła. Chwyliła dwa metalowe haki i spokojnie wbiła je w belę suchej paszy.

- Mam do wynajęcia jednopokojowy domek na tyłach posesji - powiedziała, podnosząc belę. - Nic specjalnego, ale jest czysty i umeblowany. Był przeznaczony na mieszkanie dla stażennego, ale ranczo Lady Luck aktualnie nie stać na zatrudnienie pracowników.

Rzuciła belę na ziemię, dwoma energicznymi szarpnięciami zerwała drut i zaczęła obrywać liście lucerny.

- Czysz wynosi sto dolarów miesięcznie. W domku nie ma łazienki ani kuchni. W stajni znajduje się prysznic, a ja codziennie robię śniadanie. Jeśli szuka pan luksusu, to tutaj go pan nie znajdzie, ale mieszkanie jest porządne, łóżko wygodne, a tutejszą wiosnę warto zobaczyć. Co pan na to?

- Nie potrzebuję luksusów - odparł szczerze.

Kobieta poszła środkowym przejściem i wrzuciła naręcza lucerny kolejno do czterech przegród, w których stały konie. Ostatni dmuchnął lekko, rozwiewając jasne włosy i suszone liście. Jego właścicielka uśmiechnęła się do wielkiego stworzenia i poklepała je po karku.

- Umowa najmu jest prosta - powiedziała, podnosząc głos. - Płaci mi pan za miesiąc z góry i informuje o swoim wyjeździe z czterotygodniowym wyprzedzeniem. Oczywiście musi pan wypełnić formularz - podać swoje nazwisko, adres stałego zamieszkania, miejsce pracy, panie...

- Nazywam się Ferringer. Brandon Ferringer.

- Co pana sprowadza w te strony, panie Ferringer?

- Jestem strażakiem.

- Słucham? - Wyprostowała się gwałtownie, płosząc konie. Patrzyła na niego zdumiona. - To pan ma być tym nowo przyjętym strażakiem?



Beaverville było niedużą osadą, ale miało jeden powód do dumy. Gd wiosny do jesieni odbywały się tutaj prestiżowe szkolenia i treningi strażaków, którzy zjeżdżali się z całego kraju. Gdy zaczynały się palić lasy, na trudno dostępne tereny zrzucono na spadochronach grupę pracowników służby leśnej. Oni jako pierwsi atakowali szalejący ogień. Za nimi do akcji wkraczali strażacy - równie skuteczni w działaniu jak oddziały piechoty morskiej, choć operujący na lądzie. Z dwunastokilogramowym ekwipunkiem na plecach szli po zagrożonym terenie, wycinając krzaki i kopiąc doły ograniczające rozprzestrzenianie się Ognia. Pracowali bez wytchnienia, a duszący dym czernił im twarze.

- Tak, zamierzam zostać strażakiem - przyznał, zakłopotany reakcją blondynki, która wciąż wyglądała na oszołomioną.

- Pan jest tym bohaterem z Nowego Jorku?

- Cóż... jestem z Nowego Jorku. - Bohater? Jakim cudem to się rozniosło?

Victoria zdała sobie sprawę z tego, że paple jak podniecona nastolatka.

- Przepraszam, plotę głupstwa - powiedziała. - Ale o tej strażackiej służbie wiem prawie wszystko. Mój brat Charlie także znalazł się w drużynie. Do zespołu z Beaverville należy tylko osiemnaście osób. Szesnaście to dawni członkowie, więc przyjęto tylko dwóch nowych. Jednym z nich został Charlie, a drugim podobno jakiś bohater z Nowego Jorku. Tak przynajmniej twierdzą osoby dobrze poinformowane.

- Rozumiem - mruknął. Całkiem zapomniał o specyficznym obiegu informacji w kręgach służby leśnej. Wszyscy się znali i plotkowali o sobie nawzajem. Brandon okazał się więc prawdziwym rodzyńkiem, kimś obcym w małej społeczności nie przyzwyczajonej do obcych.

Victoria bez żenady obejrzała go od stóp do głów.

- Proszę się nie obrazić, ale spodziewaliśmy się kogoś innego. Powinien pan być o dziesięć lat młodszy.

- Mam trzydzieści sześć lat.

- Aż tyle? Charlie ma dwadzieścia dwa.

Brandon zabawnie się skrzywił.

- To pewnie same dzieciaki?

- Mało kto ma więcej niż dwadzieścia osiem - zapewniła.

- Ale trzeba przyznać, że nikt z nich nie uratował z ognia dwójga nastolatków.

- Miałem szczęście.

- Tylko tyle? Powiedziałabym, że udział w tamtej akcji był raczej szukaniem śmierci niż szczęścia.

Brandon nic nie odpowiedział. Ów pożar zdarzył się wkrótce po śmierci Julii, więc Victoria Meese mogła mieć rację.

- Cóż - odezwała się, gdy stało się jasne, że Brandon nie zamierza rozwijać tematu - musiał pan wtedy rzeczywiście wykazać się nadzwyczajnymi talentami. Nadinspektor Coleton Smith na ogół nie przyjmuje obcych do swojej załogi, ale pana zaakceptował. Dwieście kandydatur na to jedno miejsce spośród ludzi, których zna i z którymi pracował w tym okręgu, a on wybiera pana!

- Jak na starego dziada jestem w dobrej formie - z bladym uśmiechem mruknął Brandon.

W jasnym oczach Victorii nieoczekiwanie pojawił się błysk rozbawienia.

- Och, o to nie będę się spierać - odparła i nagle uśmiechnęła się szeroko. - Czeka pana lato pełne atrakcji. Chodźmy, strażaku. Pokażę panu domek.

Zgodnie z opisem Victorii był bardzo skromny. Zbudowany jako miniatura głównego domu, podobnie jak on miał lekko zapadnięty dach. Wnętrze okazało się jednak obszerne i zadbane. Pachniało środkiem do polerowania drewna. Meble były

stare, prawdopodobnie kupione z drugiej ręki, ale gospodyni postarała się, aby pokój sprawiał przytulne wrażenie. Ręcznie uszyty pokrowiec w niebiesko-białą kratkę odmładzał starą kanapę, a spore łóżko przykrywała niebiesko-zielona kapa. W domu rzeczywiście nie było łazienki, ale przy tylnej ścianie znajdował się długi, żółty blat i zlew oraz gniazdko do włączania małej elektrycznej kuchenki. Za oknem rozciągała się oszałamiająca panorama rozległych pastwisk obramowanych górami. Dwa młodziutkie żrebaki radośnie brykały w pobliżu swoich opiekuńczych matek. Padające ukośnie promienie słońca tworzyły migotliwy wzór na lśniących bokach obu podskakujących zwierzaków.

- I co pan o tym sądzi? - Victoria ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami stała oparta o futrynę. Spokojnie przyglądała się Brandonowi, który sprawdzał wyposażenie pokoju.

- To idealne miejsce. Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

- Ja jestem Vic. Tylko matka mówi do mnie Victorio. I moi bracia, gdy chcą zagrać mi na nerwach.

- Dużo jest tych braci?

- Sześciu. Trzech młodszych i trzech starszych. W dzieciństwie rzadko bawiłam się lalkami.

- Ale za to najlepiej ze wszystkich dziewczynek grałaś w baseball?

- Właśnie - przyznała z bezwstydnym uśmiechem. - Słuchaj, cieszę się, że interesuje cię to mieszkanie, ale jest parę rzeczy, które powinieneś wiedzieć. - Wyprostowała się w drzwiach i nagle spoważniała. Brandon posłusznie czekał.

- Mój ojciec to miejscowy szeryf - powiedziała rzeczowym tonem. - Mówię o tym dlatego, że na pewno sprawdzi cię do czwartego pokolenia wstecz. W Beaverville niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Nie mam nic do ukrycia.
- To dobrze. Po drugie, mieszkam tu z moim ośmioletnim synem.
- Słucham? - Wyglądała najwyżej na dwadzieścia sześć lat.
- Mam dwadzieścia siedem lat - oświadczyła, jak gdyby czytała w jego myślach. - Co prawda, byłam głupia, ale przynajmniej pełnoletnia.
- To nie moja sprawa...
- Owszem, ale... - Urwała, a po chwili dodała: - Mój syn to wspaniały chłopak. Naprawdę fantastyczny i chciałabym, żeby taki pozostał. Dlatego proszę, abyś przebywając tutaj, nie dawał mu złego przykładu. Żadnych burd i pijatyk, żadnych... eee... panienek.
- Nie przepadam za pijatykami i nie będę nikogo tu wprowadzał. Poza tym jestem wdowcem.
- Och. - Podobnie jak u większości ludzi słyszących te słowa na twarzy Victorii odmalowało się współczucie, ale na szczęście w jej spojrzeniu nie było litości. - Pewnie ci niełatwo - szepnęła.
- To był dla mnie prawdziwy cios.
- No cóż... - odezwała się nieco raźniej. - To mi przypomina o jeszcze jednej sprawie. Mój były mąż nie umarł - poszedł na dwa lata do więzienia za handel narkotykami. Formalnie nie ma prawa zakłócać mi spokoju, ale w zeszłym tygodniu został zwolniony warunkowo. Prędzej czy później tu się zjawi.
- Sądzis, że spróbuje porwać twojego syna?
- Ronald? - Gwałtownie pokręciła głową. - Och, na pewno nie. Ojcostwo zupełnie go nie interesuje. Dla niego ważne są tylko pieniądze. Mój ojciec stara się mieć go na oku, ale gdybyś zobaczył tutaj bruneta, to możesz chwycić za broń. Moi bracia są blondynami i tylko oni mogą przebywać na tej posesji. Głu-

pio mi to mówić, ale nie trzymaj u siebie nic wartościowego. Nie siedzę przez cały dzień w domu, a jeśli Ronald rzeczywiście tu się pojawi... - Zawiesiła głos i wzruszyła ramionami. Nie musiała nic więcej wyjaśniać. - To by było na tyle, Brandon. Jak widzisz, wszystkie brudy już wiszą na sznurku.

- Asortyment robi wrażenie - przyznał z szacunkiem w głosie.

- Nieźle jak na dwudziestosiedmioletnią osobę, prawda? A teraz powiedz mi, ale szczerze... nadal chcesz wynająć ten domek?

- Uważam, że jest idealny.

- Naprawdę? - Wydawała się zaszokowana, ale zaraz wzięła się w garść. - Hmm... Wobec tego nie jestem pewna, kogo będziemy mieć w pobliżu - wariata czy tylko miłego faceta.

- Znów popatrzyła na niego, tym razem jakby w zamyśleniu.

I nagle oboje ulegli wzajemnej fascynacji.

Brandon poczuł specyficzne napięcie, jakiego od bardzo dawna nie doświadczał. Oddychał płytko, wpatrzony w twarz Victorii. Widział tylko smugę kurzu na jej policzku i czerwone wargi, które bezwiednie się rozchyliły. Był naprawdę oszołomiony. Do licha, przez moment rzeczywiście chciał przejść przez pokój, otoczyć ramieniem jej talię i...

Chrząknął, zakłopotany. Victoria szybko odwróciła wzrok.

- W takim razie sprawa załatwiona? - spytał.

- Eee... tak. - Odetchnęła głęboko. - Poszukam formularza - oświadczyła raptownie. - Mój ojciec sprawdzi cię w najbliższym czasie.

- Dobrze. - Jego głos wciąż brzmiał trochę chrapliwie. - Mógłbym skorzystać z prysznica w stajni? Podróżuję od wczorajszego wieczoru.

- Oczywiście. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję. Mam wszystko.

- Świetnie. - Pośpiesznie odsunęła się od framugi i oboje chyba odczuli ulgę z powodu dzielącej ich odległości. - Około szóstej wróci z baseballowego treningu mój syn Randy - zawołała, idąc w stronę schodków. - Zorientujesz się, że już jest, bo ziemia się zatrzęsie.

- Rozumiem.

W połowie schodków Victoria nagle się zatrzymała. Patrzył na nią, a wzdłuż kręgosłupa znów połaskotał go podniecający dreszcz.

- Może zjesz z nami obiad? O ile sprawdzanie twojej osoby wypadnie pomyślnie. Zawsze warto poznać swoich sąsiadów.

- Poznać sąsiadów... - powtórzył jak papuga. - Tak, byłoby miło.

- Właśnie. No to do zobaczenia około siódmej. - Przebiegła przez podjazd i znikła w domu.

Brandon w końcu wypuścił powietrze, które wciągnął do płuc wraz z ostatnim wdechem. Potrząsnął głową, jak gdyby miał nadzieję, że w ten sposób uporządkuje myśli. Taka reakcja na bliskość kobiety zupełnie nie była w jego stylu. A jednak nie dało się ukryć, że Victoria Meese przyprawiła jego, Brandona Ferringera, o utratę tchu.

Już od wczesnego dzieciństwa różnił się od swoich rówieśników. Oni śmiali się, szaleli, wymyślali dzikie, idiotyczne zabawy. Brandon nie brał w nich udziału. Był dzieckiem cichym, ponurym i boleśnie świadomym napięcia panującego w jego rodzinie. Najbardziej wrył mu się w pamięć widok ojca, który wychodzi z domu przez frontowe drzwi, mówiąc: „Czas działać, czas działać”.

Maks nie działał zbyt owocnie. Przeciwnie, roztrwonił ro-

dzinne dobra, zdradzał swą żonę i sprawił, że dzieciństwo jego syna nie było ani beztroskie, ani szczęśliwe. Dlatego Brandon już od najmłodszych lat wiedział, że to on będzie musiał wszystko uporządkować. Był najstarszym synem. Do niego należało naprawienie błędów popełnionych przez ojca.

Studia w Wharton College odbył dzięki stypendium, a ukończył je z wyróżnieniem. Później po sto dwadzieścia godzin tygodniowo pracował na Wall Street. Harował tylko i wyłącznie dla pieniędzy. Miał dwadzieścia pięć lat, gdy odkupił rodzinną posiadłość. Prowadził modelowe życie człowieka sukcesu. Zawsze robił to, co uważał za swoją powinność. A własna matka powiedziała mu, że jest dokładnie takim samym człowiekiem jak jego ojciec - zimnym materialistą i pracoholikiem!

W życiu Brandona zaś nie istniało nic, co mogłoby jej udowodnić, że nie ma racji.

Ta myśl dopełniła dręczące go wspomnienia i Brandon poczuł w ramionach znajome napięcie. Powinien przebiec przynajmniej kilka kilometrów. W ciągu ostatnich czterech lat wiele razy się przekonał, że jeśli biegł wystarczająco długo, dostatecznie szybko i odpowiednio się zmęczył, to czasem zdołał zostawić za sobą demony przeszłości.

Teraz jednak stał bez ruchu na drewnianym ganku starego domku w pachnącym wiosną Oregonie i myślał o Julii. Dobrze pamiętał, jak wyglądała w tym przesadnie krótkim, różowym stroju kelnerki tego dnia, gdy ją poznał. Była taka zakłopotana, że niechcący wylała gorącą kawę na jego jedwabny krawat. Chyba ze zdenerwowania zaczęła się śmiać, dzielnie usiłując wytrzeć plamę serwetką. I wtedy nie wiadomo dlaczego on także parsknął śmiechem. Nadęty Brandon Ferringer chichotał radośnie z powodu plamy z kawy na swoim krawacie za dwieście dolarów.

Dopiero po śmierci Julii zrozumiał, jak wiele wniosła ona

do jego sterylnej egzystencji. Dopiero wtedy, gdy został sam, otoczony ciszą, uświadomił sobie, że to dzięki żonie poznał radość życia.

Złamany żalobą, zrozpaczony, pojął, jak bardzo kochał Julię i jak mało sam jej ofiarował. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że matka jednak miała rację. Był nieodrodnym synem swojego ojca. Poślubił kobietę i kochał ją, ale nie dał jej ani trochę z siebie.

Rzeczywiście wrodził się w Maksymiliana Ferringera, zwanego Kameleonem. Przypominał go o wiele bardziej niż C.J. lub Maggie.

Wziął długi, gorący prysznic i uciął sobie drzemkę. Gdy się obudził, zachodzące słońce zalewało świat złocistym blaskiem.

Gdzieś w oddali Victoria coś wołała do swoich koni. Jej syn niedawno wrócił do domu, pokrzykując na powitanie. Ziemia rzeczywiście się zatrzęsała, gdy trzasnął zewnętrznymi drzwiami z metalowej siatki.

Brandon rozpakował swoje rzeczy. Szybko wyjął dzinsy i trykotowe bluzy, następnie sięgnął po wodoodporny futerał spoczywający bezpiecznie na samym dnie płóciennej torby podróżnej. Powoli go otworzył i delikatnie położył na kapie cenną zawartość - medalion w kształcie serca, który Maggie dostała od ich ojca oraz ciekawą książkę w twardej, niebieskiej okładce, zatytułowaną „Liceum w Tillamook, rocznik 1955”. Medalion krył portret pięknej kobiety, której nikt nie potrafił zidentyfikować. Natomiast szkolny album zawierał między innymi fotografie Maksa oraz jego dwóch najlepszych przyjaciół i późniejszych współników w interesach - Ala Simmonsa i Buda Irvinga.

Po czterech latach prywatnego śledztwa Brandon dysponował tylko tymi dwoma przedmiotami mającymi związek z tajem-



mnica życia i śmierci ojca. Pewną wskazówką była również rozmowa telefoniczna, którą C.J. odbył przed sześcioma miesiącami. Nie rozpoznał głosu swojego rozmówcy, a on się nie przedstawił. Zaoferował garść informacji o Maksie. W rewanzu C.J. miał przestać węszyć w tej sprawie. C.J. zareagował w typowy dla siebie sposób. Stanowczo odmówił.

„Od dawna mamy cię na oku” - powiedział nieznajomy. - Jesteś prawie tak dobry jak twój ojciec. Tylko trochę zanadto uczciwy”.

Czyżby Maksymilian postępował niezgodnie z prawem? Czy katastrofa, w której zginął, to rzeczywiście był wypadek? Czy ojciec naprawdę nie żył? Od jego śmierci minęło dwadzieścia pięć lat. Dlaczego nigdy nie odnaleziono jego ciała?

Ktoś wbiegł na drewniany ganek, tupiąc jak szarżujący byk. Brandon błyskawicznie wsunął medalion i album pod materac. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się szczupła sylwetka chłopca.

Randy Meese miał jasne włosy swojej matki, lecz jego czupryna przypominała miotłę. Zapewne rano się uczesał, ale teraz blond kosmyki sterczały niesfornie we wszystkie strony. Tworzyły fryzurę bardzo odpowiednią dla energicznego, uwielbiającego sport i konie ośmiolatka. Jego buzię pokrywało mnóstwo piegów, a w ustach brakowało górnej jedyńki. Ten szczerbaty uśmiech idealnie do niego pasował.

Chłopiec zatknął brudne kciuki za szlufki spłowiałych, zakurzonych dzinsów i huśtając się na sfatygowanych adidasach, obejrzał przybysza od stóp do głów.

- Mam pana zaprosić na obiad - oświadczył w końcu piskliwym głosem. Zrobił przy tym groźną minę, aby gość wiedział, że Randy jeszcze się zastanawia, czy to zaproszenie ma sens.

- Rozumiem. - Brandon czekał cierpliwie.

- Mama mówi, że pan będzie strażakiem. -Randy zmrużył oczy jak Clint Eastwood podczas przesłuchiwania złych facetów.

- To prawda.

- Jest pan za stary - powiedział chłopak bez ogródek, myśląc: Jejku, ten gość ma co najmniej trzydziestkę.

- Widzę, że w tej sprawie panuje konsensus - przyznał Brandon.

- Co to jest „konsensus”?

- To oznacza, że inni ludzie są tego samego zdania.

- Więc dlaczego pan się uparł? Wujek Charlie mówi, że tylko najsilniejsze, najbardziej odporne skurczy... eee... typki nadają się na strażaków - wyjaśnił Randy, po czym powtórzył: -Pan jest za stary.

- To już omówiliśmy - przypomniał Brandon. - Ale tak dla porządku... Dokonałem tego i owego.

- Na przykład?

Brandon przez chwilę przyglądał się chłopcu. Dostrzegł jego przejęcie. Zrozumiał potrzebę odgrywania roli twardego osobnika. Randy był ośmioletnią głową domu. Brandon potrafił to uszanować. Przykucnął obok chłopca i przemówił do niego jak mężczyzna do mężczyzny.

- Nurkowałem bardzo głęboko na pełnym morzu.

- No to co, to tylko woda!

- Wędrowałem po wulkanach Indonezji. Tam ziemia trzęsie się i podskakuje pod stopami. Trzeba bardzo uważać, jak się chodzi. Wystarczy jeden nieostrożny krok, a spod nóg tryska gorąca lava i opryskuje człowieka siarką.

Tym razem Randy okazał większe zainteresowanie.

- Przeciekające skały - mruknął. - Słyszałem o tym.

- Zdobywałem szczyty. - Brandon roztropnie nie dawał za wygraną. - Wiesz, co to znaczy?

- Zdobywanie szczytów? Czym one są? Mają ostre kły? Warczą? Mogą rozedrzeć na strzępy?

- Niezupełnie. Szczyt to czubek góry. Te najwyższe mało kto widział na własne oczy. Wiesz, dawni odkrywcy...

- Lewis i Clark.

- Właśnie. Lewis i Clark wyruszyli w niebezpieczną podróż, żeby zbadać trudno dostępne tereny, przez które prawie nikt nie próbował przejechać. Zdobywanie szczytów to podobne przedsięwzięcie. Idziesz wąskimi ścieżkami, wdrapujesz się na strome góry. Większość ludzi nie zdołałaby tego dokonać. Musisz być w doskonałej formie, mieć silne nogi, dobre płuca. Musisz wchodzić coraz wyżej nawet wtedy, gdy całe twoje ciało pragnie odpoczynku. A gdy wreszcie docierasz na sam szczyt, to znaczy, że go zdobyłeś. Niektórzy uprawiają wspinaczkę w Apalachach. Inni próbują zdobywać czterotysięczniki na całym świecie. Ale są również szczyty wznoszące się na wysokość siedmiu - ośmiu tysięcy metrów, takie lodowate i wysokie, że trzeba zabierać ze sobą zapasy tlenu do oddychania.

- A pan wdrapał się na taką wielką górę?

- Tak. Na Everest.

- Na Mount Everest?! - Randy otworzył szeroko oczy. - Wszedł pan na sam szczyt?

- Prawie. Niestety, pogoda się pogorszyła, więc nie udało się go zdobyć. Ale dotarliśmy bardzo blisko.

- I jak było? Bolały was nogi? Zmęczyliście się?

- Jeszcze jak! To była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem - szczerze przyznał Barndon. - Ale dzięki temu zobaczyłem najpiękniejsze miejsce świata. Everest ma osiem tysięcy osiemset czterdzieści osiem metrów wysokości - z dokładnością do trzech metrów z powodu grubości pokrywy śnieżnej. Tam cały świat jest biały i wyrazisty, a w promieniach słońca śnieżne czapy lśnią osłepiająco i wydają się błękitne. Czło-

wiek ma wrażenie, że chodzi po dachu świata, ponad chmurami. To zachwycające przeżycie.

- Na pewno było niebezpiecznie - bystro zauważył Randy.

- Owszem.

- Czy ktoś zginął?

Brandon zawahał się.

- Na takiej wyprawie trzeba się liczyć z zagrożeniem - odparł wymijająco. Dwóch himalaistów rzeczywiście straciło wtedy życie. Brandonowi wciąż zdarzało się widzieć we śnie ich zamarznęte, sine twarze i szeroko otwarte oczy.

- Jejku - westchnął zachwycony Randy. - Muszę opowiedzieć mamie!

Zerwał się i na łeb na szyję pognął przez podwórko. Za moment zatrzymał się jednak tak gwałtownie, że zarył butami w ziemię, wzniciając tuman rudawego pyłu.

- Pan też ma iść!-zawołał.-Na obiad!

Brandon powoli się wyprostował i nagle ogarnęły go wątpliwości. Może nie powinien skorzystać z tego zaproszenia? Wyobraził sobie wspólny posiłek z Randym i Victoria. To będzie niemal rodzinna scena.

- Szybciej! - przynaglił go Randy. Jego zniecierpliwienie sugerowało, że muszą absolutnie natychmiast zabrać się do jedzenia, w przeciwnym razie obiad po prostu zniknie i obaj umrą z głodu. Brandon ruszył przez podjazd.

Chłopiec otworzył drzwi, zablokował je biodrem i zaczął rozwiązywać sznurowadła.

- Buty zostawia się tutaj - uprzedził.

- Nie ma sprawy. - Brandon zdjął podniszczone trzewiki i postawił je na baczność obok wejścia. Randy rzucił swoje tenisówki w dwie różne strony. Jedna wylądowała pod bujakiem.

- Przed obiadem musimy się umyć. Niech pan dobrze wyszoruje kark. Mama zawsze sprawdza.

- Rozumiem.

Randy zaprowadził go do pralni, która znajdowała się tuż przy frontowych drzwiach. Wokół wielkiego, starego metalowego zlewu stało osiem butelek ze środkami dezynfekującymi i czyszczącymi. Wszystkie wyglądały groźnie. Chłopiec zajął pozycję z prawej strony, mężczyzna z lewej. Stali obok siebie, gotowi do zmagania.

- Najważniejsze, żeby dobrze się namydlić. - Randy postanowił udzielić gościowi wskazówek. - Wtedy pachnie się mydłem. A jak pachnie się mydłem, to mama nie bardzo się przygląda.

- Niezły pomysł.

Randy wyszorował sobie buzię tak energicznie, że wszystkie jego piegi powinny były zniknąć. Następnie podał nierówny kawałek mydła Brandonowi. On także porządnie się namydlił. Pod czujnym okiem Randy'ego umył sobie także kark. Chłopiec skinieniem głowy wyraził aprobatę.

Chwilę później znalazła ich Victoria. Ujrzała schylonego nad zlewem Randy'ego z twarzą pokrytą pianą. Wilgotna na ramionach, za duża czerwona koszula przyklejała się do szczupłego ciała chłopca. Brandon właśnie się prostował, a jego potężna, męska sylwetka zdawała się całkowicie wypełniać małe pomieszczenie. Mokre kosmyki włosów spadały na czoło i zaciśnięte powieki. Krople wody spływały po gładkiej płaszczyźnie silnie zarysowanej szczęki i wsiąkały w niebieską płócienną koszulę. Długie, smukłe palce przejechały po opalonej skórze szyi, splukując z niej resztki mydła. Ten ruch sprawił, że Victoria spojrzała na umięśnione i niewątpliwie silne przedramiona.

- O, nie - szepnęła, zdumiona reakcją swojego ciała. Cał-

kiem niedawno zdołała sobie wmówić, że tamten moment w domu był tylko wytworem jej wyobraźni. Najwyraźniej niepotrzebnie się oszukiwała, bo patrząc na myjącego się Brandona Ferringera, znów czuła, jak ogarniają ją fale gorąca.

Spostrzegła zaciekawiony wzrok syna i przywołała się do porządku.

- Rzeczywiście możecie już siadać do stołu.

Randy szybko wyciągnął przed siebie ręce i uniósł twarz.

- Już się umyłem! I jestem głodny.

- Ja pachnę mydłem - skromnie oświadczył Brandon.

- Mamo, włożyłaś nową bluzkę - oskarżycielskim tonem stwierdził chłopiec. - Dlaczego?

No tak, nie udało się. Victoria liczyła na to, że syn nic nie zauważy, ale nadzieja okazała się płonna. Jak każdy ośmiolatek, Randy ignorował tylko te fakty, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko niemu. Stała zakłopotana spojrzeniem własnego dziecka i machinalnie skubała obrębek bluzki. Zresztą nie był to żaden oszałamiający ciuszek, tylko zwyczajna koszula w kratkę, równie stara jak reszta garderoby Victorii. Ale lawendowy kolor podobno podkreślał kolor jej oczu, choć oczywiście wcale nie z tego powodu się przebrała.

Randy wciąż świdrował ją wzrokiem, którego nie powstydzili się sam wielki inkwizytor Torquemada.

- Eee... na tamtej koszuli było pełno siana.

- Na twoich ubraniach zawsze jest pełno siana.

- Widzę, że jesteś czysty. Może siądziesz przy stole?

- Jasne! - Wizja jedzenia sprawiła, że Randy pognał do kuchni. Wychowywanie dzieci niewątpliwie składało się z dziesięciu procentach z umiejętności i dziewięćdziesięciu procentach z klasycznego przekupstwa.

Victoria odwróciła się do Brandona. Przypuszczała, że chyba nadal ma głupią minę. Za to on wyglądał doskoriale. Dziś

po południu, tuż po przyjeździe, nie sprawiał najlepszego wrażenia. Był zbyt ponury i jakby przygaszony. Natomiast teraz wydawał się wypoczęty i zrelaksowany. Victoria nie wątpiła, że częściowo była to zasługa Randy'ego.

- Prawda, że jest wspaniały?-spytała.

- Tak. Łatwo go polubić - szybko potwierdził Brandon, patrząc na nią z zachwytem. Tak, Randy rzeczywiście wywierał na ludzi zadziwiający wpływ...

Victoria już się odprężyła, ale w tym momencie Brandon zrobił krok w jej stronę, więc bezwiednie wciągnęła powietrze, a jej puls gwałtownie przyspieszył.

- Dziękuję za zaproszenie na obiad, Victorio. Na ogół jadę w samotności.

- Proszę bardzo - odparła.

Jej głos zabrzmiał o dwie oktawy za wysoko, więc wbiła paznokcie we wnętrze dłoni. Do licha, była zbyt dojrzała i rozsądna, aby tak reagować. Owszem, Brandon Ferringer miał ten specyficzny, pociągający wygląd krzepkiego, wysportowanego mężczyzny, ale ona musiała gospodarować na ranchu i wychowywać syna. Już dawno pozostawiła za sobą stadium, w którym mężczyźni wywierali na niej piorunujące wrażenie. Co innego, gdyby Brandon Ferringer potrafił trenować konie, odbudować dom lub sprawić, żeby pieniądze rosły na drzewach...

- Mamo! - głośno zawołał Randy. Victoria uśmiechnęła się. O, tak, wiodła rzeczywiście fascynujące życie.

- Tak działa nasz pager - wyjaśniła Brandonowi.

- Wysoce skuteczny.

- Och, to jeszcze nic takiego. Chodźmy jeść.

- Świetnie. - Ruszył obok niej do kuchni. - Już nie mogę się doczekać, Victorio - dodaj pod nosem. - Musisz wiedzieć, że umyłem sobie również kark.

RS



## ROZDZIAŁ 2

Było miło znów zobaczyć przy swoim stole mężczyznę. A przez to Victoria rozumiała kogoś, kto nie jest krewnym, kto nie będzie mierzwić jej włosów, siorbać przy jedzeniu lub doprowadzać do szału głupimi żartami. Kogoś, kto się nie garbi, mówi „proszę” i „dziękuję” oraz je z taką spokojną godnością, że nawet Randy z wrażenia spróbował zachowywać się odpowiednio.

Ojciec Victorii sprawdził dane na temat Brandona. Wiedziała więc, że nie ma przeszkód, że zainstaluje się on i będzie spał w małym domku odległym od jej sypialni o piętnaście metrów.

Victoria gwałtownie dziabnęła widelcem ziarnko zielonego groszku i przecięła je na pół. Nie myśl o tym, nakazała sobie w duchu, nie wolno ci o tym myśleć. Musisz wychowywać syna, zajmować się ranczem, trenować dwa żrebaki, płacić ranchunki, kupować paszę...

- Mamo! - zawołał Randy. - Podasz mi wreszcie te ziemniaki?

Przysunęła mu miskę ziemniaczanego puree. Troje głodnych ludzi w milczeniu jadło gorący posiłek. Victoria znów spojrzała na Brandona. Na razie wszystko wskazywało na to, że smażony kurczak mu smakował.

Gotowanie nie należało do jej ulubionych zajęć. Codziennie wstawała o świcie, karmiła i trenowała konie, załatwiała różne sprawy i dbała o Randy'ego. Po całym dniu ciężkiej pracy gotowała obiad, który na ogół składał się z czterech podstawowych elementów. Nie miała ani czasu, ani skłonności do szykowania wyrafinowanych potraw.

Dawniej, jeszcze przed ślubem, była na tyle młoda lub naiwna, że wyobrażała sobie siebie w roli idealnej pani domu.

Zamierzała hodować konie, wychowywać dzieci, przyrządzać wspaniałe potrawy. Jej mąż oczywiście wzorowo gospodarowałby na ranchu. Beaverville w stanie Oregon nie oferowało prawie żadnych rozrywek w piątkowy wieczór. Dlatego Victoria i jej koleżanki ze średniej szkoły rozprawiły o swoich marzeniach i snuły ambitne plany, z których niewiele udało się później zrealizować. Okazało się, że chyba nie sposób uciec od konsekwencji małomiasteczkowej nudy i młodzieńczej ignorancji. Dane statystyczne znalazły potwierdzenie również i w Beaverville. Gdy Victoria miała siedemnaście lat, pierwsza z jej przyjaciółek zaszła w ciążę. Rok później prawie wszystkie już spodziewały się dzieci, jak gdyby ciąża była jakąś zaraźliwą chorobą. Victoria złapała ją dwa miesiące po maturze.

Podobnie jak większość ich przyjaciół, Victoria i Ronald wierzyli, że ich związek będzie udany. Byli sobą absolutnie zafascynowani. Ta miłość od pierwszego hormonu zaowocowała natychmiastowym ślubem. Przecież oczekiwali od życia właśnie tego - małżeństwa i dzieci. Rzeczywistość nie miała jednak wiele wspólnego z marzeniami. Gdy urodził się Randy - płaczący, wymagający opieki - Ronald skorzystał z jedynej drogi ucieczki, jaką dysponował. Pieluchy zupełnie go nie interesowały. Ani wrzeszczące niemowlęta. Perspektywa zajmowania się takim delikatnym maleństwem wydawała się przerażająca.

Ronald wolał spotkania z kumplami, pijatyki, zabawy i wszczynanie bójek w barze Whiskey Jack's. Początkowo Victoria wmawiała sobie, że to normalne. Że chłopaki muszą się wyszumieć. Bóg świadkiem, że jej braciom także zdarzało się zaszaleć. Dopiero ojciec powiedział jej o tym, że Ronald handluje narkotykami i sam jest ćpunem. Aż do tej pory Victoria po prostu usiłowała nie dostrzegać oczywistych faktów.

Rodzice na szczęście nie wychowali jej na pokorną kurę

domową, a bracia nauczyli ją odwagi. Przeprowadziła z Ronal-dem zasadniczą rozmowę i dała mu ostatnią szansę. Nie skorzystał z niej. Gdy opróżnił ich bankowe konto ze skromnych oszczędności, wyrzuciła go z domu i samodzielnie zajęła się wszystkim. A jej bliscy stanęli po jej stronie, ponieważ właśnie tak postępują zżyte rodziny.

Rodzice podżyrowali jej pożyczkę na kupno rancza i ułatwili opłacenie pierwszej raty. Bracia pomagali przy realizacji trudniejszych zadań, a Randy nigdy nie cierpiał z powodu braku zainteresowania ze strony mężczyzn. Dom oczywiście mógłby być trochę lepszy - czystszy, ładniejszy i lepiej wyposażony. Ale dach nie przeciekał, a ciepła woda leciała z kranu, jeśli odpowiednio stuknęło się w rurę. Niestety, nie stać jej było na eleganckie buty i rękawice do gry w baseball, które mieli inni chłopcy w drużynie Randy'ego. Zamiast nowej encyklopedii lub komputera Randy miał globus, który kupiła mu za grosze na garażowej wyprzedaży. Był z 1972 roku i Victoria wciąż przypominała sobie, aby powiedzieć synowi, że ten wielki twór pod nazwą Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich już się rozpadł.

Victoria nie oddałaby swojego syna za największe skarby świata. Gdyby mogła rozpocząć wszystko od nowa, popełniłaby dokładnie te same błędy, aby tylko mieć Randy'ego. Aby móc trzymać go w ramionach i słyszeć, jak woła „Mamo!”. Ona i Randy tworzyli wspaniały duet.

Zastanawiała się, czy - siedząc w starej, zaniedbanej kuchni i jedząc prosty, wiejski posiłek - Brandon Ferringer myśli podobnie. Ojciec sprawdził dane dotyczące jej lokatora. Zgodnie z nimi Brandon był kimś w rodzaju Donalda Trumpa – bogatym bankierem z Nowego Jorku, specjalistą od inwestycji. Wynajmował ekskluzywny apartament w centrum Manhattanu,

miał więcej złotych kart kredytowych niż Victoria koni i zdobył tyle naukowych tytułów i dyplomów, że mógłby wytapetować nimi dużą ścianę.

Mógłby też zamieszkać w o wiele bardziej atrakcyjnym miejscu niż jednopokojowy domek Victorii, a jako bankier zarobić w pół roku tysiąc razy więcej niż jako strażak, który dostaje dziesięć dolarów za godzinę i zмага się ze ścianą ognia.

Mógłby, ale najwyraźniej nie chciał. Victoria dość dobrze знаła ten gatunek mężczyzn. Pomijając pieniądze, Brandon niewiele różnił się od jej szalonych, kochających przygody braci. I tak samo jak oni, tak samo jak chyba wszyscy znani jej mężczyźni, on także nie należał do tych, którzy zatrzymują się gdzieś na dłużej.

- Jak ci smakuje kurczak? - zapytała po długim milczeniu.

- Pyszny.

Brandon właśnie zabierał się za trzeci kawałek Victoria nie widziała jeszcze nikogo, kto jadłby kurczaka nożem i widelcem, jej gość robił to bardzo zręcznie. Randy także spróbował zastosować tę technikę i udko natychmiast wylądowało mu na kolanach. Nie zrażony niepowodzeniem, położył mięso na talerzu i przystąpił do kolejnej próby.

- Mógłbym prosić o dokładkę groszku, Victorio?

- Kto to jest Victoria? - spytał Randy, wciąż zmagając się z kurzym udkiem.

- Ja jestem Victoria.

- Ty jesteś Vic albo mama. Ale on nie może nazywać cię mamą. Tylko ja mam do tego prawo.

- Wobec tego pan Ferringer może do mnie mówić Victorio.

- Nie miała nic przeciwko temu, aby zwracał się do niej w taki sposób. To znaczy, aby wymawiał jej imię z tym zabawnym akcentem.

- Ale ty nie lubisz, jak ktoś mówi Victorio.
- Randy, daj spokój.
- Victoria to imię dziewczyny - z kwaśną miną stwierdził

Randy.

- Muszę znaleźć taśmę samoprzylepną - odparła w odpowiedzi.

- Dostanę trochę groszku? - ponownie poprosił Brandon. Podawała mu salaterkę i uśmiechnęła się przepraszająco.

- Nasze obiady mają mało oficjalny charakter. Na ogół jadamy tylko we dwoje, czyli Randy i ja... Żyjemy dosyć... zwyczajnie.

- To ma swój urok. Przypomina mi dom mojej babci.

- Pana babcia mieszka w Anglii? - z nie skrywanym zainteresowaniem spytał Randy. - Znalazłem Anglię na mapie. To na innym inkontynencie.

- Kontynencie.

- Właśnie.

- Moja babcia nie mieszka w Anglii - wyjaśnił Brandon - ale tam się wychowałem, więc cieszy mnie, że potrafisz odszukać ten kraj w atlasie. Więcej Jankesów powinno umieć zlokalizować kraj, z którego pochodzą.

Randy cały się rozpromienił. Brandon wziął do ręki widelec.

Victoria wzniosła oczy ku niebu. Jankesi. Coś takiego!

- Prawdę mówiąc, moja babcia Lydia prowadzi mleczarnię w Tillamook. Tutaj w Oregonie, na wybrzeżu. Jadłeś kiedyś ser z Tillamook?

- Tak. - Randy skrzywił się. Miasta w Oregonie nie wydawały się takie ekscytujące jak angielskie. Już jako sześciolatek zakomunikował rodzinie, że zamierza wyjechać z Beaverville, bo jest tu zbyt nudno. Victoria miała nadzieję, że jeszcze przez kolejne sześć lat będzie się zastanawiał, dokąd się udać.

- Tillamook to śliczna miejscowość - stwierdziła spokojnie. - Jest taka... taka zielona.

Brandon skinął głową.

- Nawet bardzo - potwierdził. - Moja babcia przybyła tu z Teksasu podczas Wielkiego Kryzysu. Jechała przez kilka tygodni. Lubi powtarzać, że zakochała się w Oregonie od pierwszego wejrzenia. Podobno w chwili, gdy ujrzała łagodne, zielone wzgórza i otoczone mgłą górskie szczyty, zrozumiała, że pragnie tu pozostać. Mój ojciec urodził się na farmie. Gdy jego samolot się rozbił, babcia postanowiła, że ja i moje przyrodnie rodzeństwo - C.J. i Maggie - będziemy spędzać każde lato w Tillamook. Chciała, żebyśmy jak najwięcej nauczyli się o tym miejscu i o sobie nawzajem. To zawsze były wspaniałe wakacje.

- Twoja babcia to zdaje się bardzo mądra kobieta.

Po twarzy Brandona przesunął się cień. Wyrażał chyba tęsknotę za domem... jak gdyby dojrzały Brandon Ferringer wciąż z rozrzewnieniem wspominał lata swojej młodości, a nawet żałował, że już ma je za sobą.

- Skończyłem - oświadczył Randy.

Victoria oderwała wzrok od Brandona i spojrzała na syna.

- Zjedz swój groszek.

- Zjadłem dwa.

- Wiem. Teraz spróbuj zjeść dwie łyżeczki groszku.

Randy jęknął ostentacyjnie i z miną męczennika popatrzył na Brandona, oczekując wsparcia z jego strony. Ale Brandon nałożył na widelec górę groszku, wsunął go do ust i spałaszował z takim smakiem, jak gdyby od wieków nie jadł nic równie doskonałego.

- Ohyda - burknął Randy i niechętnie poszedł w ślady Brandona. Victoria posłała mu uśmiech pełen wdzięczności.

- Moja siostra także mieszka w Oregonie - po chwili ode-

zwał się Brandon. - Jej mąż jest programistą. Opracowuje gry komputerowe na CD-ROM. Nazywa się Cain Cannon. Może o nim słyszałeś? Jego największym sukcesem jest „Ucieczka”.

- Nie znam tej gry - powiedział Randy. - Nie mam komputera. -Z wyrzutem popatrzył na matkę.

Jeszcze bardziej niż nową rękawicę do baseballu Randy pragnął mieć komputer. W zeszłym tygodniu długo wyjaśniał Victorii, jak bardzo przydałby się im taki sprzęt. Mogłoby za jego pomocą prowadzić rachunkowość rancza i rejestrować dane dotyczące hodowli koni. Napomknął, że jeden z jego kolegów, Arnie, ma komputer, który służy mu dosłownie do wszystkiego - odrabiania lekcji, zbierania informacji, wędrówek po internecie. Oraz do grania w gry komputerowe, pomyślała Victoria. Dobrze wiedziała, co robią dzieci wpatrzone w monitor.

- Przykro mi, Randy, ale komputery to kosztowna inwestycja - oznajmiła stanowczym tonem. - Sądzę jednak - spojrzała synowi prosto w oczy, aby skupić na sobie jego uwagę - że latem mógłbyś mi pomóc zając się jednym ze źrebaków. Po odpowiednim treningu ta klaczka jesienią będzie warta masę pieniędzy. Spróbujemy ją sprzedać. Jeśli odliczymy koszty paszy, hodowli i trenowania, to może jeszcze zostanie nam trochę funduszy, żeby kupić... Och, czy ja wiem... Powiedzmy, komputer.

- O, rany! - Oczy Randy'ego rozszerzyły się z wrażenia. - Cudownie! Wspaniale! - Zerwał się z krzesła. W imponującym tempie obiegł stół i zatrzymał się obok Brandona. - Nasze źrebaki to królewska rasa! Są piękne! Mają rodowody! Pokażę je panu po obiedzie, jeśli pan chce. Nazywają się Mary i Libby. Już podchodzą, gdy się je zawoła po imieniu. Są nadzwyczajne - mają specjalne mer... met...

- Metryki.

- Właśnie. Jak mama wytrenuje te źrebaki, to będą warte fortunę. Moja mama jest najlepszym trenerem w Beaverville.

Nikt jej nie dorówna! - W podskokach podbiegł do Victorii taki rozpromieniony, że poczuła się jak najlepsza matka w całej Ameryce. Zawsze zdumiewało ją to, że w oczach syna jest bohaterką. Osobą, której wszystkie zamierzenia się udają.

- Będę je z tobą uczyć. Codziennie - pośpiesznie zapewnił Randy. - Ale przed lub po baseballu, dobrze? Nie mogę opuszczać treningów.

- Wobec tego żrebakami będziemy zajmować się rano.

- Dostanę komputer! Będę mógł grać! - Randy szalał z radości. - Nauczę się poruszać dźwignią, patrząc na ekran, żebym kiedyś mógł zostać pilotem myśliwca. - Uniósł rękę, wycelował wskazującym palcem w miskę z ziemniakami i posłał w nią serię wyimaginowanych strzałów. - Będę najlepszym pilotem na świecie!

- Wspaniały pomysł - poważnie stwierdził Brandon.

- Komputer nie służy tylko do grania - zauważyła Victoria.

- Zostanę pilotem! -jeszcze raz zawołał Randy.

- Doskonale, mistrzu pilotażu. Zjedz swój groszek.

Na deser była szarlotka i czarna kawa dla dorosłych.

Brandon uparł się, że pozmywa naczynia, toteż Victoria siedziała przy stole i patrzyła. Uznała, że to niezłe rozwiązanie. Po pewnym czasie Randy rozłożył na blacie książki i zeszyty i zaczął odrabiać lekcje. Od niedawna uczył się mnożenia ułamków i oboje mieli z tym poważne trudności. Victoria skończyła szkołę średnią, ale teraz zastanawiała się, jakim cudem zdołała tego dokonać. Najbardziej przekonującym argumentem przeciwko uprawianiu seksu wydawało się to, że pewnego dnia trzeba będzie pomagać swoim dzieciom w nauce.

Z trudem przebrnęła przez pierwsze zadanie, dzieląc swoją uwagę między wysiłki syna a Brandona Feringera. Dlatego nie zdziwiła się, gdy cztery kolejne równania wyszły źle.



- Nie musicie wyznaczać wspólnego mianownika - nieoczekiwanie odezwał się stojący przy zlewie Brandon.

- Słucham?

- Żeby pomnożyć ułamek przez ułamek, mnożymy licznik przez licznik i mianownik przez mianownik. Znalezienie wspólnego mianownika jest konieczne przy dodawaniu.

- Ale chyba trzeba odwrócić drugi ułamek?

- Odwraca się go przy dzieleniu.

- Ach tak!

Randy siedział z taką miną, jak gdyby był gotów porzucić szkołę. Szczerze mówiąc, Victoria nie miała mu tego za złe.

- Pomogę ci, jeśli chcesz.

Randy natychmiast poweselał. Brandon umieścił ostatni poobijany talerz w suszarce, wytarł dłonie w starą, oliwkowozieloną ścierkę i podszedł do stołu. Odsunął krzesło i odwrócił je oparciem do przodu. Usiadł na nim okrakiem, żeby móc wyprostować nogi i pomasować bolące mięśnie ud.

- Mogę? - zapytał. Randy z ulgą podał mu podręcznik. - Trochę znam się na matematyce. W dzisiejszych czasach giełdowe inwestycje realizuje się w oparciu o wyznaczone pochodne i równania wykładnikowe.

- Nie rozumiem nawet tego, co powiedziałaś - szczerze przyznała Victoria.

- Większość ludzi nie rozumie - odparł z szerokim uśmiechem.

- Jesteśmy troszeczkę arogancy?

- To łagodniejsze określenie stosowane przez większość ludzi.

Wziął żółty ołówek Randy'ego i na poliniowanej kartce w komputerowym tempie zaczął pisać przykłady.

- O, rany - westchnął Randy, gdy Brandon skończył i odłożył ołówek.

- A teraz wszystko ci wytłumaczę.

Zrobił to tak zrozumiale, że pod koniec lekcji nawet Victoria znów mogłaby wrócić do szkoły.

- Często pomagałem w lekcjach mojemu przyrodniemu rodzeństwu - wyjaśnił mimochodem.

Zerknął na zegarek i wstał. Zrobiło się późno. Zarówno Victoria, jak i Randy powinni wkrótce iść spać. Ale chłopiec najwyraźniej o tym nie myślał. Wpatrywał się w Brandona z niekłamanym uwielbieniem, a Victoria zastanawiała się, w którym momencie świeżo upieczony lokator stał się bohaterem tego wieczoru.

- Bardzo... bardzo ci dziękuję - powiedziała w końcu.

- Nie ma za co.

- Jutro też mi pan pomoże?

- No cóż... Nie wiem. - Brandon Ferringer wydawał się zdumiony, jak gdyby nie planował swojego życia z takim wyprzedzeniem. Wyraz jego twarzy przywołał Victorie do porządku. Przecież dobrze знаła ten typ człowieka. Wiele razy miała do czynienia z wysportowanymi, energicznymi mężczyznami, którzy podróżowali tylko z jedną torbą.

Podniosła się z krzesła i pieszczotliwie zmierzwiła czuprynę syna.

- Czas do łóżka. Pan Ferringer musi przygotować się do strażackiego szkolenia. Nie możemy zabierać naszemu gościowi zbyt wiele czasu.

Chłopiec bez wątplenia chciał zaprotestować. Spojrzał na matkę, wypatrując oznak niezdecydowania, ale ich nie dostrzegł. Przeciwnie, Victoria zacisnęła wargi, więc tylko westchnął ostentacyjnie głośno i zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Umyj zęby. Zaraz do ciebie przyjdę.

Randy skinął głową. Pobiegł do drzwi, ale w połowie

kuchni zaskoczył wszystkich, ponieważ nagle zawrócił i szybko, prawie ukradkiem uściśnął Brandona. Zaczerwieniony po uszy wypadł na korytarz.

Brandon popatrzył za chłopcem, z lekka oszołomiony.

- Jest właśnie w tym wieku - odezwała się Victoria. — Pewnie będziesz chciał ustalić dla Randy'ego jakieś granice. W przeciwnym razie wejdzie ci na głowę.

- W tym wieku? - powtórzył pytająco. - Co przez to rozumiesz?

- Cóż, ma osiem lat i widzi, że inne dzieciaki przychodzą na mecz ze swoimi ojcami, a nie tylko z wujkami. Szaleje na punkcie sportu i jest zafascynowany dorosłymi mężczyznami, a na co dzień w domu przebywa tylko ze mną. Staram się naświetlać mu różne sprawy, lecz przyznam, że sama za dobrze nie rozumiem chromosomu Y. Nie mam pojęcia, dlaczego po zdobyciu sześciu punktów zawodnicy klepią się nawzajem po siedzeniach. To dla mnie czarna magia - przyznała żałośnie.

Brandon na szczęście potrafił docenić jej wysiłki.

- Rzeczywiście masz niełatwe zadanie - powiedział łagodnie - ale jeśli liczy się dla ciebie opinia laika, to wydaje mi się, że świetnie sobie radzisz.

- Dzięki, robię, co mogę.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. W milczeniu patrzyli sobie w oczy i Victoria nawet nie potrafiłaby sprecyzować tego, co nagle ich połączyło. Autentyczna sympatia, zauroczenie, pociąg fizyczny... Wszystko razem sprawiło, że westchnęła z wrażenia, jej puls przyspieszył jak szalony, a ona sama mimo woli odchyliła głowę do tyłu. Dokładnie tak, jak robi to kobieta, która spodziewa się, że mężczyzna ją pocałuje.

Brandon postąpił pół kroku w jej stronę i wychylił się odrobinę do przodu. Oboje zastygli w bezruchu, czekając na

coś, co miało się wydarzyć.

I nagle odsunęli się od siebie.

- Powinienem iść do łóżka - rzeźkim tonem stwierdził Brandon.

- Ja też. To znaczy do swojego łóżka. W moim pokoju. Oczywiście, że tam. Tak.

Brandon z powagą kiwał głową, jak gdyby Victoria wygłosiła jakąś niezwykle mądrą kwestię.

- I ja pójdę spać. Muszę wcześniej wstać i rozpocząć treningi.

Sześć miesięcy na etacie strażaka to nie żarty.

- Całe sześć miesięcy - powtórzyła współczująco.

- Tak, pół roku - wyjaśnił inteligentnie.

Wyczerpali temat i w kuchni zapanowało niezręczne milczenie. Brandon ruszył do wyjścia, ale zaraz się zatrzymał i wyciągnął rękę.

- Dziękuję za dzisiejszy wieczór, Victorio - powiedział oficjalnie.

- Proszę bardzo.

Energicznie uściśnęła mu rękę. Oboje skinęli głowami jak para rozsądnych dorosłych. Brandon wyszedł i szybko pomaszerował do swojego domku. Victoria przez chwilę stała przy drzwiach, wbijając paznokcie w skórę dłoni, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Na przykład nie zawołać Brandona. I nie iść z nim do sypialni.

To tylko przechodzień, Vic, przypomniała sobie w duchu. Po prostu przechodzień.

Victoria i Randy wstali jeszcze przed świtem. Pośpiesznie razem zjedli śniadanie składające się z gorącej zupy mlecznej i soku pomarańczowego. W weekendowe poranki chłopiec zazwyczaj karmił kurczaki i konie, ale dzisiaj miał iść z Arniem

na wycieczkę, więc zamienił się z matką obowiązkami. Napelnił butelki wodą do picia, a Victoria przygotowała mu kanapki. Randy chwycił torbę z lunchem i pognął na spotkanie z kolegą. Victoria została sama i dom nagle wydał się o wiele za cichy.

Sprawdziła zapas kukurydzy w worku stojącym obok tylnych drzwi. Ziarno prawie się kończyło. Konie potrzebowałyby więcej owsa. Uznała, że musi pojechać do sklepu z paszą. Skrzywiła się. Najgorsze było to, że zwierzęta bez przerwy jadły, a rachunki do zapłacenia rosły w zastraszającym tempie. Czasem wydawało się jej, że mimo ciężkiej harówki nigdy nic nie osiągnie. Zupełnie, jak gdyby biegła po ruchomej bieżni - dawała z siebie wszystko, a i tak nie posuwała się do przodu.

Ściągnęła swoje jedwabiste, jasne włosy w koński ogon, umyła twarz i poszła nakarmić kury. W zeszłym tygodniu przedstawiła kurnik, co spowodowało uraz psychiczny u jego mieszkańek. Dopiero wczoraj zaczęły powtórnie się nieść. Victoria znalazła trzy jajka. Uznała, że to niezły wynik. Kury prawdopodobnie jeszcze przez tydzień będą koić zszargane przeprowadzką nerwy. Na razie w lodówce było wystarczająco dużo jajek, żeby Victoria jutro mogła zrobić dla siebie i Randy'ego francuskie grzanki na niedzielne, tradycyjnie śniadanie. Później zamierzali pójść do kościoła, a następnie do jej rodziców na obiad, który zazwyczaj był zbyt obfity, i wszyscy pękali z przejedzenia.

Victoria skierowała kroki do stajni. Słońce dopiero zaczynało wschodzić. Pastwiska pokrywała srebrzysta rosa, a czyście, rześkie powietrze przyjemnie chłodziło policzki. Było cicho i spokojnie. Gdzieś w oddali rozległ się ptasi świergot. Łagodny wiaterek niósł ze sobą aromat starych sosen i młodej trawy.

Z całego dnia Victoria najbardziej lubiła poranek.

Wszystko wokół było takie świeże i nowe, a ona tak bardzo cieszyła się każdą cząstką swojego życia. Miała wspaniałą rodzinę i cudownego syna. Gospodarowała na ranchu i trenowała konie. Mieszkała w Beaverville w Oregonie, gdzie błękitne niebo sięgało aż po odległy horyzont. Tam spotykało się z górami o białych szczytach i zielonych, zalesionych stokach. Żadne miejsce na świecie nie dorównywało urodą temu zakątkowi Ameryki.

Z uśmiechem na twarzy lekkim krokiem weszła do stajni. Wesoło pogwizdując, w czterdzieści minut wykonała te zajęcia, które zazwyczaj zabierały jej godzinę. Oszczędziła dwadzieścia minut. Mogła więc, na przykład, pojechać do miasteczka i kupić wystarczająco duży zapas paszy. Nie byłaby właścicielką rancha, gdyby nie miała długów.

Idąc przez podjazd, zerknęła na domek. Nie zauważyła żadnych oznak, które wskazywałyby na to, że jej lokator już wstał. Była dopiero siódma rano. Victoria nie przypuszczała, żeby w sobotę mieszczychy budziły się przed dziewiątą.

Przystanęła, chociaż wcale nie chciała tego zrobić. Oczywiście nie zamierzała też śnić o Brandonie Ferringerze. A jednak właśnie to zdarzyło się jej wczorajszej nocy. Wbrew swoim intencjom pozwoliła się rozszaleć wyobraźni. Dopuszczała do tego, że zalała ją fala erotycznych marzeń, które później zdominowały jej sen.

Westchnęła i przygryzła dolną wargę. Mimo woli znów zaczęła myśleć o Brandonie. Bardzo jej się podobał. Ale ona przecież od tak dawna z nikim się nie kochała, że niemal zapominała, jak to jest trzymać w ramionach mężczyznę. Cóż, Beaverville nie obfitowało w młodych, atrakcyjnych mężczyzn. A Brandon Ferringer był przystojny, miły i inteligentny, miał imponujące mięśnie i spał kilkanaście metrów od okna jej sypialni.

No dobrze, ten osobnik rzeczywiście jest pociągającym przedstawicielem męskiego gatunku. I co z tego? Ona już daw-

no przestała być beztroską i swobodną dziewczyną. Nie powinna nawet na moment zapominać o tym, że jest odpowiedzialną, ciężko pracującą samotną matką, która spodziewa się od życia czegoś więcej niż tylko kryzysu wieku średniego.

Czasem marzyła więc o tym, że znów jest zakochana, wychodzi za mąż i ma u swego boku dojrzałego, bliskiego człowieka.

Weszła do domu, chwyciła kluczyki i wróciła na podjazd. Jak lubiła mawiać jej matka, należało przestać się snuć, a wziąć się do roboty.

Wyjechała z podwórka i ruszyła stromym podjazdem. Po drugiej stronie szosy zauważyła swego lokatora. Biegł w górę nasypu w bardzo szybkim tempie. Oddychał głęboko i miarowo. Miał na sobie strój odpowiedni na poranny chłód - granatowy dres z golfem i czerwoną kamizelkę z miękkiej dzianiny, pozwalającą zachować ciepłotę ciała. Teraz jednak kamizelka była rozpięta, rękawy - podciągnięte do łokci, a na klatce piersiowej widniała ciemna plama potu.

Brandon najwyraźniej dobrze się rozgrzał, lecz nie zwalniał biegu. Długie, muskularne nogi pokonywały każdą nierówność ze zręcznością antylopy. Niektórzy ludzie biegali dla przyjemności. Inni - w celu utrzymania kondycji. Sądząc z wyrazu twarzy Brandona, on biegł, żeby cierpieć. Rysy miał ściągnięte, usta zaciśnięte. Nie ulegało wątpliwości, że zatrzyma się dopiero wtedy, gdy udowodni to, co zamierzał udowodnić w ten wczesny, sobotni ranek.

Victoria zwolniła i opuściła szybę. Wysoka, zgrabna męska sylwetka w obcisłym ubraniu prezentowała się wspaniale. Pod względem fizycznym Brandon Ferringer był idealnym kandydatem na strażaka.

Właśnie dotarł na pobocze i ciężko dysząc, zatrzymał się obok stojącego samochodu.

- Dzień dobry - odezwała się Victoria wesołym tonem. Brandon pochylił się, oparł łokcie o uda i wciągnął duży haust powietrza.

- Dzień dobry - wydyszał.

- Nieźle tempo - pochwaliła.

- Muszę przebiegać... jeden kilometr... w pięć minut. Jako strażak.

- Rozumiem - odparła ze śmiertelną powagą. Od Charliego wiedziała, że wszystko co dotyczy strażaków, ma poważny charakter. - Jaką obecnie osiągasz szybkość?

- Kilometr... w sześć... minut. Limit wynosi... siedem.

- No to możesz być z siebie dumny.

Brandon skrzywił się.

- Chcę zejść do pięciu. - Znów odetchnął głęboko i w końcu się wyprostował. Po jego twarzy spływały cieniutkie strużki potu, wilgotne brwi sterczały nad powiekami jak igiełki, a policzki były zarumienione z powodu wysiłku.

- Przecież jestem starym dziadem - stwierdził rzeczowo i wreszcie wyregulował oddech - oraz facetem z zewnątrz. Oficjalnie wymaga się, żeby przebiec kilometr w siedem minut, ale jak ktoś przekroczy sześć, staje się pośmiewiskiem. A ja powinienem być jeszcze lepszy. Muszę się po prostu wykazać.

Victoria skinęła głową. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Brandon ma absolutną rację.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Po paszę do miasteczka. A ty jakie masz plany?

- Żadnych. Gdzie Randy?

- Na wycieczce. Jeśli czegoś potrzebujesz... - Urwała. - Z miasta, oczywiście - dodała pośpiesznie - to możesz pojechać ze mną.

- Och, nie chciałbym cię zatrzymywać - odparł natychmiast.



- Wobec tego do zobaczenia. - Wrzuciła bieg, a Brandon błyskawicznie zmienił zdanie. Nie wiadomo dlaczego spodziewała się, że on to zrobi.

- Właściwie mógłbym zabrać się z tobą. Przecież jeszcze nie znam Beaverville.

- Zapewnię ci zwiedzanie z przewodnikiem.

- Muszę najpierw wziąć prysznic...

- Żaden problem - zapewniła. Oczywiście, że to był problem. Czekanie na mężczyznę to zawsze problem. Na pewno będzie nim również towarzystwo Brandona na przednim siedzeniu samochodu. A jednak uśmiechała się do niego, on do niej i wyglądało na to, że stracili rozum.

- Dasz mi dziesięć minut?

- Oczywiście.

- Dziękuję... Victorio. - Odwrócił się i pobiegł, a jego długie nogi z łatwością odnalazły odpowiedni rytm.

Victoria wlepiła wzrok w pośladki Brandona. Rzeczywiście były kształtne. Na miłość boską, skarciła się w duchu, o czym ja myślę! Walnęła dłonią o kierownicę, wtuliła się w oparcie i zacisnęła powieki, ale niewiele jej to pomogło. I tak oczami duszy widziała Brandona. Nie wątpiła, że gdy usiądzie obok niej, ona zarumieni się po korzonki włosów.

A jeśli będzie miała szczęście, to i on może się zaczerwieni.



## ROZDZIAŁ 3

Victoria prowadziła samochód jak szalona. Bez żadnego szacunku dla jego zabytkowej wartości i jęklivych protestów zmuszała go do dzikich podskoków na wyboistej polnej drodze. Gdy dotarli do skrzyżowania, Brandon przywarł do zakurzonej deski rozdzielczej, a Victoria zawadiacko skręciła na szosę. Wystrzeliła do przodu z ogromną szybkością.

- Pasy bezpieczeństwa działają - powiedziała lekkim tonem.

- Już za późno - mruknął, ale drżącymi rękami zapiął metalową klamrę. Victoria uśmiechała się od ucha do ucha. Ucie-

szyl się. Przynajmniej był w stanie ją rozbawić.

Dzisiaj miała na sobie chyba te same dzinsy co wczoraj i czystą flanelową koszulę w odcieniach brązu, a na niej podniszczony biały sweter z wzorem w warkocze i dziurą na ramieniu. Na twarzy nie było śladu makijażu, a jedwabiste włosy zostały ściągnięte w koński ogon. W świetle poranka jasne, srebrzystoniebieskie oczy wydawały się prawie przejrzyste.

Brandon widywał kobiety w jedwabiach i kobiety w kaszmirach, ale nigdy nie spotkał kobiety tak praktycznej, rozsądnej, a zarazem tak pięknej jak Victoria Meese.

Czuł się podniecony, zdezorientowany, dziwnie niespokojny. Próbował skierować myśli na odpowiedni temat, ale one wciąż powracały do Victorii. Jedyne, czego pragnął, to znów ją zobaczyć.

Nie przeżywał czegoś podobnego od tamtego dnia w kawiarni, kiedy poznał Julię. Nie poszedł wtedy spać, tylko długo krążył po mieszkaniu. Rozważał jeden plan po drugim i kolejno je odrzucał, szukając idealnego sposobu zdobycia tej zachwycającej kobiety. W końcu zasypał ją kwiatami, co zapoczątkowało półroczne, intensywne zaloty pełne róż, wytwornych kolacji i kosztownych jubilerskich podarków. Miał pieniądze i nie żałował ich na Julię.

Udało mu się ją zdobyć. Wyszła za niego roześmiana i radosna, a on miał wrażenie, że jest największym szczęściarzem pod słońcem.

Ale szczęście nie trwało długo. Brandon dobrze zapamiętał tę noc, kiedy wrócił do domu o drugiej nad ranem. Przez cały miesiąc tyrał do późna, opracowując projekt dotyczący emisji obligacji. W domu bywał najwyżej po kilka godzin dziennie. Tamtej nocy Julia czekała na niego. W ciemności słuchała radia. Ktoś akurat śpiewał piosenkę „Już nie przynosisz mi kwiatów”. Julia zaczęła płakać.

Nazajutrz wręczył jej dwa tuziny róż. Starał się wracać z pracy trochę wcześniej, powiedzmy o dziesiątej wieczorem, a nie o drugiej w nocy. I z coraz większą jasnością widział, że jego małżeństwo się rozpada. Nic nie mógł na to poradzić, chociaż wciąż kochał swoją żonę całym sercem i duszą. Bardziej niż kiedykolwiek.

Cóż, widocznie nie nadawał się do bliskiego emocjonalnego związku. Miłość okazała się zbyt wielkim wyzwaniem. Nie potrafił mu sprostać. Nieporównywalnie lepiej radził sobie jako himalaista i strażak.

- Jesteśmy na miejscu - wesoło obwieściła Victoria. - Oto śródmieście Beaverville. Nie mrugaj, bo je przegapisz.

Zwolniła i półciężarówka zaczęła sunąć ulicą w leniwym tempie. Brandon odsunął od siebie bolesne wspomnienia i z zaciekawieniem rozejrzał się wokół. Wzdłuż chodników stały zaparkowane stare ciężarówki w nie najlepszym stanie, współczesne konie z dwudziestowiecznego westernu. W sobotni rano Beaverville było ruchliwym miejscem. Potężnie zbudowani mężczyźni chodzili ciężkim krokiem po ulicach, czasem zatrzymywali się na chwilę, żeby pogawędzić z kimś znajomym. Podciągali stare, opadające dzinsy i wyjmowali z ich tylnej kieszeni puszki z tytoniem do żucia. Mimo wczesnej pory ludzie wchodzili nawet do baru Whiskey Jack's. Brandon miał nadzieję, że podawano tam śniadania. Zwątpił w to na widok jednego z klientów, który właśnie wychodził, zataczając się lekko.

Victoria gwałtownie przyhamowała i zgrabnie zaparkowała samochód tyłem do sklepu z paszą. Spod opon uniosły się tumany czerwonego pyłu. Victoria zgasiła silnik i świat wreszcie przycichł.

- Możesz już puścić kłamkę - oświadczyła z miną niewiniątka i wyskoczyła z szoferki.

Brandon także wysiadł. Ze sklepu wyszedł niski mężczyzna w średnim wieku. Miał kruczoczarne włosy i obwisłe policzki.

Victoria przywitała się z nim i przedstawiła go Brandonowi. Nazywał się Joel Logger. Sądząc z wystającego brzucha, który napinał tkaninę czerwonej kraciastej koszuli, Joel musiał lubić piwo. Znoszone džinsy wisiały na pękatej postaci niebezpiecznie nisko, podtrzymywane grubym skórzanym pasem z wielką srebrną klamrą. Wyglądałoby to niechlujnie, gdyby nie sympatyczny uśmiech Joela, inteligentne spojrzenie ciemnych oczu i mocny, serdeczny uścisk ręki.

- Więc to ty jesteś tym bohaterem z Nowego Jorku? - Joel kiwał się lekko na piętach, żuł koniec wykałaczkii wetkniętej w kącik ust i uważnie przyglądał się Brandonowi. - Podobno uratowałeś dwa dzieciaki.

- To stara historia.

- Nasz gość nie lubi o tym rozmawiać - powiedziała Victoria ze wzrokiem utkwionym w żółte plansze z cenami. - Wiesz, brytyjska powściągliwość i tak dalej.

- Brytyjczyk z ciebie, co? Witaj w Beaverville. U nas nie ma zanieczyszczeń powietrza ani miejskiej przestępczości. Brak też miejskich rozrywek, ale baseballowa drużyna radzi sobie coraz lepiej. Jeśli chcesz się zabawić, to radzę ci skoczyć do Bend. Tam są lepsze bary. Ale nie powtarzaj tego Jackowi.

- Będę pamiętał - zapewnił Brandon. A więc bar Whiskey Jack's został nazwany imieniem swojego właściciela.

- Ferringer przyjechał tu pracować, a nie zwiedzać bary.

- Victoria niecierpliwie przytupywała nogą. - Joel, błagam, powiedz mi, że te ceny nie są twoim ostatnim słowem.

Joel uśmiechnął się szeroko i poprowadził ich do środka. Tam zaczął targować się z Victoria,

Brandon postanowił rozejrzeć się po wielkim sklepie. Wrócił do tylnych drzwi akurat wtedy, gdy Joel i Victoria zakończyli targi. Uścisnęli sobie ręce. Brandon wrzucił wory z paszą na skrzynię półciężarówki, podczas gdy Victoria podpisywała kwit kredytowy.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziała, kiedy wyszła na zewnątrz i zobaczyła, że załadował jej zakupy.

- Wiem.

- Zabrałam cię ze sobą nie po to, by cię wykorzystać.

- Wiem o tym. Sądzę, że chodzi o mój niepowtarzalny brytyjski wdzięk.

Skrzywiła się i usiadła za kierownicą. Kilka kosmyków jedwabistych, jasnych włosów wysunęło się spod ściągającej je gumki i wijącymi się loczkami otoczyło twarz. Jednym silnym dmuchnięciem odrzuciła je do tyłu.

- Spragniony? - spytała nieoczekiwanie.

Przyglądał się jej uważnie. Odniosł wrażenie, że nagle stała się nerwowa. Zastanawiał się, dlaczego.

- Może trochę - odparł.

- Piłeś kiedyś wodę sodową wymieszaną z czekoladowymi lodami, człowieku z Wall Street?

- Chyba nie.

- No to będziesz miał okazję. - Szarpnęła za klamkę i wyskoczyła z samochodu. - Chodź, Ferringer. Tom ma prawdziwą lodziarnię na tyłach sklepu. Robi najlepsze zimne napoje w całej okolicy. Ja stawiam.

- Wołałbym...

- Zapraszam, więc płacę.

Sklep Toma znajdował się kilkanaście metrów dalej. Weszli do środka, zabrzmiała krótka melodyjka dzwonka, ale przy kasie nikt się nie pojawił. Oboje przedostali się więc przez wąskie przejście między regałami, na których umieszczono przy-

słowiowe mydło i powidło - począwszy od plastrów opatrunkowych, a skończywszy na wielkich kaloszach. Po drugiej stronie sklep nagle zmieniał się w białe, jasno oświetlone pomieszczenie. Rzeczywiście przypominało staroświecką lodziarnię z długim, laminowanym blatem i czerwonymi plastikowymi stołkami. Pod sufitem wisiał rząd gołych żarówek.

- Tom! - zawołała Victoria.

Z zaplecza wyszedł szczupły, siwowłosy mężczyzna. Pośpiesznie wytarł ręce o fartuch.

- Vic, jak miło cię widzieć!

- Jak się miewa mój ulubiony lodziarz? - Klepnęli się nawzajem w dłonie i wymienili serdeczne uśmiechy. Brandon uznał, że o nim chyba zapomnieli, ale Tom jakby czytał w jego myślach.

- A więc to ty jesteś nowojorczykiem? - Uściśnął mu rękę. Jak na starszego pana zrobił to energicznie i silnie. Brandon szybko ocenił jego wysportowaną sylwetkę i przenikliwe spojrzenie. Tom wyglądał na emerytowanego wojskowego. I to świetnie wyszkolonego.

- Brandon Ferringer, zgadza się? - Tom mrugnął porozumiewawczo. - W Beaverville uchodzę za najlepiej poinformowanego, nasi mieszkańcy przychodzą do mojego sklepu, żeby usłyszeć najnowsze plotki. Jeśli nie będę miał wieści z pierwszej ręki, ludziska przestaną u mnie bywać.

Victoria parsknęła śmiechem.

- To prawda - zwróciła się do Brandona. - Tom mieszka tutaj od niepamiętnych czasów i nic nie dzieje się bez jego wiedzy. Jeśli więc kogoś zdradzasz lub ukrywasz się przed wymiarem sprawiedliwości, to nie mów o tym Tomowi.

- Przyjechałem tutaj piętnaście lat temu i przejąłem redakcję miejscowej gazety - z dumą poinformował Brandona Tom. - Nakład był bardzo niewielki - tylko dwadzieścia pięć

egzemplarzy - więc to nie mogło trwać wiecznie. Teraz prosperuję dzięki ploteczkom, a ty stałeś się naszą najnowszą atrakcją. Chodzą słuchy, że jesteś bohaterem.

- Już ktoś mi to mówił. - Z kpiną w głosie odparł Brandon.

Patrzył na Toma z zainteresowaniem; Starszy pan zachowywał się kordialnie, mówił żartobliwym tonem, ale spojrzenie, jakim obrzucił Brandona, było uważne i czujne, i zupełnie nie pasowało do sklepikarza, swobodnie gawędzącego z klientem.

- Proszę wybaczyć, ale wyglądasz inaczej, niż przypuszczałem.

- Jestem zanadto brytyjski? - uprzejmie zapytał Brandon.

- Zanadto siwy.

- Wolę określenie „jasne pasemka”.

- W takim razie ja jestem kalifornijskim chłopakiem, który pływa na desce.

- Trafny wybór - przyznał Brandon z tak poważną miną, że Victoria parsknęła śmiechem. Tom również zachichotał.

- Widzę, że dasz sobie tutaj radę. Siadajcie. - Gestem wskazał czerwone stołki. Spoglądał na gości z taką sympatią, że Brandon zwątpił w swoją intuicję. Doszedł do wniosku, że poniosła go wyobraźnia. Podejrzliwość w stosunku do Toma chyba była nieuzasadniona.

- Dwie sodowe z lodami? - spytał Tom.

- Victoria twierdzi, że to twoja specjalność.

- Victoria? Aha, Vic. Oczywiście ma rację. Często tutaj wpada. Jest jedną z moich najwierniejszych klientek.

- Lepiej nie mów tego Randy'emu.

Brandon poczekał, aż Tom zacznie nakładać czekoladowe lody.

- Może słyszeliście o facecie, który nazywa się Bud Irving? - spytał lekkim tonem.



Tom znieruchomiał z dłonią w pudle z lodami. Victoria zeszywniała.

- Bud Irving? - powtórzyła ze zdumieniem.

- Czemu interesujesz się Budem? - ostrożnie zapytał Tom.

- Bud był kiedyś przyjacielem mojego ojca. Słyszałem, że może przebywać w tej części Oregonu.

- O, tak, Bud rzeczywiście przebywa w tej okolicy. - Tom znów zaczął nakładać lody do staroświeckich kubków. - Podobnie jak jego kamery, dobermany i szybkostrzelne karabiny. Cóż... Bud jest postacią nieco kontrowersyjną.

- To kompletny wariat - oświadczyła Victoria. - Zaszył się na szczycie swojej góry i wykrzykuje, że wszyscy chcą go załatwić. Na pewno ma więcej drutu kolczastego niż zdrowego rozsądku, a kiedy zjawia się w mieście, rozmawia z ludźmi, którzy nie istnieją.

- Prawdopodobnie powinien udać się do lekarza. - Tom wyraził swoją opinię bardziej dyplomatycznie.

- Był u lekarza. Później twierdził, że lekarz też chce go załatwić. - Victoria odwróciła się do Brandona. - W zeszłym roku uznaliśmy, że Bud należy do tych, którzy są w stanie wdrapać się na zegarową wieżę i strzelać do małych dzieci. Mój ojciec ma na niego oko. Gdy Bud wybiera się do miasta, musi zostawiać strzelbę w domu. Daj sobie z nim spokój.

- Rozumiem. - Brandon chciał, żeby zabrzmiało to obojętnie, ale sam usłyszał w swoim głosie napięcie. I znów odniósł wrażenie, że Tom spojrzał na niego badawczo. Wlepił wzrok w błyszczący blat. Ostatni żyjący świadek przeszłości, który mógłby rzucić światło na mroczną przeszłość Maksa Ferringera, był pomyłonym staruszkim cierpiącym na manię prześladowczą. Może właśnie tego należało się spodziewać.

Tom pchnął w ich stronę dwa kubki z czekoladowym deserem.

- Vic chyba ma rację - mruknął. - Lepiej trzymać się z daleka od Buda Irvinga.

- Na to wygląda - przyznał Brandon.

Przy frontowym wejściu odezwał się melodyjny dzwonek. Tom przeprosił ich i poszedł do części sklepowej. Victoria pochyliła się nad kubkiem i pociągnęła długi łyk pienistego napoju. Nadal jednak patrzyła na Brandona.

- Ile miałeś lat, gdy zginął twój ojciec?

- Jedenaście.

- I pamiętasz nazwiska jego przyjaciół?

- Jeśli ma się mało wspomnień, to człowiek pamięta nawet drobiazgi.

- Pewnie tak - zgodziła się, ale wiedział, że mu nie wierzy. Na szczęście przestała go indagować i łąpczywie popijała swój napój.

- Twój mąż często cię tu przyprowadzał?

- Nie, Ronald nie zaspokajał swojego pragnienia wodą sodową. Zdecydowanie wołał piwo.

Oboje umilkli, wpatrzeni w rząd żarówek. Victoria najwyraźniej bardzo lubiła czekoladową sodówkę, natomiast Brandon nawet nie czuł jej smaku. Myślał o zasiekach z drutu kolczastego, o dobermanach i szybkostrzelnej broni. O szalonym Budzie Irvingu i o wszystkich tajemnicach, których Maks Kameleon nadal nie chciał ujawnić.

Po przyjeździe na rancho ujrzeni młodego mężczyznę z niemodnie długimi, jasnymi włosami i małą kocią bródką. Siedział na frontowym ganku, trzymając na kolanach przymilnie mruczącego rudego kocura. Gdy wjechali na podjazd, blondyn bezceremonialnie zrzucił rudzielca na ziemię. Wstał i przeciągnął się, demonstrując gibkie, muskularne ciało,

Brandon domyślił się bez trudu, kim jest ten wysportowa-

ny, dobrze zbudowany chłopak.

- Charlie! - Victoria wyskoczyła z szoferki, choć samochód jeszcze się nie zatrzymał. - Kiedy wreszcie usuniesz z twarzy tego zdechłego szczura?

- Och, jestem po prostu zbyt stylowy na tle tej rodziny - wycedził Charlie. Skrzyżował ramiona na imponująco umięśnionej piersi opiętej niebieskim podkoszulkiem z napisem „Mercedes”. Z nie skrywanym zainteresowaniem przyglądał się Brandonowi, jak gdyby starał się go ocenić już od pierwszego spojrzenia.

- A więc jesteś strażakiem. - Zabrzmiało to jak wyzwanie, chociaż mina Charliego nie wyrażała zupełnie nic.

- Przestań się gapić - parsknęła Victoria. - Jeszcze chwila i będziecie się siłować na rękę. Mam lepszy pomysł. Na pace jest sto kilogramów paszy. Zużyjcie trochę swojego testosteronu na jej wyładowanie.

- Już się robi, siostrzyczko. - Charlie wolnym krokiem podszedł do ciężarówki. Chwycił jeden z worków i swobodnie przerzucił go sobie przez lewe ramię. Następnie złapał drugi dwudziestopięciokilogramowy wór, chrząknął i zarzucił go na prawe ramię. Zachwiał się, ale natychmiast się wyprostował. Przez cały czas nie odrywał wzroku od Brandona.

Brandon odebrał sygnał i doskonale go zrozumiał. Zaczynał pojmować, że najbliższe sześć miesięcy prawdopodobnie go zabije. Wzdychając w głębi duszy, zbliżył się do pojazdu i podjął rzuconą mu przez młodszego mężczyznę rękawicę. Ujął pierwszy worek i szybko zarzucił go na ramię. Nie jest tak źle, pomyślał. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, wsunął prawą rękę pod ostatni worek, stęknął, zachwiał się i dzięki boskiej pomocy także przerzucił go przez ramię.

Zatoczył się, odzyskał równowagę i stanął prosto. Pot spływał mu po twarzy. Obaj mężczyźni zmierz yli się wzrokiem.

- Brandonie Ferringer, miło mi cię poznać. - Charlie uśmiechał się od ucha do ucha. - Teraz tylko musisz zanieść je do stodoły - dodał niewinnie, lekko podrzucił worki, żeby ich ciężar lepiej się rozłożył i ruszył przez podwórze.

Brandon spostrzegł, że Victoria na niego patrzy, a Charlie czeka na rozwój wydarzeń. W tej sytuacji prawdziwy mężczyzna mógł zrobić tylko jedno. Brandon powoli się odwrócił, a zmęczone nogi zadrżały pod pięćdziesięciokilogramowym obciążeniem. Siłą woli zmusił je do marszu. Skoro wspiął się na Everest, to zdoła dotrzeć do stodoły. Tylko szkoda, że po Himalajach jego trzydziestosześcioletnie ciało jeszcze nie odzyskało dawnej kondycji.

Wtoczył się do stodoły trochę chwiejnie, dostrzegł swój cel, postąpił krok do przodu i omal się nie przewrócił. Oparł się na moment o ścianę, żeby do tego nie dopuścić. Niech licho porwie tego skurczybyka... Stanowisko paszowe wydawało się bardzo odległe. Charlie wziął się pod boki i z ironicznym uśmieszkiem obserwował zmagania rywala. Podziałało to na Brandona jak smagnięcie batem. Przyśpieszył kroku i ostatkiem sił zrzucił z siebie oba worki.

Za jego plecami Victoria zaczęła klaskać.

- Moje gratulacje, obaj jesteście nadzwyczajni! Czy teraz już mogę wam powiedzieć, że kukurydzę zawsze trzymam obok domu?

Brandon był pewien, że tym razem nie podoła wyzwaniu. Na szczęście Charlie najwyraźniej uznał, że dostatecznie wypróbował nowojorczyka, klepnął go w plecy i jedną ręką podniósł worek.

- Spokojnie, starszku. Ja się przelecę. Ty zachowaj trochę energii na mały jogging.

Charlie nie żartował. Brandon przebrał się w dres i obaj mężczyźni truchcikiem opuścili podwórko. Victoria mruzczała

coś o tępych neandertalczykach.

Charlie narzucił ostre tempo, ale Brandon tego się spodziewał. Jego nogi protestowały - były zmęczone i przyzwyczajone raczej do długich dystansów niż dużej szybkości. Na początku biegu Brandon zazwyczaj znajdował się na szarym końcu grupy, ale do mety docierał jako jeden z pierwszych, ponieważ młodszy biegacze z powodu wyśrubowanego tempa wcześniej odczuwali wyczerpanie. Należało biec powoli i miarowo oraz mieć nogi jakże stali - dzięki temu docierało się na sam szczyt.

Strażacy bez wątpienia musieli być wytrzymali. Jednak gdy ogień sunął z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, musieli również biegać jak gazy.

Charlie zgrabnie przeskoczył wąski strumień. Brandon dostał w bok kolki. Pochylił się trochę i zignorował ją, chociaż oddychanie stało się trudniejsze. Weź się w garść, Brandon! Weź się w garść!

Przestał reagować na smagające go po twarzy sosnowe gałęzie i czuć aromatyczne powietrze. Nie zwracał uwagi na lekkość biegu Charliego i zaskakujące nierówności terenu. Myślał o ojcu. Wspominał dzień, w którym Maks wyszedł z domu, aby nigdy do niego nie powrócić. Oczami duszy widział swoją matkę stojącą w foyer i mówiącą, że samolot ojca się rozbił. Stało się! Piekło w końcu pochłonęło Maksa. Wspominał też Julię. Wyobrażał sobie, jak musiała się opatulić tamtego lodowatego, zimowego dnia, gdy wybierała się na spacer. Wiedział, że tablica genealogiczna, którą przygotowywała, miała być specjalnym prezentem urodzinowym dla niego. Badała przeszłość Maksa, interesowała się więc również spółką, którą założył prawie czterdzieści lat wcześniej z Budem Irvingiem i Alem Simmons. Czy idąc wtedy przez Central Park, myślała właśnie o tej trójce? Może podziwiała błękitne niebo? A może marzyła o tym, że Brandon ulegnie jej błaganiom i przestanie tak ciężko

pracować?

Czy tamten napastnik powiedział: „Sprawę Maksa należy zostawić w spokoju”, zanim nacisnął spust?

- W porządku... wystarczy - wydzisał Charlie.

Umysł Brandona powrócił do teraźniejszości. Młodszy mężczyzna zwolnił do tempa pozwalającego ochłonąć. Gałęzie przestały ze świstem przecinać powietrze, a twardy, wyboisty grunt stał się jakby gładszy.

- Nie napalaj się tak, Ferringer. Już udowodniłeś, kim jesteś. Nie gnaj, bo sobie coś uszkodzisz. Chyba nie chcesz stracić formy przed poniedziałkiem?

Brandon zaczął biec wolniej. Płuca go paliły przy każdym wdechu. Lewy bok bolał. Przez chwilę masował go obiema rękami. Nogi miał jak z waty, w głowie mu szumiało.

Charlie w końcu ograniczył się do szybkiego marszu. W milczeniu szli ścieżką, słuchając świergotu nawołujących się ptaków, a tu i ówdzie śmigały prądkowane wiewiórki.

- Dlaczego to robisz? - zapytał Charlie.

- Co takiego?

- Dlaczego chcesz być strażakiem? - Charlie spojrzał na niego zniecierpliwiony. - Daj spokój, mój ojciec sprawdził cię na wszystkie strony. W miasteczku się mówi, że jesteś piekielnie bogatym bankierem z dyplomem ekskluzywnego uniwersytetu. Czemu taki krezus bierze skromną posadę?

- Chyba z tego samego powodu co inni.

- Zalewasz. My robimy to dla pieniędzy. Prawie nigdzie nie zarobię tyle co strażak, czyli dziesięć - dwanaście dolców za godzinę.

- A nogi cię bolą, gdy za długo siedzisz?

- Owszem. I kolana trzeszczą mi jak suche gałązki.

- Czy oddychanie sprawia ci coraz więcej trudności, gdy dłużej niż jeden dzień siedzisz w domu?

- Uhm.  
- Cierpisz na bezsenność i nogi same ci podrygują, żeby gdzieś się wyrwać, jeśli przez dwa dni nie biegasz lub nie wędrujesz?

- O, tak!  
- Więc robimy to z tego samego powodu - orzekł Brandon. - Ponieważ ja też tak reaguję.

Charlie przez chwilę przeżuwał jego słowa. Właśnie dotarli do końca szlaku, w milczeniu zawrócili i ruszyli w stronę rancza. Dzień był piękny, niebo - niebieskie, a strzeliste sosny - oszałamiająco zielone. Brandon już nie mógłby żyć bez tego wspaniałego świata i pod tym względem niczym nie różnił się od innych mężczyzn i kobiet zatrudnionych w służbie leśnej.

- Wiesz, Victoria wiele przeszła - odezwał się Charlie. - Ronald dał się jej nieźle we znaki.

- Mówiła mi o tym.  
- Nie zasługiwała na to, co ją spotkało. Jest dobrą dziewczyną. I fantastyczną matką. Widziałeś, jak radzi sobie z Randym?

- Bardzo ich polubiłem.  
- To dobrze. Wszyscy ją kochamy. Ma sześciu braci - wiedziałeś o tym? Ja jestem tym młodszym, ale lojalnym. Nasz ojciec jest szeryfem - kontynuował lekkim tonem. - Nosi przy sobie broń.

Brandon bez trudu zrozumiał podtekst wypowiedzi Charliego.

- Ja też mam młodszą siostrę - powiedział od niechcienia.  
- Ma na imię Maggie. Mój brat, C.J., i ja zawsze staraliśmy się ją chronić'. Kilka lat temu w śródmieściu Portland porwał ją zbiegły morderca, Cain Cannon. Natychmiast przyjechałem z Nowego Jorku, żeby wyznaczyć nagrodę w wysokości pięćset tysięcy i negocjować w sprawie uwolnienia Maggie. C.J.,

były żołnierz piechoty morskiej, przywiózł swoją kolekcję broni palnej.

- Uratowaliście siostrę?

- Miło jest myśleć, że pomagaliśmy ją uwolnić. Ale tak naprawdę to Maggie sama się uratowała. Okazało się, że nie brak jej animuszu. C.J. i ja nigdy byśmy nie przypuszczali... Maggie i Victoria chyba przypadłyby sobie do gustu.

- Gdzie mieszka twoja siostra?

- Tutaj, w Oregonie. Wyszła za mąż za Caina Cannona, tego więźnia, który kiedyś zbiegł z zakładu karnego.

- Żartujesz.

- Nie. Maggie poznała się na tym człowieku. To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. - Brandon westchnął i uśmiechnął się samymi kącikami ust. - Kobiety zawsze potrafią nas zaskoczyć.

- Wiesz co, Ferringer? Muszę przyznać, że jesteś całkiem w porządku.

- Staram się.

Szli wolnym krokiem, pot na ich twarzach wysychał, a słońce wznosiło się na niebie coraz wyżej.

Tego wieczora Brandon nie poszedł do Victorii. Ze swojego domku widział światło w jej kuchni i wyobrażał sobie, co tam się dzieje. Randy i jego matka prawdopodobnie rozmawiali o tym, co robili w ciągu dnia, i żartobliwie się sprzeczały, bo chłopiec wybrzydzał na jarzyny. Brandon podgrzał zupę na jednopłytowej kuchence i zjadł ten posiłek prosto z garnka. Szwajcarski wojskowy szczyrek na szczęście był wielofunkcyjny i wyposażony w łyżkę. Brandon postanowił nie narzucać się swojej gospodyni. Sama przecież powiedziała, że Randy jest „w tym wieku” - w tym szczególnym okresie życia, kiedy mógłby wziąć włóczęgę za przyszłego tatusia.



Brandon miał na tyle przyzwoitości, żeby starać się do tego nie dopuścić.

Później zobaczył, że zapalono światło na arenie. Victoria zaczęła trenować jednego z koni. Brandon stał na ganku, w mroku, żeby jej nie przeszkadzać. Jeździła wspaniale, tworząc z koniem harmonijną całość. Uczyla go zatrzymywać się na rozkaz, skręcać w lewo i w prawo, cofać się i ruszać do przodu. Brandon był pełen podziwu.

Powietrze stopniowo stawało się coraz bardziej przesycone zapachem potu zmęczonego konia. Brandon wciąż się przyglądał. Miał ochotę powiedzieć coś, czym zwróciłby uwagę tej pięknej amazonki. Coś, czym być może rozgrzały jej serce. Niestety, nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Tej nocy spał źle. Śniło mu się zbyt wiele rzeczy, których po przebudzeniu nie potrafił sobie przypomnieć.

Rano postanowił, że czas wziąć się do roboty. Za dwadzieścia cztery godziny rozpoczynało się strażackie szkolenie. Przez pierwsze dwa tygodnie codziennie mieli biegać oraz ćwiczyć rano i po południu. Czekwały ich też zajęcia teoretyczne oraz rutynowe prace leśne. Strażakom gwarantowano czterdzieści godzin pracy tygodniowo. Musieli usuwać krzaki, kopać rowy przeciwpożarowe, naprawiać ogrodzenia lub szlaki. Robili wszystko, co akurat było konieczne. A gdy zaczynał się sezon pożarów, harówka stawała się niewyobrażalnie ciężka.

Brandon musiał nabyć odpowiedniej ekwipunek, a także zrobić zapasy żywności. Musiał mieć wystarczającą ilość czystych skarpetek i bielizny. Jednym słowem, skupić się na tym, co było najważniejsze.

Gdy w niedzielę rano wyszedł z zajmowanego przez siebie domku, nie zobaczył na podjeździe samochodu Victorii. Wolał powędrować do miasteczka piechotą niż ryzykować wy-

prawę wynajętym gruchotem. W Beaverville kupił dobry plecak, dużo skarpetek ze wzmocnionymi palcami i piętami, kilkanaście puszek zupy i mleko w proszku.

Po powrocie zjadł kolejny wykwinny posiłek w postaci zupy jarzynowej. W charakterze rozrywki zajął się studiowaniem podręcznika o walce z pożarem na terenach nie zurbanizowanych.

Później siedział na ganku i gapił się na niebo.

Może właśnie dlatego poczuł się niebiańsko szczęśliwy, gdy zardzewiała półciężarówka Victorii wtoczyła się na podwórze. Randy wyskoczył z szoferki jak z procy. Miał na sobie czyste dżinsy - nadal ciemnoniebieskie - oraz elegancką koszulę z zatraskami z masy perłowej. Pędem przybiegł do Brandona i zalał go potokiem słów:

- Jak się pan miewa, co pan robi, pomoże mi pan dzisiaj przy lekcjach? - Złapał oddech i dodał: - Mama mówi, że nie wolno mi zanadto zawracać panu głowy, bo pewnie szykuje się pan do szkolenia. Wujek Charlie powiedział, że pierwsze dwa tygodnie są trudne, a później bez przerwy się podróżuje. Ja też kiedyś zostanę strażakiem.

Brandon spojrzał ponad głową Randy'ego w stronę Victorii, która jakby zwlekała z odejściem. W zapadającym zmroku nie widział dobrze jej twarzy, ale spostrzegł, że jasne włosy są rozpuszczone i spadają na ramiona jak zwiewna, jedwabista zasłona. Podobnie jak Randy, jego matka była w porządnym dżinsach oraz w ładnej bluzce z czerwonego jedwabiu. Brandon powinien był się domyślić, że Victoria Meese nawet do kościoła nie pójdzie w sukience.

Powinien był domyślić się i tego, że w dżinsach Victoria wyda mu się bardziej atrakcyjna. Zwrócił wzrok na chłopca.

- Dzisiaj wieczorem jeszcze mogę odrobić z tobą lekcje - powiedział rzeczowo. - Nie wiem, jak będzie później. Charlie

ma rację. Następne tygodnie chyba okażą się pracowite.

Randy przyjął do wiadomości wyjaśnienie Brandona i zawołał:

- No to chodźmy!

Chłopiec popędził do domu, a Brandon ruszył za nim przez podjazd wolnym krokiem, aby przejść obok Victorii. Z bliska dostrzegł łagodne cienie, które wyczarowała na jej twarzy zapadająca noc. Jasne oczy wydawały się bardziej srebrzyste niż niebieskie.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz - stwierdził ponuro i odszedł. Usłyszał, że głośno wciągnęła powietrze i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

RS

## ROZDZIAŁ 4

Nadinspektor Coleton Smith musiał być doświadczonym w bojach, nieugiętym i wymagającym dowódcą. Szczupły i żylasty, dobiegał sześćdziesiątki. Ciemne oczy lśniły jak u fanatyka, a twarz nosiła trwale piętno ognia. Na lewym policzku miał płaską, błyszczącą bliznę, jak gdyby zetknął się z gorącym żelazem. Pofałdowana tkanka tworzyła bruzdy w krótko ostrzyżonych, siwych włosach. Lewe ucho po prostu nie istniało, a na jego miejscu znajdowały się nieduże płyty skóry przeszczepionej w taki sposób, aby kierowały dźwięki do bębienka. Wzdłuż szyi, w poprzek obojczyka i na lewym ramieniu ogień pozostawił ślady, jakie wypala wrząca lawa. Zniszczył skórę, tworząc na jej miejscu gładkie, przypominające plastyk blizny.

Lewa dłoń Coletona miała tylko trzy palce. Były stale ściśnięte, jak gdyby wciąż usiłowały się ukryć przed atakującymi płomieniami.

- Mann Gulch, rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty - w poniedziałek o szóstej rano Coleton Smith warknął do zgromadzonych w sali uczestników szkolenia. - Zginęło dwunastu skoczków. Storm King Mountain, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty - zginęło czternastu strażaków, w tym dziewięciu z Prineville. Coś takiego już się nie zdarzy i w ciągu najbliższych dwóch tygodni wyjaśnię wam, dlaczego. Wbiję to

wam do głów, wepchnę wam to do uszu, żeby następnym razem, gdy pojawi się pełzający ogień, każdy z was dokładnie wiedział, co robić. - Nadinspektor Smith wcisnął na głowę czerwoną myśliwską czapkę, zasłaniając nią połowę swoich blizn. - A teraz ruszcie tyłki. Przekonamy się, co potraficie.

Rzeczywiście dał im wycisk. Pognał ich pełnym kurzu, kamienistym szlakiem, na którym łatwo skrócić nogę. Grupa składała się z dziesięciu mężczyzn i ośmiu kobiet. Część z nich spędziła zimę na nartach lub przynajmniej regularnie ćwiczyła na siłowni. Natychmiast znaleźli się w czołówce i narzucili tempo. Pozostali przez ostatnie pół roku siedzieli przy biurku. Dlatego ich ciała miały cienką warstewkę izolującą, która zaokrągląła krawędzie. Nie ulegało wątpliwości, że najbliższe tygodnie usuną tkankę tłuszczową tak łatwo, jak gdyby to była woda.

Brandon plasował się mniej więcej na środkowej pozycji w grupie. Wiedział, że nie dorówna szybkością takim młodzikom jak Charlie. Musiał jednak sporo udowodnić, więc nie zamierzał też biec na końcu. Jego atutem była wytrzymałość. Przypuszczał też, że jest wysportowany bardziej wszechstronnie niż pozostali. Wędrówka wzmacniała płuca, a wspinaczka po stokach o siedemdziesięciostopniowym nachyleniu położonych na wysokości ośmiu tysięcy metrów zamieniała płuca w potężne miechy. Umożliwiały nadmuchiwanie balonu jednym potężnym wydechem.

Tylko jedno stanowiło dla Brandona problem - przetrenowane mięśnie nóg.

Skupił uwagę na ścieżce. Nie interesował go potykający się człowiek z prawej strony ani przyciskająca rękami żebra kobieta, którą miał za sobą. Biegł i usiłował udawać, że nie czuje na plecach posepnego spojrzenia Coletona Smitha, który tylko czekał, aż on się przewróci. Wszyscy zresztą wiedzieli, czego

się spodziewać. Nadinspektor nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości.

- Praca strażaka nie obfituje w chwałę. W pięciu procentach składa się z walki z ogniem, a w dziewięćdziesięciu pięciu z harówki. Nawet jeśli ugasicie pożar lasu w kilka godzin, to sprzątanie może zająć wam kilka dni. Spędzicie je na mozolnym maszerowaniu przez sto akrów pokrytych sadzą i wypalonym drzewostanem, wyszukiwaniu i gaszeniu każdego tłącego się pieńka i gałązki. Witajcie w cudownym świecie.

Po dziewięciokilometrowym biegu nadinspektor rozdał im strażackie toporki, łopaty i łańcuchowe piły. Podzielił grupę na połowę - jeden zespół miał utworzyć nowy szlak, drugi - przerzedzić las, usuwając z ziemi małe krzaczki, suchą trawę, sosnowe igły i stare liście. Po godzinie Brandona rozbolały ramiona od trzymania piły, a po twarzy spływały mu strużki potu. Obok w milczeniu pracował Charlie. Także wyglądał na zmęczonego. Ale kilka pozostałych osób żartowało i śmiało się. Praca najwyraźniej nie wydawała się im aż tak wyczerpująca!

Koło południa zjawił się Coleton Smith. Sprawdził rezultaty ich zmagania i oświadczył, że na dziś koniec zajęć w lesie. Podobno grupa z Redmond zwiększała swoją wytrzymałość, ćwicząc aerobik. Nadinspektor uznał, że to świetny pomysł. Oni także mieli więc trochę poskakać. Zdaniem Smitha strażacy sprawni fizycznie lepiej znosili wysoką temperaturę, szybciej się aklimatyzowali, podczas wysiłku ich serca były spokojnie, a ciało się nie rozgrzewało.

- Zanim obejmiemy posterunek - Coleton Smith posłał grupie groźne spojrzenie - będziecie najlepszym zespołem strażaków w tym stanie, albo jeszcze raz was przeszkolę.

Ta perspektywa dodała im skrzydeł. Tuż po dwunastej Charlie i Brandon pocili się w siłowni, machając nogami, rękami

mi, robiąc skłony, przysiady i mnóstwo innych ćwiczeń.

Po szybkim prysznicu i lunchu nawet ci najlepsi byli ledwie żywi. Coleton dał im tylko tyle czasu, żeby zdążyli wypić czarną kawę i schrupać odżywcze batony. Następnie zaprowadził ich do małej salki w biurze służby leśnej. Mieli rozpocząć zaplanowane na sześćdziesiąt cztery godziny szkolenie teoretyczne. Coleton zaczął od swojego ulubionego tematu - postępowania podczas pożaru. Grupa usiłowała zachować uwagę i nie usnąć.

- Ogień to nic innego jak reakcja chemiczna zwana szybkim utlenianiem. Aby nastąpiła, muszą jednocześnie zaistnieć trzy elementy - wysoka temperatura, paliwo i powietrze. Jeśli chcecie zgasić ogień, to usuwacie jeden z nich. Hej, Meese, dlaczego tak ziewasz?

- Eee... - Charlie siłą woli otworzył oczy. Spojrzał na Brandona, on zaś popatrzył na Coletona. Nadinspektor wcisnął swoją pobrużdżoną bliznami głowę w ramiona, eksponując w ten sposób dodatkową fałdę gładkiej, lśniącej skóry, która wyglądała okropnie. Mieszkał w Beaverville od dwudziestu lat, lecz małe dzieci i tak nie chciały przechodzić obok jego domu.

- Słuchajcie, mamy tu dwóch nowicjuszy, którym chyba się wydaje, że nie muszą uważać. No to powiedzcie mi, żółtodzioby, co trzeba robić, gdy zespół zostanie wezwany do pożaru?

- Wykonywać polecenia dowódcy - zamruczał Charlie.

- A ty, Ferringer? - Smith świdrował go wzrokiem. - Podobno studiowałeś na uniwerku w Filadelfii. Nauczyłeś się tam czegoś o pożarach lasu?

- Nie.

- Nie? Mądrała z Wall Street, tytuły z Ivy League i potrafisz tylko powiedzieć „nie”?

Brandon milczał.

- Ferringer, jesteś mołem książkowym, prawda?  
- Trochę czy tam.  
- A czytasz o pożarach? Przeglądasz podręczniki? Niektóre są całkiem mądre.

- Zajrzałem do kilku.  
- No to wymień, forsiasty Brytyjczyku, te czynniki, które kształtują zachowanie ognia.

- Cechy paliwa, warunki pogodowe i topografia terenu - odparł Brandon ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

- Powiedzmy, że się pali. Pełzający ogień w kanionie. Jest południe. Słońce świeci na czerwono, nad kanionem unosi się ciepły front, teren ma czterdziestostopniowe nachylenie, stok pokryty lekkim paliwem. Środkiem parowu płynie wąska rzeczka. Brak wiatru. Co wtedy robisz?

- Dzwonię do krajowej służby meteorologicznej i pytam o nadchodzące zimne fronty.

- W porządku, dzwonisz. Jeden zimny front właśnie się zbliża. Co dalej?

- Spływam.

- Spływasz? Co przez to rozumiesz, Ferringer? Przecież masz do czynienia tylko z pełzającym ogniem. Założę się, że ty i Meese sami dalibyście mu radę. Poza tym na końcu kanionu znajduje się miasteczko. Pozwolisz, żeby ludziom spaliły się domy? Z ciebie prawdziwy federalny funkcjonariusz.

- Miasteczko? - powtórzył Brandon. - Trzeba je ewakuować.

- Ewakuować?

- Natychmiast!

Nadinspektor zatrzymał się tuż przed Brandonem. Trzy palce wciąż bębniły o udo. Nikt się nie odzywał. Nikt nie śmiał nawet drgnąć. Coleton nagle się pochylił.

- Dobrze, forsiasty Brytyjczyku. Przynajmniej przeczyta-



leś odpowiednią książkę.

Wyprostował się i pomaszerował do przodu sali.

- A ty, Meese, wyjaśnij nam, dlaczego twój kumpel Ferringier chce tak szybko drapnąć z tego kanionu?

- Z powodu buchnięcia ognia - cicho odpowiedział Charlie. Niechętnie posłał Brandonowi spojrzenie pełne podziwu. – Front zimny zderzy się z ciepłym. Wiatr powieje z szybkością co najmniej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Tlen sprawi, że pełzający ogień wybuchnie i kanion zamieni się w piekło. – Ten scenariusz wszyscy strażacy i skoczkowie znali na pamięć. Jeśli nie nauczyli się go przez analizę wydarzeń w Mann Gulch, to poznali go z pierwszej ręki podczas akcji na Storm King Mountain.

- Co wtedy robisz?

- Rzucam narzędzia i gnam do najbliższej strefy bezpieczeństwa.

- Gdzie ona jest na takim terenie?

Charlie milczał, głowiąc się nad odpowiedzią.

- Po drugiej stronie rzeczki?

- Nie. Wiatr przerzuci ogień na drugi brzeg. Tamta strona kanionu także się zapali.

- W wodzie?

- Zagotuje się.

- Może warto uciec górą?

- Owszem, gdyby udało się dostać poza górną krawędź.

Przy tym nachyleniu stoku ogień posunie w górę z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nawet Michael Johnson nie wygrałby tego wyścigu. Płomienie dognają człowieka, zanim zdoła dotrzeć do połowy wysokości. No to co byś zrobił, Meese? Zaczął się modlić?

- Szukam kawałka czarnego gruntu. Tam zawsze można się uratować.

- Nareszcie - burknął Coleton i wyrzucił ręce w powietrze. - Waśnie tego nauczyło nas, strażaków, pięćdziesiąt lat walki z ogniem. Można przewidzieć pożar, można nim manipulować, ale czasem on bywa górą. I wtedy trzeba szukać czarnej, czyli wypalanej ziemi. Na niej już nie ma palnego materiału podsycającego ogień, więc tam będziecie bezpieczni. Jeśli nie jesteście w stanie jej znaleźć, to sanują stwórcie. Rozpalacie ogień krzyżowy i natychmiast, gdy powierzchnia zostanie wypalona, kładziecie się na niej, szczelnie osłaniacie się przeciwogniowymi tarczami i czekacie, aż nawałnica przejdzie. Gdy wszystko inne was zawiedzie, musicie znaleźć czarny grunt. Rozumiecie?

Rozumieli. Gaszenie pożarów lasu właściwie nie było aż tak niebezpieczne. Strażacy częściej ginęli w katastrofie helikoptera lub samolotu niż na ziemi. Ale czasem zdarzały się takie przypadki, jak pożary na terenie Mann Gulch lub Storm King Mountain, gdzie ogień wyrwał się spod kontroli, a całe załogi straciły życie i miejscowe społeczności pogrzeżyły się w żałobie.

Takich lekcji się nie zapomina.

- Teraz pogadamy o paliwie - burknął Coleton. - Pokażę wam te śliczne tabele, które musicie wykuć na pamięć... zanim Meese nam uśnie.

W czwartek wieczorem Brandon przywłókł się na ranczo Lady Luck dopiero przed dziewiątą. Stał na tyłach stajni i tęsknie patrzył na prysznic. Wczoraj zaczęli trenować podnoszenie ciężarów. Brandon do tej pory nigdy tego nie robił. Teraz bolały go mięśnie klatki piersiowej, mięśnie ud, mięśnie trójgłowe, bicepsy, pośladki i łydki. Ledwo się ruszał.

A jego umysł usiłował wchłonąć miliony różnych danych i informacji. Na przykład to, jak szybko spalają się różne rodzaje paliwa, czym różni się położenie północne od południowego,

jaki jest wpływ tego położenia na zachowanie ognia w zależności od pory dnia.

Ludzie, którzy sądzili, że strażacy to banda niezbyt rozgarniętych poszukiwaczy wrażeń, nigdy nie zerknęli do ich podręczników. Zawarty w nich materiał był bardzo szczegółową, techniczną wiedzą, a za brak pamięci płaciło się wysoką cenę.

Brandon sądził, że przyswojenie tej wiedzy to dla jego analitycznego umysłu żaden problem. Skoro potrafił obliczyć ceny zakupu obligacji po ich wypuszczeniu na rynek i ceny sprzedaży przed upływem terminu wykupu, to powinien bez trudu poradzić sobie z analizą czynnika paliwowego i tablicami topograficznymi. Ale nic z tego.

Po czterech dniach szkolenia miał ochotę wczłogać się pod łóżko, zwinąć w kłębek i spać przez tydzień. Nie czuł się taki zmęczony i przytłoczony od czasów wspinaczki na Everest. Ale wtedy przynajmniej mógł zwalić winę na górę.

- A niech to, wyglądasz nie najładnie.

Brandon z wysiłkiem się odwrócił i ujrzał Victorie opartą plecami o drzwiczki jednego z boksów dla koni. Miała na sobie znoszone niebieskie dżinsy i wytartą bluzę w szarym kolorze, a na twarzy - uśmiech. Brandon nie widział jej i Randy'ego od niedzielnego wieczoru. Wmawiał sobie, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia. Bez skutku.

- Przynajmniej jeszcze stoisz - zagaiła. Brandon - ledwie żywy - nadal milczał. - Mama mówi, że Charlie codziennie po powrocie pożera potrójne porcje wszystkiego i pada twarzą w pusty talerz.

- A ja stoję? - mruknął trochę nieprzytomnie.

Roześmiała się i podeszła bliżej. Włosy Victorii były ściągnięte w koński ogon. Brandon zapragnął zdjąć z nich gumkę, aby jedwabiste pasma delikatnie opadły na jego obolałe, posiniaczone dłonie.

- Powiedz mi, strażaku, jak ci idzie? - Zatrzymała się tuż przed nim. Mógłby przysiąc, że podrażnione wiatrem policzki owionął jej oddech.

- Zabiłem cały mój zespół - wypalił.

Uniosła lekko brwi, a w jej oczach pojawił się błysk łagodnego rozbawienia.

- Nieźle jak na jeden dzień.

- Ciągle o nich zapominam - kontynuował jak krety.

- Może zaczniesz od początku?

- Coleton Smith - nadinspektor...

- Znam Coletona.

- Podzielił nas na cztero- i pięcioosobowe grupy. Wyzna-  
czył nam różne zadania. Żeby zaliczyć, każdy z grupy musiał  
się wykazać. Uczymy się, jak pracować zespołowo. Dzisiaj mie-  
liśmy oczyścić poszycie i wykopać rów przeciwpożarowy.  
Właśnie to robiliśmy, gdy Coleton ryknął: „Buchnięcie og-  
nia!”. Pognaliśmy do strefy bezpieczeństwa. Czyściłem poszy-  
cie. Kopałem. Pobiegłem. Dotarłem do tej strefy. Pozostali się  
usmażyli.

- Aha.

- Reszta grupy przestała się do mnie odzywać. Coiten  
wrzasnął, że zespół to zespół, więc niech skończą z tymi focha-  
mi. Wtedy powiedzieli mi to i owo, ale lepiej, żebym nie powta-  
rzał, co od nich usłyszałem. - Ze znużeniem przeczesał palcami  
włosy. Skrzywił się, bo na ziemię opadł deszcz sosnowych igieł.  
- Ale śmietnik. Coleton uważa, że za długo siedziałem w No-  
wym Jorku i równie dobrze mogę już dać sobie spokój. Dzisiaj  
wieczorem kazał mi samodzielnie oczyścić ćwierć akra lasu,  
żebym nauczył się cenić członków mojej grupy. Coś w rodzaju  
sprzątania po lekcjach, tylko bardziej przykre. Cholera jasna!

Nadinspektor chyba także został w lesie do późna. Po za-  
chodzie słońca Brandon czuł na plecach czyjeś spojrzenie. Było

to dziwne, niepokojące wrażenie, spotęgowane szybko zapadającą wokół ciemnością. Brandon zapalił więcej latarni, niż potrzebował. Ledwie zipsał ze zmęczenia i chyba dlatego nie sprawdził stanu piły. Nie zauważył, że z jednej strony łańcuch spadł z zębarki. Po włączeniu siła odśrodkowa gwałtownie wyrzuciła go w lewo. Dzięki bożej łasce wbił się w pień drzewa, a nie w nogę. Ręce drżały Brandonowi jeszcze długo po tej przygodzie. Oczekiwał, że Coleton natychmiast zmaterializuje się obok niego i zacznie go pouczać, ale nic takiego nie nastąpiło. Do wieczora pracował sam - znużony, przygarbiony i niepewny.

- Sądziś, że następnym razem będziesz pamiętał o swoim zespole? - spytała Victoria.

Zawahał się. To pytanie dręczyło go bez przerwy od dzisiejszego incydentu i wciąż nie mógł dać sobie na nie zadowalającej odpowiedzi.

- Nie wiem - odparł cicho.

- Dlaczego? - Patrzyła na niego zdziwiona.

- Długo byłem jedynakiem. Wychowałem się w angielskich wyższych sferach, gdzie ludzie zachowują specyficzny dystans w stosunku do innych. W szkole najbardziej lubiłem algebrę. Jestem lepszy z matematyki niż większość jej teoretyków. Odkąd pamiętam, zawsze trzymałem się na uboczu. Nie bawiłem się z innymi dziećmi.

- Ale z Randym znalazłeś wspólny język.

- Randy to wyjątek.

- Zaproponowałeś, że pomożesz mu w lekcjach. Pozmywałeś naczynia. W niedzielę znów odrabiałeś z nim pracę domową. Wydaje mi się, że wbrew temu, co mówisz, jesteś bardzo sympatyczny i umiesz się przystosować. - Wzruszyła ramionami. - Ale to tylko moja opinia.

- Hm. - Poczuł się zakłopotany. Nie przywykł do tego, aby ktoś uważał go za sympatycznego faceta. CJ. był sympa-

tyczny.

Maggie była słodka. Zaś on był... bystry. Ale spodobało mu się określenie użyte przez Victorie.

- Jak Randy radzi sobie z matematyką?

Victoria skrzywiła się.

- Chciałabym mieć twój matematyczny umysł. Randy i ja staramy się przebrnąć przez podstawówkę.

- A żrebaki? Zaczęłaś je trenować?

- Jeszcze nie. Nadal przyzwyczajamy je do bliskości człowieka. Może wkrótce spróbuję uczyć je kłusować wokół areny. Zobaczę, co z tego wyjdzie. To by było na tyle, jeśli chodzi o Randy'ego i mnie. W ciągu ostatnich czterech dni ty miałaś więcej atrakcji.

- Rutyna nie jest taka zła.

- W twoich ustach to zabawna uwaga.

Uśmiechnął się krzywo.

- Chyba tak - przyznał.

Nieoczekiwanie wychyliła się lekko w jego stronę. To go zaskoczyło. Nie wiedział, co zrobić, boleśnie świadomy bliskości Victorii. Emanowała aromatem jabłkowego szamponu, luscerny, wiosennego powietrza i koni. Dzisiaj jej twarz była całkiem czysta - żadna smuga kurzu nie psuła idealnej kremowej bieli gładkiej cery. Oczy spoglądały śmiało i malowała się w nich szczerłość i uczciwość. Swoim spojrzeniem Victoria nie kokietowała i nie zwodziła.

Wrażenie było piorunujące. Victoria wyglądała tak pięknie i świeżo, on zaś stał przed nią spocony i pokryty błotem, które oblepiło go podczas szesnastu godzin szaleńczego treningu i pracy.

- Jestem strasznie brudny - oświadczył bez zastanowienia.

Roześmiała się.

- Lubię, gdy jesteś taki zmęczony i zabiedzony, Ferringer.

Dzięki temu stajesz się bardziej prawdziwy i zwyczajny.

- Muszę wziąć prysznic, ale nie mogę podnieść ręki, żeby odkręcić to cholerstwo.

- Może ci pomóc? - Zachichotała wesoło.

- Może. - Bez tchu wpatrywał się w jej srebrzystobłękitne, lśniące oczy.

Przysunęła się trochę, ale nie spuściła wzroku. Uniosła rękę, a Brandon zobaczył, jak kształtne, ładnie zaokrąglone piersi wypuklają się i zbliżają do niego. Sięgnęła dłonią ponad jego ramieniem - poczuł na policzku muśnięcie miękkiego, trykotowego rękawa. Przechyliła się nieco, a Brandon obserwował, jak jej usta odrobinę się rozchylają, a ona przesuwa po nich czubkiem języka.

Włączyła prysznic i cienkie strumyczki opryskały jej włosy. Brandon nawet nie drgnął. Nie ulegało wątpliwości, że wzajemna fascynacja była autentyczna i nie udawana. Przypomniawsobie tamten moment cztery dni temu w kuchni, gdy o mało co nie pocałował Victorii, bo wydawało się to takie oczywiste.

Teraz jej wargi znów wyglądały kusząco, a on znów czuł to samo co wtedy.

Chciał usłyszeć, jak ona mówi: Ferringer. Nikt go tak nie nazywał, ale lubił, gdy Victoria zwracała się do niego w taki sposób. W jej wykonaniu brzmiało to miło i przyjacielsko.

- Dlaczego my wciąż to robimy? - szepnęła.

- Nie mam pojęcia.

- Ferringer...

Przestał nad sobą panować. Przygarnął ją. Miała sekundę, aby zaprotestować. Nie zrobiła tego, więc jego usta - gwałtowne, stęsknione, zgłodniałe - przywarły do jej warg.

Wsunęła palce w jego włosy i zacisnęła je na jego głowie, jak gdyby od tego zależało jej życie. Była dorosła i rozsądna, ale w tej chwili rozważa zeszła na dalszy plan. Przez cztery długie

noce Victoria myślała tylko o Brandonie. Wpatrywała się w jego okno i widziała, jak gasło w nim światło. Wyobrażała sobie, jak on się rozbiera. Wyobrażała sobie jego gładką skórę i twarde mięśnie. Zastanawiała się, czy on właśnie kładzie się na spranej, bawełnianej pościeli. Rozmyślała nad tym, jak ta pościel przesuwają się po jego długim, muskularnym ciele... I tak bardzo miała dosyć swojego rozsądku!

W ramionach Brandona Victoria miała ochotę śpiewać z radości.

Całodniowy zarost i podrażnione na słońcu policzki lekko drapały skórę. Czubek jego języka prześlizgiwał się po jej ustach, raz po raz śmiało zagłębiając się w ich kąciki, aż jęknęła, rozchyliła wargi i odchyliła głowę do tyłu, pragnąc otrzymać więcej. Wtedy wślizgnął się do środka i zaczął się nią rozkoszować.

Jakby z bardzo daleka doleciał ją czyjś jęk. Następnie ciche westchnienie i przyspieszony oddech. Bezwstydnie ocierała się o Brandona, czuła dłonie błądzące po jej ciele. Ujął jej pośladki, a ona tak mocno zacisnęła palce na jego barku, że chyba został tam czerwony ślad.

Ten pocałunek wcale jej nie wystarczył. Wiedziała, że to o wiele za mało. Nagle zrozumiała, że tylko ten mężczyzna mógłby zaspokoić jej pożądanie i cudownie ją nasycić. Jego ręce były szorstkie, stwardniałe i tak śmiało sobie poczynają. Na pewno sprawiłyby rozkosz, gładząc nagą skórę, ściskając czubki piersi, wsuwając się między jej uda...

I nagle otrzeźwiała. Szeroko otworzyła oczy. W spojrzeniu Brandona dostrzegła autentyczną żądzę. Pomyślała o gorących, pełnych namiętności nocach spędzonych na tylnym siedzeniu samochodu Ronalda, o burzy hormonów - gwałtownej jak pożar - i o rzeczywistości, która dziewięć miesięcy później podziałała jak kubek zimnej wody. Trzeba myśleć głową, a nie



sercem! Och, Vic, co ty wyprawiasz? - upomniała się w duchu.

Oparła dłonie na ramionach Brandona, wzięła się w garść i odepchnęła go.

- Spokojnie, partnerze.

Nie poruszył się. Oddychał ciężko, a jego palce wciąż wpijały się w jej talię. Victoria nie była w stanie wykonać żadnego gestu. Patrzyła w pociemniałe oczy Brandona, które stały się prawie ciemnoszafirowe. Osadzone w szczupłej twarzy o nieregularnych rysach, lśniły niepokojąco.

Puścił ją tak nieoczekiwanie, że omal się nie przewróciła. Odsunął się od niej i obiema rękami przejechał po spleśniałych na końcach włosach. W ciągu jednej sekundy zniknął namiętny, spragniony kochanek. Jego miejsce zajął pełen rezerwy, chłodny Brytyjczyk.

- Masz rację - powiedział suchym tonem.

- Mam? - Dotknęła swoich warg - były nabrzmiące i obolałe. Do licha. Wcale nie czuła się zachwycona swoją racją. Raczej samotna. Brandon cofnął się jeszcze bardziej.

Znów odetchnęła głęboko. W głowie całkiem się jej rozjaśniło, a świat zaczął wyglądać realnie. W stajni cicho parskały konie. Powietrze pachniało lucerną. Wylegujący się na stercie końskich derek kot mruczał.

- Chyba muszę wracać do domu - powiedziała. Ręce jej drżały, więc wepchnęła je do tylnych kieszeni dżinsów.

Brandon tylko skinął. Rysy twarzy nadal miał ściągnięte.

- Och, na miłość boską! - zawołała, zadziwiając samą siebie. - Przecież nie możemy omijać się z daleka. Musimy o tym porozmawiać.

- Bynajmniej - wycodził. - Nie zapominaj, że jestem Brytyjczykiem. Nie muszę rozmawiać o niczym - oświadczył, kładąc akcent na ostatnie słowo. - Ty masz syna, za którego wychowanie odpowiadasz. Ja zaś... ja... Właśnie, powinnaś zająć

się synem. Zostawię cię w spokoju.

- Ale ja nie chcę, żeby zostawił mnie w spokoju, Ferringer. - Zrobiła krok w jego stronę i raptownie się zatrzymała, gdy zeszywniał. - Oboje wiemy, że jestem wręcz za bardzo wstrzeмиężliwa, więc pozwól mi to z siebie wyrzucić. Mieszkasz piętnaście metrów od mojej sypialni, jesteś najprzystojniejszym facetem w historii Beaverville, a ja nie kochałam się od niepamiętnych czasów. Dlatego wydajesz mi się pociągający.

- Piętnaście metrów od twojej sypialni? - powtórzył, nie wierząc własnym uszom. Boże, przemówił jak osobnik niedorozwinięty umysłowo

- Owszem - potwierdziła spokojnie. - I domyślam się, że sypiasz całkiem nago. Ale jeśli nosisz piżamę, to mi o tym nie mów. Pozostało mi już tylko fantazjowanie.

Twarz mu pociemniała.

- Starasz się mnie dobić - poskarżył się. - Wiesz, o czym ja będę od dzisiaj myślał? O tym, co ty masz na sobie, gdy idziesz do łóżka!

- Przypuszczałam, że możemy jechać na tym samym wózku.

- Nie chcę jechać na żadnym wózku! Chcę gasić pożary, przeprowadzić śledztwo i znaleźć kolejną cholerną górę, żeby na nią się wspiąć!

- Śledztwo?

- Nieważne! - zawołał. - Do licha, stać mnie na trochę powściągliwości, więc przestań mówić takie... takie rzeczy!

- Żeby nie zamieszać ci w głowie?

- Victorio, zlituj się...

- Och, ja też już sama nie wiem, co robić. Naprawdę nie zamierzałam ci się narzucać, ale, uwierz mi, nie czułam się tak od czasu poznania RONALDA. I jakkolwiek patetycznie by to teraz brzmiało, wtedy stanowił on centrum mojego wszechświata.

- Umilkła i odetchnęła głęboko. Opanowała się, a blask w jej oczach przygasł. - Jeszcze... jeszcze nie jestem gotowa na przeżywanie czegoś podobnego. Nie mogę znów popełnić tego samego błędu.

- Więc odejdz, Victorio, ponieważ ja jestem zmęczony, mam za sobą długi dzień i... bardzo cię pragnę.

- Och, Ferringer. - Jej wargi bezgłośnie wymówiły te słowa. Wahała się przez chwilę i podjęła decyzję. Odwróciła się na pięcie i umknęła. Postanowiła, że tym razem postąpi mądrze. Miała przecież już dwadzieścia siedem lat i była rozsądną samotną matką.

- Victorio! - Dotarła już prawie do wyjścia ze stajni, ale zatrzymała się na dźwięk swojego imienia. Zamknęła oczy. Zawsze wiedziała, że ma słabą wolę. Przez ramię spojrzała na Ferringera.

Stał pośrodku przejścia. Wyglądał ponuro.

- Kochałem swoją żonę - oświadczył z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Bardzo ją kochałem. Od tamtej pory nie było nikogo. Przez cztery lata. Nie prowokuj mnie, Victorio.

- Wybacz - szepnęła.

- A twoja sypialnia jest tak blisko... - Przymknął powieki. Patrzyła na jego dłonie zaciskające się w pięści i przeszedł ją prymitywnie podniecający dreszcz.

- Tak, bardzo blisko... - Obawiała się, że tym razem nie zdoła nad sobą zapanować. Pobieгла do domu.

Brandon przez kilka chwil stał bez ruchu, w końcu powlókł się pod prysznic i wystawił twarz na uderzenia cienkich strumyczków zimnej wody.

W domku wytarł się ręcznikiem i przebrał w dres. Przez cały czas wmawiał sobie, że podjął odpowiednią decyzję. On i Victoria absolutnie do siebie nie pasują. Ona potrzebowała dobrego męża, a Randy - dobrego ojca.

On zaś nie nadawał się do żadnej z tych ról.

Był samotnikiem. Wiecznym wędrowcem. Zamierzał zostać dobrym strażakiem. Zrozumie, na czym polega to zespołowe podejście. Porozmawia z Budem Irvingiem. A we wrześniu, gdy wykona zadanie, znajdzie jakąś nową górę. Będzie wspiął się na nią choćby ostatkiem sił. Może dzięki temu dożyje takiej nocy, która nie ześle mu snu o Julii lub o Maksie. Lub jeszcze raz nie przypomni głosu matki, mówiącej z wyrzutem, że jest taki sam jak jego ojciec.

Postanowił, że w sobotę złoży wizytę Budowi Irvingowi. Przecież w tym celu przyjechał do Beaverville. Zrealizuje swój plan.

Nie mógł przewidzieć, że wyłoni się pewna przeszkoda i pokrzyżuje mu szyki.

- Hej, forsiały Brytyjczyku, jak się czujesz?

Brandon powoli otworzył oczy. Jasne, bezchmurne niebo prawie go oślepiło. Skrzywił się, przymrużył powieki i z trudem rozpoznał dwie osoby ze swojego zespołu - Barbarę i drobnego, żylastego mężczyznę imieniem Woody.

- Ile widzisz palców? - Woody podniósł rękę. Poruszyła się na tle błękitu nieba i Brandonowi zrobiło się niedobrze.

- Chyba z nim źle. - Barbara sprawdziła mu puls, patrząc na Woody'ego. Bez wątpienia nie polubiła Brandona. Nie wybaczyła mu tego, że pognął trasę ucieczki, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się z jego towarzyszami. Teraz jednak Barbara sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Brandon przez moment zastanawiał się, dlaczego. I nagle zorientował się, że w środku dnia leży na wznak na ziemi i nie ma pojęcia, jak się to stało. Strażakowi nie wolno tak się wylegiwać. Gdyby zobaczył go Coleton.....

Spróbował usiąść, a Barbara i Woody natychmiast go

przytrzymali. Zbladł jak ściana, a świat znów zawirował.

- Spokojnie, chłopie - mruknął Woody. Brandon usłyszał, że gdzieś w oddali ktoś coś krzyczy. W ich stronę biegła Natasha.

- Co się stało?

Tuż za nią zjawił się Henry.

- Jezu, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak upadł. Co z nim? Barbara uniosła mu głowę. Usiłował zapewnić, że czuje się doskonale, lepiej niż kiedykolwiek, ale jego usta nie chciały nawet drgnąć. Mętnie pamiętał, że pracował na stoku. Był piątek. Wszyscy ćwiczyli przygotowywanie ziemnych zapór przeciwogniowych. On kopał grunt aż do gołej ziemi. Nad sobą miał drzewo. I nagle rozległ się głośny trzask. Ktoś wrzasnął. Brandon spojrzał w górę. Zobaczył tylko zieleń. Skoczył, ale nie zdążył...

- Trzeba przetransportować go do bazy - zdecydował Woody. - Ferringer, powiedz, jeśli cię zabol.

Brandon mówił „nie” aż do chwili, gdy Woody dotarł do nasady czaszki. Znajdujący się tam guz był już wielkości kurzego jajka i bardzo bolał. Członkowie zespołu zaczęli się narażać, a Brandon jak przez mgłę obserwował ich poruszające się wargi.

Tylu ludzi zajmowało się nim jak dzieckiem. To kompromitacja, pomyślał. Powinien trzymać fason, dawać dobry przykład małemu C.J. i Maggie. W przeciwnym razie gotowi pomyśleć, że jemu także brakuje taty i zaczną płakać. Jako najstarszy musiał być dla nich wzorem. Maks porzucił najpierw jego. Może to on, Brandon, ponosił za to winę. Może. Ale był najstarszy. Musiał postępować odpowiedzialnie.

„Nie płacz. Jesteś grzecznym chłopcem, więc nie płacz. Nigdy nie okazuj strachu”.

Ci ludzie wciąż stali wokół niego.

- Róbcie swoje - wydyszał. - Ja zaraz... wezmę się... w garść. Za chwilę.

- Nie zostawimy cię - stanowczo oświadczyła Barbara. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ruszcie się, chłopaki.

Czyjeś ramiona otoczyły go w pasie. Pomogły wstać. Brandon opierał się na barku Woody'ego. Ten facet był drobnej budowy i harował od rana. Nie można tak na nim wisieć! Ale pozostali także go wspierali. W drodze do bazy przekazywali sobie Brandona jak szmacianą lalkę. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Wydawało mu się, że słyszy śmiech ojca. „Masz myśleć tylko o sobie! To jest najważniejsze!” - krzyczał Maks.

Spróbował zaprzeczyć, a Barbara popatrzyła na niego zaniepokojona.

- Mój ojciec...-zaskrzeczał.

- Cicho... - szepnęła.

Już nie była Barbarą. Była Victoria, którą pocałował i którą pragnął znów pocałować. Pochylała się nad nim, kładła mu na czole zimny kompres. Zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

Chciał wziąć ją w ramiona, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Chciał ją mocno objąć i wtulić twarz w jedwabiste włosy o słodkim zapachu zielonego jabłuszka. Chciał płakać, ale nie miał pojęcia, dlaczego.

„Połknij to wreszcie. Połknij. Bądź mężczyzną”.

„Musisz dawać przykład. Postępować odpowiedzialnie”.

„Nie martw się. Zaufaj mi”.

Nie mogę! Nie mogę!

- Przepraszam - zachrypiał. - Bardzo przepraszam. - Teraz rozmawiał z Julią. Stała bardzo daleko, a jego nagle ogarnęły ciemności.

## ROZDZIAŁ 5

On chyba nie żyje!

- Ależ skąd. Po prostu mocno uderzył się w głowę. Doznał urazu mózgu. Tak powiedział doktor Matthews. Innymi słowy Brandon Ferringer ma wstrząs mózgu.

- Jego twarz wygląda okropnie.

- Cóż, gałęzie zostawiły trochę śladów.

- On nie oddycha!

- Po prostu odpoczywa. Kochanie, lekarz kazał co godzinę budzić pana Ferringera i pytać go o nazwisko oraz o dzień tygodnia. Myślę, że ty mógłbyś to robić.

- O rany! - zapiszczał Randy i zaczął klaskać, a leżący na łóżku Brandon gwałtownie drgnął. - On żyje! Żyje!

Brandon otworzył oczy i przeszył Victorie spojrzeniem pełnym niewysłowionej boleści. Uśmiechnęła się tylko, ale posłusznie podeszła, gdy skinął palcem. Pochyliła się, żeby zrozumieć, co szepcze.

- Odplącę... ci za te... wrzaski.

- Już szafujemy pogroźkami? Dochodzisz do siebie, Ferringer. Oparty o blat Charlie zaczął chichotać.

- Mówiłem ci, że jeden głupi guz go nie zabije. Ferringer ma twarde łeb. - Charlie także się zbliżył i cała trójka stłoczyła się obok posłania. Brandon poczuł się jak człowiek, który powinien wyszeptać ostatnią wolę i podpisać testament.

- Jak się czujesz, chłopie? - Charlie patrzył na niego poważnie. - Masz bóle i zawroty głowy, mdłości?

- Nie powinienem żłopać tyle szkockiej - wybełkotał Brandon. - Moja głowa. Och.

- Właściwie to było drzewo. Duże drzewo.

Brandon tępo spozjrzał na Charliego. Czuł się tak, jak gdyby spał bardzo długo, za długo. W jego głowie kłębiły się dziwaczne obrazy i sceny, których nie potrafił umiejscowić. Niedawno biegł za Julią. Dobrze pamiętał, że wołał ją po imieniu. Spozjrzał na Victorie, a ona natychmiast uciekła wzrokiem w bok.

Powoli uniośł rękę i dotknął swojej twarzy. Policzki go paliły. Szczękę pokrywało mnóstwo zadrapań. Czubkami palców badał skórę, aż dotarł do nasady czaszki. Już wiedział, że lepiej nie dotykać tego miejsca. Opuścił dłoń i spróbował widzieć wszystko w jednym egzemplarzu. Bezskutecznie. Jęknął zrezygnowany.

- Poczekaj, aż zobaczysz tego drugiego faceta - zażartował Charlie. - Nieźle mu dołożyłeś.

- Drzewo - zachrypiał Brandon. - Zaatakowało mnie drzewo?

- Wygląda na to, że ktoś ścinał uschnięty dąb - wyjaśnił Charlie. - Ale nie dokończył roboty. Pień ledwie się trzymał. Runął, gdy zaczęła walić w ziemię. Nadinspektor jest wściekły. Szaleje jak lis w kurniku. Twierdzi, że dopadnie tego łobuza, który zawinił. Nikt się nie przyznaje, ale Coleton tak łatwo nie



rezygnuje. Zajął się tobą jak niańka. Sam wezwał lekarza. Prędeż czy później wykryje, kto piłował tamten pień.

- Czy... wylali mnie z zespołu?

- Skądże. Twoi ludzie przynieśli cię do bazy. Zadziałali jak modelowy zespół, więc Coleton nie narzekał. Jak na nowojorczyka, szybko zdobyłeś ich sympatię.

Brandon skrzywił się. Nie był przekonany, że chodziło o jego dobro.

- Lekarz twierdzi, że odpoczynek postawi cię na nogi. Na szczęście wybrałeś piątek na randkę z tym dębem, więc masz przed sobą cały weekend. W poniedziałek Coleton i doktor Matthews sprawdzą stan twojego zdrowia. Jeśli będziesz w formie, to wrócisz do zespołu. Jeśli nie... to jest parę innych możliwości.

- Będę w formie - mruknął. Bolesne pulsowanie odezwało się teraz w skroniach. Odruchowo złapał się za głowę.

- Na miłość boską - westchnęła Victoria. - Nie bądź taki uparty. Masz na głowie guz wielkości gałki do drzwi.

- Nic mi nie jest - burknął. Cholera, ale bolało!

- Mężczyźni! - prychnęła pogardliwie. - Uparci, zawzięci, durni. - Urwała, bo Randy popatrzył na nią z zainteresowaniem. Zmierziła jasne włosy syna. - Następnym razem, kiedy będziesz budził pana Ferringera, klaskaj naprawdę głośno.

- Nie! Nie ma potrzeby...

- Oczywiście, że jest. Nie chcemy zaniedbać naszych obowiązków, prawda, Randy?

- Pan doktor mówi, że musimy o pana dbać. Powinien pan patrzeć na mój palec i podawać mi dzień tygodnia. Jaki dzień mamy dzisiaj?

- Armageddon.

- O, rany, źle z nim! Gada jakieś bzdury. Co mam robić, jak on się pomyli?

- Klaskaj jeszcze głośniej.

Randy posłusznie zastosował się do tej sugestii, ale Charlie okazał litość i interweniował.

- Później, chłopie.

- Ale ja muszę ćwiczyć.

- Jeszcze zdążysz - słodko odezwała się Victoria. - Do poniedziałku daleko.

Po wygranym starciu wzięła syna za rękę i wyszła. Brandon usiłował się skupić. Najwyraźniej naraził się Victorii. Nie miał pojęcia, czym. Co mówił, gdy był nieprzytomny? Dlaczego czuł się taki winny?

- No, no - mruknął Charlie, jak gdyby czytał w jego myślach. - Ona naprawdę cię lubi.

- Lubi? Chyba grubo się mylisz.

- Gdzie tam! Nie widziałem jej takiej oczarowanej od czasu, gdy w trzeciej klasie wkleiła Ronaldowi we włosy gumę do żucia.

- Interesowała się nim już od trzeciej klasy?

- O, tak. Zawsze uważała go za swoje słoneczko. Ronald zazwyczaj ją ignorował, ale w średniej szkole coś się zmieniło. Pamiętam, jak pierwszy raz umówił się z Vic. Była wtedy w drugiej klasie ogólniaka. Wróciła do domu taka szczęśliwa, jakby wygrała milion dolarów. Pociągnąłem ją za włosy, a ona nawet mnie nie sprąła. - Charlie w zamyśleniu pokręcił głową. - Cóż, gdy życie postanawia spłatać nam figla, rzeczywiście robi to skutecznie.

Była zła. Nie mogła tylko zdecydować, na kogo - na siebie czy na Ferringera. Dlatego postanowiła wyżyć się na kuchennej podłodze. W piątkowy wieczór o jedenastej, gdy Randy już poszedł spać, Victoria zaatakowała płamy istniejące chyba od czasów Wielkiego Kryzysu. Zaczęła je szorować tak zaciekle, jak gdyby od tego zależało jej życie.

Niech лихо porwie tych ambitnych samców.

Dmuchięciem odrzuciła z oczu kosmyk włosów, wylała na deskę jeszcze trochę chloroxu i zdwoiła wysiłki. Faceci, pomyślała gniewnie. Czy potrafili sobie wyobrazić, co czuje kobieta, do której domu wnoszą nieprzytomnego mężczyznę o twarzy zalanej krwią? Co przeżywa, gdy bezradnie czeka na diagnozę lekarza, a później słyszy od niego, że ten gagatek będzie żył, ale ona i tak może tylko siedzieć i mieć nadzieję?

Wobec tego przestaje trenować konie, przestaje zajmować się ranczem, zapomina o własnym życiu, tylko siedzi i czeka, aż ten biedak otworzy oczy.

I co okazuje się najważniejsze dla Brandona Ferringera? Jakie pytanie go nurtuje, gdy guz na głowie rośnie, a wzrok zawodzi? Otóż Brandon Ferringer myśli jedynie o tym, czy będzie strażakiem!

Chwyciła druciany zmywak i tarła wżarty brud tak długo, aż rozbolał ją nadgarstek.

Mężczyźni mieli nadmiar testosteronu. W tym tkwił problem. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, to Bóg przepędziłby wielu z nich i pozwolił kobietom na twórcze eksperymenty w laboratoriach. Kobiety na pewno wykreowałyby coś mniej uzależnionego od hormonów.

Brandon Ferringer zarabiał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby żyć jak król. I miał tyle dyplomów, że mógłby zrobić karierę w każdej dziedzinie. Ale nie, on musiał wybrać jeden z najbardziej niebezpiecznych zawodów. Musiał szukać wrażeń i wynając lokum właśnie u niej.

Dała spokój plamie, której już prawie nie było widać, i rozejrzała się za kolejnym celem.

Nie rozumiała Ferringera. Zastanawiała się, co go prowokuje do takich gwałtownych działań, skoro jednocześnie potrafi okazywać tyle cierpliwości Randy'emu i tyle zrozumienia jego

matce. Gdy powiedziała mu, aby miał na względzie Randy'ego, w lot pojął, o co jej chodziło. Gdy przerwała pocałunek, którego żar niemal palił jej wargi, nie narzucił się jej.

A gdy Charlie przywiózł go do domu i położył na łóżku, wyszeptał imię Julii.

Victoria przerwała szorowanie. Siedziała pośrodku podłogi pokrytej pianą i użalała się nad sobą.

Nie mogła czuć urazy z powodu jego zmarłej żony. To oczywiste, że Brandonowi jej brakowało i cierpiał, bo ją utracił. Victoria współczuła mu, ale i tak było jej przykro. Nie istniał bowiem żaden mężczyzna, który wyszeptałby jej imię, będąc ranny lub nieprzytomny.

Westchnęła, wyprostowała się i chwyciła gąbkę. Do licha, Vic, weź się do roboty. Zabrała się za wyjątkowo brudny kawałek ukryty się w cieniu lodówki. Szorowała zawzięcie, ale nie osiągnęła zasadniczego celu. Nie potrafiła przestać myśleć o Brandonie Ferringerze. Wczoraj wieczorem śniła o tym, że on ją rozbiera, pieści wargami jej szyję i szepcze „Victoria, Victoria, Victoria”, a ona coraz bardziej go pragnie.

Ale nic takiego nie miało miejsca, obudziła się w pogniecionej pościeli, spocona, sfrustrowana i sama. Dlaczego znów musiała zainteresować się nieodpowiednim mężczyzną? Owszem, Ferringer nie ćpał ani nie kradł, ale poza tym był taki jak inni. Jeszcze jeden przechodzień.

Co miał wczoraj na myśli, mówiąc o „śledztwie”? Chyba nie przypuszczał, że ona zapomni o tym, co mu się niechcący wyrwało? Co zamierzał? Najpierw wypytywał o Buda Irvinga i już samo to wydawało się dziwne, biorąc pod uwagę reputację starego dziwaka. Później wyjaśnił, że Bud był najlepszym przyjacielem jego ojca. Czy naprawdę pamięta się nazwiska kumpli ojca - zwłaszcza gdy ten już od dawna nie żyje? Jeśli Brandon tak bardzo chciał spotkać się z Budem, to dlaczego nie przyje-

chał do Beaverville wcześniej?

Tak, Ferringer niewątpliwie prowadził jakąś grę. Fantastycznie! Wprost cudownie! Uzależniony od adrenaliny, żądny przygód facet z tajemnicami. Rzeczywiście trafił się jej łakomy kasek...

Powinna po prostu...

Zamarła z uniesioną ręką. Woda kapiała na dżinsy. Victoria cała zamieniła się w słuch. Jej uszy zarejestrowały jakiś szelst.

Przytłumiony dźwięk, który dochodził z zewnątrz. A tam przecież nic nie powinno się dziać.

Odetchnęła głęboko. Zerknęła przez okno. Na dworze panowały egipskie ciemności, a ją było dobrze widać w oświetlonej kuchni. Skuliła się i przyczołgała do swojej wiekowej lodówki. Zasłonięta wstała, zgasiła światło, ostrożnie wychyliła głowę i popatrzyła na podwórze.

Ponownie usłyszała niepokojący dźwięk. Tak jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. Po kilku sekundach jej wzrok przyzwyczaił się do mroku. Wtedy dostrzegła intruza. Jego czarna sylwetka właśnie pojawiła się obok domku zajmowanego przez Brandona.

Obcy powoli zbliżał się do ganku.

Victoria bez wahania poszła po strzelbę.

Brandon znów spał źle. Wiercił się na starym łóżku i przy każdym ruchu syczał z bólu. Miał okropne sny. Czasem wydawało się mu, że płonąca gałąź uderza go w głowę podczas gaszenia pożaru. Czasem we śnie widział swojego ojca, jak wychodzi z domu. „Czas działać, synu. Czas działać”. Często pojawiała się Victoria. Trenowała konie, a on stał w cieniu i nie potrafił do niej podejść.

Kilkakrotnie się budził - zamroczony, spocony i zdezo-

rientowany. Chciał wreszcie zwlec się z łóżka, ale za moment zapadał w kolejny niepokojący sen.

Za piątym razem przewrócił się z boku na bok tak gwałtownie, że aż ścisnął głowę rękami, aby nie pękła z bólu. Opuścił nogi na podłogę i usiadł, aby nie pogрузić się znów w mrocznej otchłani. Ucisnął skronie, usiłując wtłoczyć migrenę z powrotem do czaszki. Żołądek wyprawiał dziwne harce.

W tym momencie za oknem trzasnęła złamana gałązka.

Brandon wstrzymał oddech. Zastygł bez ruchu, wpatrzony w ciemny kwadrat szyby. Coś zaszeleściło. Ktoś był na zewnątrz, na skraju lasu.

Ktoś czał się w mroku nocy.

Nagle myśli Brandona pomknęły w inną stronę. Przypomniał sobie śmigający w bok łańcuch piły. Usłyszał huk padającego gigantycznego drzewa. Poczul gałęzie atakujące twarz. Dwa poważne wypadki w ciągu zaledwie dwu dni. Jakie jest statystyczne prawdopodobieństwo takiej częstotliwości?

Ktoś czał się w mroku nocy.

Brandon siedział wciąż jak sparaliżowany. Był nowojorskim bankierem. Był himalaistą. Strażakiem. Co miał teraz zrobić?

Na pewno nie powinien tkwić na łóżku i analizować. Później pomyślisz, forsiasty Brytyjczyku. Teraz zachowaj się aktywnie.

Wstał. Świat zawirował i Brandon przez chwilę sądził, że zwymiotuje. Niepewną ręką wymacał ścianę i oparł się o nią całym ciałem. Była twarda i solidna. Powoli zaczął przesuwać się po niej w kierunku okna.

Intruz chyba przemykał się w stronę domku. Najwyraźniej usiłował poruszać się bezszelestnie, lecz wcale mu się to nie udawało. Gdyby oceniać go na podstawie subtelności ruchów, to ten facet nie zaliczał się do profesjonalistów. Brandon odetchnął

głęboko. Mdłości powoli mijały, zawrót głowy także. Co prawda, głowa nadal bolała, ale stanie, poruszanie się i myślenie o czymś innym niż wielki guz zdawało się pomagać.

Dotarł do okna i wreszcie dostrzegł ciemną postać w polowie odległości między jego domkiem a domem Victorii. Mężczyzna skradał się, stawiając komicznie długie kroki, jak gdyby naoglądał się za dużo filmów sensacyjnych.

Brandon przestał medytować i chwycił dzinsy. Ze wstrząsem mózgu czy bez musiał wreszcie przystąpić do działania. Wepchnął nogi w trzewiki i w napięciu przygotował się do ataku.

- Na miłość boską, to ty, Ronald!

Brandon wybiegł akurat wtedy, gdy Victoria zapaliła latarnie i wycelowała broń. Schwytyany w strumień światła mężczyzna zamarł.

- Vic - zaskrzeczał. - Boże, chyba mnie nie zastrzelisz? Opuściła strzelbę i patrzyła na intruza z niesmakiem.

- Nie - odparła. - Ale nie z powodu sympatii do ciebie. Co cię, u diabła, tutaj przyгнаło?

Ronald zgarbił się i posłał jej błagalne spojrzenie. Dawniej chyba przynosiło to pożądany skutek. Ale teraz ta mina nie wyglądała dobrze na zapuchniętej twarzy z zaczerwienionymi oczami. Kiedyś Ronald prawdopodobnie był przystojny. Obecnie jego sylwetka wydawała się zbyt ociężała. Sprawiał wrażenie osobnika, który stoczył swoją walkę i przegrał.

- Odejdź stąd - powiedziała Victoria. - Nie mam nic, co mogłabym ci dać, a ty już ukradłeś wszystko, co dało się zabrać.

- Och, Vic, nie bądź taka surowa. Już nie biorę prochów. Daję ci słowo, przysięgam na Boga i tak dalej. - Znów skrzywił się jak zbity szczeniak. Na Victorii nie wywarło to żadnego wrażenia.

- Odejdź stąd, zanim obudzisz Randy'ego. Miej wzgląd

przynajmniej na niego.

Ronald poruszył się niespokojnie. Nie potrafił spojrzeć w oczy swojej byłej żonie.

- Próbuję się wygrzebać - mruknął.
- To dobrze, Ronald.
- Brak mi ciebie.

Nie odpowiedziała.

- To nie moja wina! - wybuchnął, przybierając wojowniczy ton. - Mój ojciec był alkoholikiem! Nie można zwalczyć swoich genów!

- Zawsze masz jakiś wybór.

Ronald jakby się skurczył.

- Wciąż wspominam dawne czasy, Vic. Pamiętasz, jak nam było dobrze? Jeździliśmy moją ciężarówką i patrzyliśmy w gwiazdy. Popijaliśmy piwo i czekaliśmy, aż wszędzie słońce.

- Mieliśmy po osiemnaście lat i brakowało nam rozumu.
- Nie, mieliśmy fantazję i temperament! Nie pamiętasz?

Ja byłem ważniakiem w drużynie piłkarskiej, a ty - moją laleczką. Tworzyliśmy parę. Wszyscy nam zazdrościli.

- Ronald tutaj nie ma dla ciebie miejsca. Wracaj do siebie.
- Do diabła, Vic. Zawsze byłaś suką o twardym sercu.

Wyraz twarzy Victorii nie uległ zmianie.

- Liczę do dziesięciu. Jeśli stąd nie znikniesz, wezwę seryfa

- Czyli swojego tatusia. Zawsze lecisz do niego po pomoc.

- Jeden...
- Daj mi chociaż parę dorców. Z uwagi na dawne czasy.
- Dwa...
- Już nigdy tu nie przyjdę. Przysięgam.
- Trzy...
- Przecież musisz mieć zaskórniaka. Zawsze miałaś. Nikt



nie jest tak dobrze przygotowany na czarną godzinę jak Vic. Wspaniała kobieta, najlepsza mama. Żaden facet nie jest dla ciebie wystarczająco dobry...

- Cztery... - Uniosła podbródek, ale Brandon dostrzegł w jej oczach łzy. Uznał, że czas wkroczyć do akcji.

Wyszedł z cienia i tak mocno chwycił Ronalda za ramię, że tamten podskoczył i zawył z bólu.

- Zjeżdżaj stąd! Ona może nie jest w stanie zastrzelić byłego męża, ale ja nie będę miał skrupułów.

Ronald wyrwał się i rzucił do ucieczki. Pędził tak szybko, jakby gonilo go stado wygłodniałych wilków. Po chwili Brandon i Victoria zostali sami. Ona trzymała lufę opartej o udo strzelby, on wsparł dłoń na pniu drzewa, żeby się nie przewrócić.

Niezręczne milczenie przeciągało się. Brandon ledwie trzymał się na nogach. Oparł się plecami o przerdzewiały samochód i zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Był świadkiem bardzo osobistej sceny, wdarł się w sferę prywatności Victorii i zaburzył naturalny porządek rzeczy. Victoria stała sztywno z zaciśniętymi wargami i patrzyła prosto przed siebie.

- Dobrze... dobrze się czujesz? - zapytał w końcu.

- O, tak. Jak nigdy dotąd - potwierdziła, ale wyraz jej twarzy mówił co innego. Postawiła strzelbę przy ścianie i zgarbiona usiadła na schodach ganku. W milczeniu otoczyła kolana ramionami. Światło wydobyło z mroku jej wysoko sklepione kości policzkowe i łzy, które wciąż lśniły w srebrzystobłękitnych oczach.

Brandon zapragnął ją przytulić. Nie był pewien, czy mu na to pozwoli, ale podszedł do ganku i usiadł obok niej. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Daleki od ideału przedstawiciel męskiego gatunku - mruknęła.

- Chyba pił.  
- Prawdopodobnie tak. Ronald ma najlepsze pomysły pod wpływem alkoholu.

- Victorio... - odezwał się, ale wciąż nie potrafił wymyślić jakiegoś sensownego zdania.

- On nie jest aż taki zły - oświadczyła po chwili. - To ja mam twarde serce.

- Nieprawda.

- Owszem, prawda. Ferringer, ja wyszłam za tego człowieka. Co więcej, ja go po prostu wielbiłam. Uważałam za najwspanialszego mężczyznę świata. Zostałam jego żoną, urodziłam mu dziecko. A teraz... teraz nie czuję do niego dosłownie nic. - Odwróciła się. - Nie masz pojęcia, jak dziwnie jest patrzeć na kogoś, kogo się szaleńczo kochało, i czuć tylko obojętność.

- To się zdarza, Victorio. Ludzie się zakochują i odkochują. To nie ma nic wspólnego z twardym sercem.

Chyba jej nie przekonał. Dał sobie spokój z dobrymi intencjami i przygarnął ją ramieniem. Zesztywniała. Bez trudu wyczuwał walkę, jaką toczyła sama ze sobą. Duma zmagiała się z potrzebą. Widocznie ta druga zwyciężyła, bo Victoria oparła głowę na jego ramieniu i objęła go w pasie. Była ciepła i giętka, miękka i silna. Już znał smak jej pocałunku, ale obejmował ją po raz pierwszy. Okazało się to o wiele przyjemniejsze, niż mógłby przypuszczać.

Wzruszenie zaczęło dławić go w gardle. Od tak dawna nikogo nie trzymał w objęciach. Minęły lata od dnia, gdy spotkał się z Maggie i braterskim uściskiem przerwał swoje dobrowolne odosobnienie. Później już nie pozwalał sobie na takie słabości.

„Nadal postrzegasz świat przez pryzmat swojego ja, Brandon. Chciałabym, żebyś myślał kategoriami my”.

„Wybacz, Julio. Nie zdawałem sobie sprawy z mojej postawy. Teraz bardzo staram się ją zmienić, ale już jest za późno”.

- Wciąż kochasz swoją żonę - szepnęła Victoria, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Tak.

- Wymówiłeś jej imię, gdy byłeś nieprzytomny lub może spałeś, wołałeś ją.

- Widziałem ją we śnie. Próbowałem ją dogonić i wyjaśnić coś ważnego.

- Jest nam ciężko, gdy umiera ktoś bliski.

- Tak.

- Zawsze pozostaje coś nie dokończonego.

- Bardzo wiele.

Patrzyła na niego w zamyśleniu.

- Długo byliście małżeństwem?

- Trzy lata. Zajmowałem się na giełdzie obrotem obligacji. Julia pracowała jako kelnerka w kawiarence na rogu, gdzie chodziliśmy na lunch... o ile mieliśmy na to czas.

- Ożeniłeś się z kelnerką?

- Pracowała, żeby móc robić doktorat. Pisała pracę z dziewiętnastowiecznej historii Europy. Julia była urodzonym naukowcem. W przyszłości na pewno zostałaby wspaniałym profesorem.

- Chorowała na coś?

- Poszła na spacer do Central Parku. Policja uznała, że to był napad rabunkowy.

Miał zbyt wiele wątpliwości, żeby powiedzieć więcej. Aby wspomnieć, że Julia została zamordowana wtedy, gdy zaczęła badać przeszłość Maksymiliana. Brandon nie wierzył w takie zbiegi okoliczności.

- A więc zabito ci żonę... Nowy Jork stał się parszywym miejscem, toteż postanowiłeś stamtąd się wynieść. Zamieniłeś uroki wielkiego miasta na górskie szlaki?

- Coś w tym stylu.

- I to wszystko? No dalej, Ferringer. Jest prawie północ, na niebie świecą gwiazdy, a ty właśnie poznałeś mojego eksmęża. Popraw mi humor i dorzuć garść szczegółów do swojej opowieści.

Spojrzał jej w oczy.

- Moje pieniądze właściwie nie są moje. Ta wielka forsa, o której mówił twój ojciec, pochodzi z polisy ubezpieczeniowej Julii. Ona zginęła, a ja dostałem milion dolarów. Nie masz pojęcia, jak trudno pozbyć się takiej kwoty.

- Usiłujesz to zrobić?

- Zawsze za dużo i za ciężko pracowałem - odparł z pasją w głosie. - Po ślubie także. Julia wciąż błagała, żebym częściej bywał w domu, żebym poświęcał jej więcej czasu, ale ja... uwielbiałem pracować. Pragnąłem pieniędzy, władzy. Mój ojciec stracił majątek mojej mamy. Mając dwadzieścia pięć lat, odkupiłem go, i traktowałem pracę jak narkotyk. Zamierzałem stać się takim człowiekiem, jakim mój ojciec nie był. Chciałem zdobyć fortunę, osiągnąć sukces i dokonać tego o własnych siłach. Ale życie zagrało mi na nosie. Stałem się bowiem dokładnie taki sam jak mój ojciec - chłodny, pełen dystansu, zapatrzony w siebie. Ożeniłem się ze wspaniałą kobietą - i zawiodłem ją. - Jego usta skrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Dorównałem swojemu tatusiowi.

- Głęboko wszystko przeżywasz.

Ponuro skinął głową.

- Owszem - przyznał. - I wszystkiego uczę się za późno. Uważnie studiowała jego twarz. Czowała, że Brandon znajduje się gdzieś daleko. Najwyraźniej błądził myślami po mrocznej krainie swojej przeszłości. Czy w tej chwili znów był małym chłopcem, który bezradnie obserwuje swojego ojca trwoniącego majątek matki? A może wspominał zmarłą żonę i żałował, że spędzał z nią za mało czasu? Teraz Victoria już wiedziała, co

popychało go do gwałtownych działań. Brandon Feringer od dzieciństwa pokutował za grzechy ojca. Dlatego stał się ponurym, zamkniętym w sobie człowiekiem, który także sobie samemu nie potrafił przebaczyć.

Przysunęła się do niego i mocniej objęła go w pasie.

- Miałeś jedenaście lat, gdy straciłeś ojca?

- Tak. Był handlowcem i dużo podróżował. Jego samolot rozbił się w Indonezji. Ciała nigdy nie znaleziono.

- Chyba wiem, dlaczego praca zespołowa sprawia ci trudności.

- Tak?

Uniosła głowę opartą o jego ramię, a jasne włosy przysłoniły połowę jej policzka.

- Sporo czytałam na temat dzieci wychowywanych tylko przez jednego z rodziców. Wiesz, dla dobra Randy'ego. Ostatnio zadaje mi tyle pytań dotyczących ojca, a ja zastanawiam się jak wyjaśnić, że on jest narkomanem. Otóż w książkach powtarza się teza, że dzieci, które wcześniej tracą jednego z rodziców, często później przechodzą kryzys zaufania. Dziecko prawie zawsze ma wrażenie, że rodzic je zawiódł. Na przykład Randy prawdopodobnie będzie głowił się nad tym, dlaczego Ronald nie kochał go na tyle, żeby zerwać z narkotykami. Prawdę mówiąc, ja też nie potrafię tego zrozumieć. Nawet jeśli rodzic umiera, dziecko i tak czuje się po prostu porzucone. Dziecko jest przeświadczone, że rodzice zawsze powinni być przy nim i je wspierać. Jeśli ich zabraknie, pozostaje uczucie zawodu. Osierocone dziecko dochodzi do wniosku, że lepiej polegać tylko na sobie. To wydaje się bezpieczniejsze.

Brandon patrzył ponuro przed siebie.

- Mówisz, że lubisz samotność - łagodnie kontynuowała Victoria. - Twoja praca izolowała cię od świata, a gdy ją porzu-

cięż, zająłeś się wspinaczką -jednym z niewielu sportów, w którym nie potrzebujesz partnera, Ani towarzysza, ani rywala, ani trenera. Jesteś tylko ty i góra. Tutejsi strażacy to twój pierwszy zespół, prawda? Po trzydziestu sześciu latach polegania tylko na sobie samym, nagle masz zaufać grupie obcych ludzi. Ta perspektywa cię przeraża. Nic dziwnego, że nie przychodzi ci to łatwo.

Spojrzał na nią, zaciskając palce na jej ramieniu.

- Więc co mam zrobić, Victorio? Zawieść ich tak samo jak Julię? Popęłnić kolejny błąd?

- Nie. Daj sobie trochę czasu. Postaraj się zrozumieć źródło swoich lęków i zapanuj nad nimi. Na pewno ci się uda. Widziałam, jak sobie radzisz z Randym i z Charliem. Jesteś wspaniałym facetem.

Długo milczał i Victoria pomyślała, że go zraziła. Ale on w końcu się odezwał.

- Następnym razem, gdy Ronald powie ci, że masz twarde serce, zastrzel go.

- Och!

- Nie pozwól, aby tak cię traktował ani mówił do ciebie w taki sposób. Jesteś najbardziej szlachetną i serdeczną kobietą, jaką znam.

Ogień w jego ciemnoniebieskich oczach sprawił, że zaparło jej dech w piersiach. W głowie miała zamęt. Chciała objąć Brandona, przytulić go do siebie i ukryć twarz na jego ramieniu. Próbowwała sobie wmówić, że jej reakcja ma podłoże hormonalne. Jednocześnie zastanawiała się, czy kiedykolwiek rozmawiała w taki sposób z Ronaldem. I czy taka rozmowa zmieniłaby bieg rzeczy.

- Muszę już iść. - Głos Brandona zabrzmiał ochryple.

- Nie! - zawołała bez zastanowienia. Natychmiast skarciła się w myśli i zacisnęła pięści.

W półmroku ganku patrzyli na siebie - bez zmrużenia powiek, bez żadnego udawania.

- Pragnę znów cię pocałować, a ty tego nie chcesz.

- Może zmieniłam zdanie - szepnęła. Miała ochotę chwycić go za koszulę, aby zatrzymać przy sobie.

- Mówisz tak pod wpływem chwili. Oboje ulegliśmy jej czarowi. A co będzie rano? Zaslługujesz na więcej, niż mogę ci dać. Nie chcę, żebyś później żałowała tego, co zrobiłaś.

Wiedziała, że on ma rację. Zsunął ramię z jej pleców. Nie zaprotestowała. Nadal wpatrywała się w jego twarz. Zawahał się. Czubkami palców bardzo delikatnie odsunął z jej czoła kosmyk jedwabistych włosów. Leciutko pogłaskał ją po policzku i starł odrobinę wilgoci z rzęs. Następnie kciukiem przesunął po jej wargach. Zadrżała.

- Jesteś taka śliczna...

Proszę cię, nie odchodź, błagała go w myśli. Do licha z rozsądkiem! Zostań ze mną. Spraw, żebym poczuła się ładna...

Odsunął się i poszedł w kierunku domku. Opuścił krąg światła i dopiero wtedy się odwrócił, bo ona już nie mogła wyraźnie widzieć jego oczu. Victoria zacisnęła dłonie w pięści.

- Dobranoc, Victorio.

- Dobranoc - odparła, gdy wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

## ROZDZIAŁ 6

Słońce było już wysoko na niebie, gdy Brandon zaczął się budzić. Na wpół senny, nie całkiem świadomy otaczającej go rzeczywistości, przepełniony dojmującym uczuciem pożądania właśnie zamierzał przytulić Victorie, o której śnił całą noc.

I wtedy otworzył oczy. Leżał na łóżku sam, z nogami skąpanymi w słonecznym blasku i uczuciem niespełnienia w łądźwiach.

Zwłóknął swoje nadwerżone ciało z łóżka. Wciąż czuł się obolały, ale ręce i nogi funkcjonowały w miarę sprawnie. Marzył o tym, żeby pospać jeszcze przez tydzień, lecz życie miało swoje prawa. Musi spotkać się z Budem Irvingiem, aby wreszcie znaleźć jakiś ślad. Przecież przyjechał tu, aby wyświetlić zagadkę śmierci ojca. Włożył na siebie poplamione dżinsy i wyszedł na zewnątrz, gdzie od razu natknął się na Randy'ego.

- Mama powiedziała, żebym pana nie budził - oświadczył.  
- Podobno czuje się pan lepiej i potrzebuje dużo snu. Kazała mi być cicho.

- To miło z jej strony.

Randy przekrzywił głowę na bok i sceptycznie przyglądał się posiniaczonej i podrapanej twarzy Brandona. Przymrużył oczy.

- Jaki dzisiaj dzień? - zapytał.  
- Sobota.  
- Jak pan się nazywa?  
- Randy Meese. Skończyłem osiem lat i uwielbiam baseball.



Szeroki uśmiech chłopca uwydatnił piegi i ujawnił szczerbate użębienie. Uszy sterczały pod potarganą czupryną jak dwa ucha od dzbanka.

- Lekarz powiedział, że pan może mieć... eee... że pan może nie pamiętać różnych rzeczy, ale nie mówił, że pan będzie udawał mnie. Gdyby pan był mną, wziąłby pan na siebie moje obowiązki?

- Nie wiem. Jakie one są?

- W weekendy karmię kury i konie. I usuwam gnój z boksów. Nie cierpię tego robić.

- Chyba cię rozumiem. Ja muszę uprać odzież. Zrobisz to za mnie?

- Nie umiem - szczerze przyznał Randy. - Mam dopiero osiem lat. Gdzie pan idzie?

- Do stajni. Powinienem się umyć.

- Mojej mamy tam nie ma.

Brandon stanął jak wryty. Po chwili zamknął otwarte ze zdumienia usta. Spojrzał na chłopca. Nie, to nie mogło być takie oczywiste. Stwierdzenie Randy'ego prawdopodobnie nie zawierało żadnego podtekstu.

- Ja po prostu chciałem wziąć prysznic - mruknął. Chłopiec okazał się jednak bardziej bystry, niż Brandon by sobie życzył.

- Moja mama jest ładna.

- Hm...

- Dobrze radzi sobie z końmi. Dziadek mówi, że ona jest najlepszym trenerem w okolicy.

- No cóż...

- Upiera się, żebym jadł warzywa, ale moja babcia też mnie do tego zmusza. Myślę, że wszystkie kobiety są takie. – Randy z miną mędrca pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedział Brandon, ale pomyślał, że na

dobrą sprawę niczego nie rozumie. Miał dziwne wrażenie, że został osaczony. Rozpaczliwie rozglądał się za drogą ucieczki lub chociaż sposobem zamknięcia ust rezolutnemu ośmioletniemu chłopcu.

- Myślę, że powinien pan iść na randkę z moją mamą - rzeczowo kontynuował Randy. - Ona zawsze mówi, że w Beaverville nie ma porządných facetów, którzy nie są naszymi krewnymi. Pan jest tu nowy i nie jest pan wujkiem. Niech pan się z nią umówi.

Brandon uznał, że warto usiąść.

- Cóż - powiedział poważnym tonem. - Pochlebia mi to, co mówisz. Bardzo lubię twoją mamę. Mam nadzieję, że ona mnie także. Ale nie jesteśmy jak chłopak i dziewczyna. Jesteśmy... eee... przyjaciółmi. Na przykład tak jak ty i ten Arnie. Albo ja i Charlie.

Randy przez chwilę przeżuwał tę informację.

- Charlie i Arnie nie są tacy ładni jak mama.

- Tak, to prawda.

- I nie znają się na trenowaniu koni.

- A zmuszają cię do jedzenia warzyw?

- Jak to.- Oczy Randy'ego rozszerzyły się.

Brandon trochę odetchnął. Po czterech latach opracowywania przemówień w prywatnej szkole w Qxfordzie i dwóch latach szlifowania krasomówczych talentów w Wharton School of Business, ledwie radził sobie w dyskusji z wiejskim dzieckiem.

- W nocy widziałem mojego tatę - nieoczekiwanie obwieścił Randy.

- Co takiego?

- Obudziły mnie jakieś hałasy. Wyjrzałem przez okno i go zobaczyłem.

- Ach tak. - Brandon nie wiedział, co powiedzieć.

- Mój tata to pijak - wyjaśnił szczerze Randy. - Jego tata też był pijakiem i dlatego nie mam drugiego dziadka. On wypił za dużo whisky i wpadł na drzewo. Nie wolno pić i prowadzić samochodu.

- Nie wolno.

- Nie chcę być pijakiem. Nigdy nie będę pić. Nie chcę, żeby mama płakała przeze mnie tak jak przez tatę.

Dolna warga Randy'ego nagle zaczęła drżeć. Brandon doskonale rozumiał stan jego ducha. Niełatwo dorastać. Jest jeszcze trudniej, gdy się widzi, jak własny ojciec rozczarowuje matkę. I prawie nie sposób poradzić sobie z przeświadczeniem, że trzeba samemu wszystko naprawić oraz ukoić jej cierpienie.

Starania Brandona nigdy nie wydawały się zadowolające, zarówno w przeszłości, jak i obecnie. Matka wciąż była zgorzkniała, niezadowolona z życia, niechętna wszelkim nowym pomysłom. Brandon już nawet nie telefonował do domu, ponieważ nie chciał wchodzić w spory z matką.

- Mówiłeś o tym swojej mamie? Z nią łatwo się gawędzi.

- Nie chcę jej martwić. - Randy gniewnie pocierał kącik oka. - Ma tyle różnych kłopotów.

- Ale to twoja mama, Randy. Na pewno cię zrozumie.

- A pan mówi swojej mamie smutne rzeczy?

Brandon nie odpowiedział od razu. Matka zupełnie nie przypominała Victorii. Nienawidziła wszystkich mężczyzn ze swoim synem włącznie, natomiast Victoria...

Victoria poświęciła całe popołudnie na zajmowanie się rozbitą głową obcego mężczyzny, mieszkającego chwilowo pod jej dachem, chociaż ranczo wymagało dużo pracy. Oddała życie za swojego syna, braci i rodziców, ponieważ ich kochała. Była silna, lojalna i wspaniałomyślna, a mężczyzna, który zdołał zdobyć jej zaufanie i szacunek, będzie największym szczęściarą.

rzem na świecie. I lepiej niech ten mężczyzna o nią dba, bo w przeciwnym razie Brandon...

- Czasem opowiadam o nich mojej babci - odparł na pytanie Randy'ego. - Gdy jestem zdenerwowany lub mam jakieś problemy. Ona mnie uważnie słucha. Powinienem niedługo do niej zadzwonić.

- To panu pomaga?

- Tak.

Chłopiec zaczął szybciej machać nogami. Przez chwilę rozważał sugestię Brandona.

- Może... może mógłbym pogadać z mamą.

- Byłaby z tego zadowolona.

- Tak pan myśli?

- Tak myślę.

Randy skinął głową i wsunął kciuki za szlufki dżinsów.

- Chyba to zrobię. Mama pomyśli, że ja się wie... zwierzęm. Dziadek mówi, że kobiety lubią takie z... wierzenie.

- Jeszcze jak - westchnął Brandon

Siedzieli obok siebie, wsłuchani w ciszę, jak dwaj poważni mężczyźni. Randy wyrwał z ziemi długie źdźbło trawy, obdarł je z zewnętrznej osłonki i wetknął w kącik ust. Brandon myślał o zimnym foyer w Hampton Court, gdzie matka zakomunikowała, że samolot ojca się rozbił. Jej wąskie, bezkrwiste wargi wyginał uśmiech wyrażający satysfakcję.

Po kilku minutach Brandon przebrał się w dres i ignorując zalecenia lekarza, pobiegł w stronę szosy.

O pierwszej zatrzymał się przed wejściem do małej pralni przylegającej do sklepu Toma Reynoldsa. Zwlekał z wycieczką do miasta wyjątkowo długo. Częściowo dlatego, że nie miał pojęcia o praniu, a częściowo z innego powodu. Był zauroczony Victoria jak szesnastoletni uczeń i miał cichą nadzieję, że

w końcu zobaczy swoją gospodynię, jeśli uzbroi się w cierpliwość i jeszcze trochę pokręci się koło domu.

Wczorajszy wieczór najwidoczniej nauczył Victorie rozumu. Doprowadziła do perfekcji umiejętność ukrywania się i żalodne czuwanie Brandona zdało się na nic. Nie dane mu było zobaczyć nawet błysku spłowiałych jasnych włosów, odrobiny szerokiego uśmiechu lub zarysu długich, zgrabnych nóg. Nawet kawałka kraciastej koszuli...

A przecież Brandon chciał tylko powiedzieć „cześć”. Po przyjacielsku pozdrowić. Po wczorajszej rozmowie stali się chyba dla siebie kimś więcej niż tylko znajomymi. Podziwiali blask pięknej księżycowej nocy, która sprzyjała osobistym zwierzeniom. On rozumiał, jak bardzo zawiódł ją mąż. Ona rozumiała, jak bardzo zawiódł go ojciec.

Brandon niechętnie skupił uwagę na rzędzie automatycznych pralek włączających się po połknięciu czterech monet dwudziestopięciocentowych. Przez chwilę obmyślał odpowiednią strategię działania. Na Manhattanie nie zajmował się takimi sprawami. Zostawiał worek z brudną garderobą na parterze, odźwierny przekazywał ją do pralni na rogu, skąd wracała czyista, uprasowana i elegancko poskładana. W Nepalu prał odzież w strumieniu. Klęczał na kamienistym brzegu ramię w ramię z uśmiechniętymi Szerpami, których szalenie bawiło niezrozumiale umiłowanie mydła.

W ciągu ostatnich czterech lat samodzielnie i w różny sposób dbał o swoją osobę, ale nigdy nie korzystał z samoobsługowej pralni.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej garść monet. Pierwsze trzy wydał w automacie z małymi opakowaniami proszku do prania o zapachu „świeżość natury”. Brandon spędził na jej łonie dużo czasu, toteż zastanawiał się, czym będą

pachnieć jego rzeczy - korą czy błotem. Uznał, że warto się przekonać.

Jeśli nie myliła go pamięć, to powinien posortować odzież na trzy grupy - osobno białe, jasne i kolorowe. Ale trzy stosiki wyglądały tak mizernie, że oddzielnie postanowił uprać tylko rzeczy białe. Nie ma sensu być pedantem, pomyślał.

Właśnie ładował pralkę, gdy do pomieszczenia zajrzał Tom.

- Zaczekaj! Nie rób tego!

Brandon zamarł z czerwoną kamizelką w dłoni.

- Czego?

- Wrzuciłeś tam jasnoniebieski podkoszulek?

Brandon twierdząco skinął głową.

- No właśnie. - Tom wygodnie oparł się o framugę, jak gdyby zamierzał dłużej pogawędzić. - Jak dodasz do tego tę intensywną czerwień, to cała twoja jasna garderoba zafarbuje.

- Umiesz prać?

- Jasne. Zawsze piorę sam. Jestem starym kawalerem. - Patrzył na Brandona tym swoim zbyt badawczym wzrokiem. - Pomóc ci?

Brandon zgodził się prawie natychmiast. Tom wyjął z pralki wszystkie rzeczy i oddzielił kolorowe od pozostałych. Wrzucił je do dwóch pralek, wybrał zimną wodę do prania kolorowej odzieży i ciepłą do prania jasnej. Następnie na specjalnej podstawce ułożył cztery monety, po czym powiedział:

- Dzisiaj na koszt firmy.

Brandon czuł się dziwnie skrepowany. W Tomie Reynold-się było coś niepokojącego. Co prawda, zachowywał się sympatycznie i swobodnie, ale Brandon miał wrażenie, że to fałszywy wizerunek.

- Możesz mi wierzyć - zagaił Tom - pranie to żadna sztuka, jak już się wie, co i jak robić. To dziwne, że ty, jako samot-

ny mężczyzna, tego nie potrafisz.

- Zawsze oddawałem odzież do pralni.

- No tak, racja. Zapomniałem, że jesteś bogaczem. - Tom uśmiechnął się, żeby złagodzić zawartą w tych słowach złośliwość, ale Brandon i tak zeszytniał. - Jak ci idzie szkolenie?

- Tom spojrzał znacząco na twarz Brandona. - Wygląda na to, że ten drugi facet wygrywa.

- Miałem randkę z pewnym drzewem.

- A jakże, słyszałem o tym. Chyba jeszcze zanim odzyskałeś przytomność.

Brandon nie zamierzał dyskutować na ten temat. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny.

- Coleton się wścieka. A takiego, jak on, lepiej nie rozjuścić. To twardy gość.

- Zauważyłem.

- Wiesz, skąd ma te swoje blizny?

- Nie.

- Nikt nie wie na pewno. Plotka głosi, że to pozostałość po akcji gaszenia jakiegoś pożaru w Montanie. Podobno ogień wymknął się spod kontroli, a Coleton wrócił po swojego kumpla. Tamten nie przeżył, a on stracił pół twarzy. Nigdy o tym nie rozmawia. Zjawił się tutaj dwadzieścia lat temu. Kroczył ulicami, nie mając nawet czapki na głowie i patrząc przechodniom prosto w oczy. To dla niego typowe. Jak ci się nie podoba, to spadaj. Przez tyle lat przyzwyczailiśmy się do niego. Oczywiście nadal się zdarza, że na jego widok jakiś dzieciak z płaczem ucieka. A Coleton nigdy nie przeprasza.

- Niby czemu miałby to robić?

- Cóż, chyba mógłby poddać się operacji plastycznej lub przynajmniej zasłaniać te uszy.

- To jego twarz i jego szramy.

- Zgadza się, ale niektórzy sądzą, że on trochę za bardzo

się nimi pyszni. Chirurgia plastyczna potrafi dzisiaj zdziałać cuda. Ciekawe, dlaczego Coleton nigdy się tym nie zainteresował?

Brandon wzruszył ramionami. Bezskutecznie zastanawiał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Osobiście uważam - kontynuował Tom, kiwając się na piętach - że Coleton lubi wzbudzać strach swoim wyglądem. Mówi „skacz” i ludzie wokół niego skaczą. Opowiada o ogniu, a wszyscy milkną i słuchają z rozdziawionymi ustami. Te ohydne blizny uczyniły z Coletona prawdziwego waźniaka.

- Niewykluczone.

- Faktem jest, że każdy uczy się też od niego, że warto zachować ostrożność. Różne rzeczy mogą okazać się niebezpieczne. Na przykład przygotowywanie ziemnej zapory ogniowej w pobliżu uschniętego drzewa, którego wcześniej się nie obejrzało. Albo włączanie piły łańcuchowej bez uprzedniego sprawdzenia jej stanu technicznego.

Brandon zdrtwiał. W milczeniu patrzył prosto na Toma, od którego dzieliło go tylko pół metra. Tę niewielką przestrzeń wypełniło nagle napięcie i nieprzyjemny, groźny chłód.

- Rozumiem - mruknął Brandon.

- Nie jestem tego taki pewien.

- Sugerujesz, że muszę bardziej uważać? Przewidywać ewentualne wypadki?

- Niektórym osobom zdarzają się one częściej niż innym.

- Z jakiego powodu tak się dzieje?

- Czy ja wiem... Są tacy, co to zadają za dużo pytań. To dla wielu może być niewygodne. Niektórzy sądzą, że przeszłość należy zostawić w spokoju.

- Niektórzy? Tacy jak Bud Irving?

- Zwłaszcza Bud Irving.

- Powiniennem już iść. Dam swoim ciuchom trochę czasu.



Tom skinął głową. Przymrużył ciemne oczy, a zmarszczki wokół nich jeszcze się pogłębiły. Opalone, zniszczone oblicze było jedną z najlepszych pokerowych twarzy, jakie Brandonowi zdarzyło się widzieć.

Tom powoli cofnął się, a Brandon ruszył do drzwi. Właśnie wychodził, gdy starszy pan znów się odezwał:

- Uważaj na siebie, Ferringer. Ja nie bawię się w plotki. Po prostu słyszę różne rzeczy, które mi się nie podobają. I nie wierzę w przypadki.

- Jak długo służyłeś w wojsku? - ostro zapytał Brandon. Tom wytrzymał jego spojrzenie.

- Wystarczająco długo. Ale nie w wojsku!

Brandon wyszedł na zewnątrz. Oddychał ciężko. Wiosenne słońce uderzyło go w twarz i trochę oszołomiło. Spodziewał się, że na dworze będzie ciemno. Burzliwie i złowieszczo. Tymczasem w sobotnie popołudnie centrum Beaverville wyglądało pogodnie i sympatycznie. Na chodnikach panował niemal tłok.

Brandon otarł pot z czoła i odetchnął głęboko. Nie rozumiał Toma Reynoldsa. Kim był - przyjacielem czy wrogiem? Sklepiarkiem czy plotkarzem? Okazało się, że Beaverville jest bardziej interesujące, niż można by przypuszczać.

Wątpliwości wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Tom nie uważał wypadku z piłą i drzewem za przypadkowe zdarzenia. W takim razie kto się za nimi krył? Dlaczego to robił? Jakim sposobem?

Skierował się do miejscowej biblioteki. Każdy krok kosztował go wiele wysiłku. Ciało ciążyło, nogi odmawiały posłuszeństwa, przed oczami latały mroczki. Na rogu ulicy Brandon zachwiał się, a kilka osób spojrzało na niego z zaciekawieniem. Potrząsnął głową i ruszył dalej.

Biblioteka publiczna była nowym, dwupiętrowym bu-

dynkiem z imponującą, rzeźbioną w drewnie tablicą informacyjną.

Na parkingu stało tylko pięć samochodów. W słoneczny dzień regały z książkami najwyraźniej nie cieszyły się popularnością. Brandon wszedł po schodkach i ujął ciepłą, mosiężną klamkę. Ręka mu drżała. Wpatrywał się w nią, dopóki nie przestała drżeć.

„Nie należy bać się niczego z wyjątkiem samego strachu”.

Czuł się dziwnie rozstrojony. Otworzył drzwi i wtoczył się do chłodnego, ciemnego wnętrza. Nic nie widział. Zamrugał jak ślepa sowa. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do panującego w holu mroku. Podniósł wzrok, a cały świat nagle gwałtownie się przechylił.

Osunął się na podłogę, lecz nawet tego nie poczuł.

- Halo, proszę pana. Co się panu stało?

Otworzył oczy. Pochyliła się nad nim jakaś kobieta o szczupłej pomarszczonej twarzy. W wyblakłych niebieskich oczach malowało się zatroskanie. Na zawieszonym na szyi łańcuszku dyndały okulary. Brandon poczuł zapach perfum White Shoulders i cedrowych kulek antymolowych. Miał przed sobą idealne wcielenie bibliotekarki.

Spojrzał ponad jej ramieniem na przeciwległą ścianę. Wisiał na niej duży, olejny obraz. Portret. Przedstawiał piękną, jasnowłosą kobietę o melancholijnym uśmiechu. Emanowała urokiem, którego czas nie był w stanie unicestwić. Brandon patrzył zafascynowany. Miniatura tego właśnie obrazu znajdowała się w medalionie ojca!

- Jak pan się czuje? - spytała bibliotekarka. Wysoki głos trochę drżał. Na złotej tabliczce identyfikacyjnej było napisane „Panna Elsie”.

- Przepraszam - wybelkotał. - Moja głowa. Słabo mi.

Zdołał usiąść, ale wszystko wokół zawirowało. Czuł, że cały płonie i jest mokry od potu.

- Zadzwońię po doktora Matthews'a.

- Widziałem się z nim. Wczoraj. - Skrzywił się. - Miałem wstrząs mózgu. Chyba trochę przesadziłem z chodzeniem.

- Pan jest Brandonem Ferringerem, młody człowieku?

Słyszałam o tym wypadku podczas szkolenia. To okropne! Powinien pan teraz leżeć w łóżku, a nie spacerować po mieście.

Otworzył usta. Właściwie nie był pewien, co chciał powiedzieć, ale jego żołądek podejrzanie zabulgotał. Przełknął ślinę, żeby powstrzymać mdłości.

Panna Elsie podjęła decyzję.

- Zaraz wezwę lekarza i szeryfa Meese'a. Zajmą się panem.

- Chwileczkę... - sapnął. Z trudem uniósł rękę i gestem wskazał na portret. - Kto... kto to jest?

- Ashley Jacobs, oczywiście. Rodzina Jacobsów ufundowała tę bibliotekę. Wspaniali ludzie. Nie zasłużyli na to, co ich spotkało...

Brandon podniósł się z podłogi. Ból powoli przechodził, ustępowała fala gorąca. Miał wrażenie, że patrzy na siebie gdzieś z góry. Czuł się jak we śnie, jak gdyby stracił kontakt z własnym ciałem. Wpatrywał się w obraz. Dostrzegł napis na mosiężnej tabliczce: Ashley Jacobs, 1939.

A więc żyła. Dzięki Bogu ta kobieta żyła. Odnajdzie ją. Zapyta ją o ojca. Musi z nią porozmawiać. To najważniejsze!

Na miękkich nogach podszedł do drzwi.

- Panie Ferringer...

- W porządku, nic mi nie jest... - Na zewnątrz oślepił go blask słońca, a w czaszce eksplodowały czerwone światła. Zignorował i jedno, i drugie. Biegł, nie przejmując się głupstwami.

Nie wiadomo kiedy znalazł się w pralni. Przełożył odzież do suszarki. Włączył ją. Ubrania zaczęły wirować, a on pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Usłyszał czyjeś kroki. Zbliżał się do niego Tom Reynolds. Nie, nie Tom. Szalony Bud Irving z szybkostrzelnym karabinem o dużym zasięgu i sforą dobermanów. A może była to piękna Ashley Jacobs z tym melancholijnym uśmiechem na ustach?

„Wiem, dlaczego Maksymilian nie wrócił” - szepnęła.  
„Wiem, dlaczego nigdy nie kochał cię na tyle, żeby z tobą pozostać. Wiem, dlaczego. Wiem”.

Wyszedł z pralni, wszedł do samochodu i zapalił silnik. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że nie widzi ulicy. Przed jego oczami tańczyło zbyt wiele czarnych plamek. Wygramolił się z auta, zachwiał się i usiłował sobie przypomnieć, co zamierzał zrobić.

Bud Irving. To imię i nazwisko wychynęło z czerwonej mgły. Właśnie. Miał odnaleźć Buda Irvinga.

Zrobił kilka chwiejnych kroków, chociaż nie wiedział, dokąd zmierza. Z tego odległego, znajdującego się gdzieś wysoko miejsca, dojrzał zdziwione spojrzenia ludzi. Dotarł do baru Whiskey Jack's i zapach smażonego jedzenia przyprowadził go o kolejny atak mdłości.

Zszedł po schodkach chodnika i skręcił w zacienioną alejkę. Poczł przyjemny chłód i dzielnie powędrował przed siebie.

- O, Jezus, wezwijcie szeryfa Meese'a - powiedział ktoś za jego plecami.

Usiłował pojąć, do czego potrzebny jest szeryf. Nie zdążył nic wymyślić, ponieważ padł na twarz i stracił przytomność.

- Głupi jak but, uparty osioł, kretyn, idiota.  
Brandon uchylił powieki. Bez wątpienia był w Kansas.

- Ciociu Em?

Victoria przestała nerwowo krążyć po pokoju i zatrzymała się w nogach łóżka. Błękitne oczy rozszerzyły się i zwężyły. Ich spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

- Najwyższy czas, do cholery!

Brandonowi przemknęło przez głowę, że to on powinien być tak powiedzieć, ale nie zdołał poruszyć wargami. Jego ciało chyba się roztopiło. Wsiąkło w materac jak w porowatą gąbkę i przestało istnieć. Czuł, że jest skąpany we własnym pocie.

Victoria podeszła bliżej. Autentyczny niepokój walczył w niej z chęcią uduszenia Brandona gołymi rękami.

- Jak się miewasz?

- Umarłem.

- Nic dziwnego, gdy ktoś biega w takim stanie. Mój ojciec powiedział, że ostatni raz widział coś równie głupiego wtedy, gdy czteroletni Charlie usiłował wejść na piętnastometrową sosnę. Masz szczęście, że nie zapadłeś w śpiączkę.

Chwyciła szklankę z wodą i podtrzymała mu głowę, żeby się napił. Następnie zmoczyła szmatkę i położyła mu ją na czole. Dopiero teraz spostrzegł, że na zewnątrz jest ciemno, jego pranie leży poskładane na podłodze, a Victoria ma pod oczami fioletowe sińce.

- Która godzina? - wyszeptał. Chciał więcej wody, ale nie miał siły, żeby poprosić. Był pewien, że mógłby wypić rzekę, po czym zażądać oceanu.

- Północ.

Przeraził się. Dobry Boże, zmarnował cały dzień! Nigdy sobie nie pozwalał na coś takiego.

Victoria westchnęła. Gniew już ją opuścił. Zgarbiona przysiadła na brzegu posłania.

- Miałeś wstrząśnienie mózgu, Ferringer - powiedziała łagodnie. - To fachowe określenie siniaka w środku czasz-

ki. Biegając, pogorszyłeś ten stan. Stłuczone miejsce spuchło i kieszonka płynu zaczęła uciskać mózg. Dlatego poczułeś się fatalnie. Dostałeś gorączki, straciłeś orientację i zarzygałeś tylne siedzenie radiowozu mojego ojca. Na pewno jeszcze o tym usłyszysz.

- Przykro mi.

- Doktor Matthews określił cię dość jednoznacznie. Teraz musisz leżeć. Daj sobie szansę. - Zerwała się z łóżka, znowu zdenerwowana. - Jak można biegać po wstrząśnieniu mózgu? Co usiłujesz udowodnić? - Jej głos wznosił się do krzyku. - Brandonie Ferringer, śmiertelnie mnie przeraziłeś!

Nie wykonał żadnego gestu, żeby się bronić.

- Dzięki za odebranie z pralni moich rzeczy.

- Tom to zrobił - warknęła. Sama chciała wierzyć, że niełatwo ją ugłaskać.

- Ach tak.

- Poradził mi też, żeby przykuć cię do łóżka kajdankami.

Niezły pomysł.

- Nie powinienem był biegać - przyznał ze skrucą, patrząc w ciemne okno. - Ale nie czułem się aż tak źle. Tylko trochę bolała mnie głowa.

- „Bolała mnie głowa” - powtórzyła rozjątrzona. - Cóż za twarde! Najpierw przywozi cię nieprzytomnego mój brat, a później rozmawiamy o zaufaniu. Dzisiaj przywozi cię mój ojciec, a ty znów jesteś nieprzytomny i w jeszcze gorszym stanie niż wczoraj. Mamy zmodyfikować wczorajsze wnioski?

- Nie sądziłem, że tak się rozłożę. Po prostu chciałem... trochę pobiegać.

Włożył w swoje spojrzenie całą szczerość, jaką zdołał z siebie wykrzesać. Victoria stała pośrodku pokoju, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Brandon pragnął, żeby znów przy nim usiadła. Chciał wziąć ją za rękę, spleść palce z jej palcami

i choćby w ten sposób poczuć się z nią związany.

- Co się dzieje, Ferringer? - spytała cicho.

- Jest tyle wątpliwości, których nie potrafię wyjaśnić - szepnęła i znów ujrzał portret pięknej kobiety. Smutna, melancholijna Ashley Jacobs, skąd znałaś mojego ojca?

- Chodzi o twoje śledztwo?

- Słucham?

- Panna Elsie mówiła, że przyszedłeś do biblioteki. W sobotnie popołudnie?

- Mam świra na punkcie książek - mruknęła. Nie był gotów do rozmowy o tamtych sprawach. Po ojcu pozostało niewiele - medalion, szkolny album. Brandon wiedział, że musi rozwiązać zagadkę śmierci Maksa Ferringera. Musi zdemaskować mordercę Julii. Musi zrozumieć, dlaczego stał się takim człowiekiem, jakim jest.

Victorio, nie chcę być taki, jak mój ojciec. Chcę być lepszy. Chcę nauczyć się, jak powinien postępować dobry mąż, brat, syn, ojciec. Victorio, Victorio...

Jego wargi nie zdołały wymówić żadnych słów. Myśli wiorowały w głowie, nie potrafił nad nimi zapanować.

- Ty i ta twoja cholerna brytyjska rezerwa - powiedziała zgryźliwie Victoria, ale wróciła na brzeg łóżka. Natychmiast spróbował sięgnąć palcami do jej dłoni. - Ferringer, przestań wracać do domu na noszach. Siwieję od tego.

- Wiem. - Już prawie dotykał jej ręki. Zdwoił wysiłki.

- Na miłość boską, spróbuj częściej być przytomny. Dałbyś Randy'emu dobry przykład.

- Uhm. - Wreszcie dotarł do jej palców i powoli splótł z nimi swoje. Nie cofnęła się, a jej ręka okazała się ciepła i miękka. Victoria stała się jego ostoją. Nie wątpił, że na niej można polegać.

Z jej oczu wyczytał, że toczyła ze sobą przegraną walkę.

- Nie wyjdzie mi to na dobre, Ferringer. Powinnam trzymać się z daleka od ciebie. - Pochyliła się i musnęła wargami czoło Brandona, przesunęła nimi po rzęsach i po policzku. Lekko odwrócił głowę, a Victoria delikatnie pocałowała go w usta. Ten przelotny kontakt przydał się im obojgu. Victoria wyprostowała się i cofnęła.

- Tak mi przykro - szepnął. Oboje wiedzieli, że to prawda.

Westchnęła i pogłaskała go po głowie. Chciała być zła na niego. Przez ostatnie sześć godzin naprawdę szalała ze złości, ale teraz Brandon odzyskał przytomność. Wyglądał tak blado i mizernie. Chciałaby go objąć i przytulić. Wzbudzał w niej czułość, którą na ogół obdarzała tylko Randy'ego i swoje konie. Pogładziła pokryty płowym zarostem policzek. Poczowała na dłoni ciepły oddech.

Wczoraj wieczorem poprzysięgła sobie, że już nie zbliży się do Brandona Ferringera. A dzisiaj znów nianczyła tego biedaka i zastanawiała się, o czym w ciemności majaczył. Bełkotał coś o Maksymilianie Kameleonie, który całował dziewczyny, a one przez niego płakały. Później oświadczył, że on nie będzie płakał, że mu nie wolno. Musiał być dzielny, dbać o Maggie i C.J.

To nie mogły być dobre myśli, bo długo rzucał się we śnie. Victoria dwukrotnie potrząsała go za ramię. Wtedy się uspokajał. Za trzecim razem tak bardzo się szarpał, że położyła się obok niego i przycisnęła do siebie jego trawione gorączką ciało. Natychmiast odwrócił się do niej, ukrył twarz na jej ramieniu i wyszeptał jej imię.

Wyszeptał jej imię.

Wątpiła, aby to pamiętał. Obiecała sobie, że ona mu o tym nie przypomni.

- Randy podobno rozmawiał z tobą dziś rano.



- Tak? - Wpatrywał się w nią zanadto uważnie. Czyżby wciąż gorączkował? A może to coś innego? Wbiła wzrok w podłogę.

- Szkoda, że obudził się właśnie wtedy, gdy przyszedł Ronald. Dziecko nie powinno być świadkiem takich scen.

- Na pewno odpowiednio mu wyjaśniłaś ten incydent. Skrzywiła się.

- Zrobiłam, co w mojej mocy.

- Co mówił Randy?

- Martwi się, że też zostanie alkoholikiem. Powiedziałam, że obawy to rzecz normalna, ale wszyscy mu pomóżemy - ja, wujkowie i dziadek. Przekonałam go, że jest wspaniałym chłopcem, więc da sobie radę. Grzechy i słabości nie przechodzą z ojca na syna, więc może spać spokojnie.

Brandon nie odpowiedział, ale jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej palące, a oddech - urywany.

- Lepiej dam ci teraz święty spokój - zaszczebiotała sztucznie radosnym tonem. - Pośpij sobie. A jutro żadnego wstawania, pamiętaj. To polecenie lekarza. Jeśli będziesz się buntował, przyślę Randy'ego, żeby na tobie posiedział.

Spróbowała wstać, ale Brandon nadal mocno trzymał jej dłoń. Wbrew sobie samej popatrzyła na niego.

Jego twarz była wymizerowana, policzki - zapadnięte, a oczy - podkrążone. Wydawało się jej, że dostrzega w nich tańczące demony, żal i jakąś zgryzotę, która dzień po dniu coraz bardziej go zżerała. Wyglądał na człowieka udręczonego, zmagającego się z czymś, co od dawna go nachodzi i męczy. Bała się, że po zgaszeniu światła potwory znów wychyną z ukrycia i zaatakują Brandona.

- Proszę cię - powiedział.

Nie udawała, że nie rozumie. On jej potrzebował. Naprawdę bardzo potrzebował. Zacisnęła powieki. Była w rozterce

i bała się dokonać wyboru.

- Och, Ferringer... Moja matka zawsze mi powtarzała, że w końcu wpadnę po uszy.

- Proszę...-powtórzył.

- Nie... nie mogę. Randy...

- Oczywiście - szepnął. - Randy. Masz absolutną rację.

Musisz się chronić przede mną. To takie ważne.

Mówił bez sensu, lecz uwolnił jej palce z uścisku. Zerwała się na równe nogi, bo jeszcze była w stanie to zrobić, ale nadal patrzyła na niego. Chciała go objąć, pomóc mu, gdy zaczął go dręczyć nocne koszmary. Chciała głaskać go po policzku i przekonywać, że wszystko będzie dobrze. Poczula się piękna, gdy wymówił jej imię. Wczoraj otoczył ją ramieniem właśnie wtedy, gdy tak bardzo tego pragnęła, i powiedział, że ona wcale nie ma twardego serca. Uwierzyła, bo przekonał ją szczerością swojego głosu.

Dał jej coś bardzo cennego, choć pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Rano przyniosę ci śniadanie.

- Byłoby miło z twojej strony.

- Ferringer, uważaj na siebie, dobrze?

Nie odpowiedział.

Zgasiła światło i zostawiła go samego na pastwę czyhających w mroku demonów.

## ROZDZIAŁ 7

Dzień tygodnia?

- Poniedziałek.

- Jak się nazywasz?

- Miś Uszatek.

- Bardzo dowcipnie, Ferringer. A teraz się zamknij i słuchaj doktora. - Coleton był w swoim zwykłym złym humorze, a Brandon jeszcze nie widział go w dobrym.

- Proszę patrzeć na mój palec. Właśnie tak. Czy tutaj boli? A tu? - Chory gwałtownie drgnął, a doktor Matthews uznał to za odpowiedź twierdzącą. Odłożył notatnik, zawiesił na szyi stetoskop i westchnął.

Była szósta dwadzieścia rano. Za dziesięć minut pozostali strażacy rozpoczną poranny bieg. Brandon musiał wiedzieć, jaki jest jego status. Orzeł czy reszka.

- Hm - mruknął doktor Matthews. - Miałeś rację, Coleton. Łeb tego osobnika przypomina kulę do gry w kręgle. Oberwie i turla się dalej.

Coleton uśmiechnął się od ucha do ucha. Pokryty bliznami policzek groteskowo się wykrzywił, a szyja ujawniła dodatkową fałdę. Nadinspektor klepnął Brandona w ramię.

- Nieźle, ty forsiasty Brytyjczyku. Całkiem nieźle.

Brandon odprężył się, ale tylko trochę. Z ledwie skrywanym niepokojem popatrywał na Coletona i lekarza. Przez całą niedzielę rozmyślał o „wypadkach”, jakie mu się przydarzyły, i o ostrzeżeniach Toma Reynoldsa. Leżąc nieruchomo w łóżku, tylko w towarzystwie wyjątkowo milczącego Randy'ego, przeanalizował każdy szczegół obu incydentów. Przypomniał sobie to wrażenie, jakie miał podczas pracy w lesie, gdy czuł, że ktoś go obserwuje. Myślał o wstrząsie, którego doznał na widok portretu Ashley Jacobs i o Budzie Irvingu - cierpiącym na manię prześladowczą dziwaku, który zamknął się w twierdzy. Wszystkie drogi prowadziły do Beaverville.

Najwyraźniej trafił na trop, ale nie wiedział, jaki. Niczego nie zdołał wyjaśnić, natomiast popadł w lekką paranoję, traktując każdego jak osobę podejrzaną - Buda Irvinga, Ashley Jacobs, Toma Reynoldsa, Coletona Smitha, doktora Matthews, szeryfa

Meese'a. W miarę upływu dnia lista się wydłużała. Chyba przyczynił się do tego również fakt, że Randy czytał mu powieść sensacyjną.

- Oczywiście żadnego biegania przez kilka następnych dni - kontynuował doktor Matthews, robiąc notatki. - Pacjent może trochę trenować, ale w ograniczonym zakresie. Żadnych dużych obciążeń, żadnego ciężkiego sprzętu, bo zawroty głowy mogą wystąpić w każdej chwili.

- A szkolenie teoretyczne? Nic by sobie nie nadweryżył.

- Z tym się zgadzam, Coleton. Znam twój i jego iloraz inteligencji. Uczciwie mówię, że ty Ferringerowi nie zagrażasz.

Coleton znów pokazał zęby w uśmiechu.

- Zdolny z niego skurczybyk, doktorze.  
- W jaki sposób będę pomagał mojemu zespołowi, skoro nie wolno mi biegać?  
- Mógłbyś zostać jego szefem - lekkim tonem powiedział Coleton. - Na pewno znasz się na zarządzaniu, forsiasty Brytyjczyku.

Brandon spojrzał pytająco na lekarza.

- To świetny pomysł - przyznał doktor Matthews. - Wkrótce wróci pan do pełnej formy, ale potrzebuje pan jeszcze paru dni względnego spokoju. Kiedy zespół zdaje egzaminy?

- Szkolenie teoretyczne kończy się w piątek - odparł Coleton. - Potem czeka ich tylko test sprawnościowy.

- Pan Ferringer jest bardzo wysportowany. Mimo kilku dni bez biegów na pewno się zakwalifikuje. Gdy grupa dostanie pierwsze wezwanie, będzie gotów. Nigdy nie widziałem takich płuc. To ten Everest, prawda?

Doktor Matthews, starszy pan o szczerzej, sympatycznej twarzy, ponownie skupił uwagę na karcie zdrowia Brandona. Coleton sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Dlatego, że jego podopieczny miał wkrótce wyzdrowieć, czy dlatego, że musi zwolnić tempo? Brandon zastanawiał się nad odpowiedzią, ale myślenie przyprawiało go o zawrót głowy.

- Dowodziłeś kiedykolwiek zespołem? - spytał Coleton. - Podejmowałeś decyzje podczas prawdziwego pożaru, gdy ważyło się ludzkie życie?

- Nie.

- To dobrze. - Coleton trzepnął go ręką w plecy. - Spodoba ci się ta zabawa, forsiasty Brytyjczyku. Cyzeluje charakter.

Brandon wrócił na ranczo dopiero o siódmej. Czuł się okropnie. Zawlókł się pod prysznic i odkręcił kran. Liczył na to, że ostre strumyki gorącej wody usuną z jego ramion przykrą

ociężałość. W głowie kręciło mu się od nadmiaru wiedzy. Usiłował zapamiętać strukturę ośrodka dowodzenia, funkcyjny i regionalny łańcuch dowodzenia, podział na różne jednostki i grupy, które wspólnie biorą udział w walce z pożarem.

Myślał o odpowiednich strategiach, pozwalających ustalić plan rozmieszczenia węży doprowadzających wodę i ziemnych zapór. Starał się przewidzieć potencjalne niebezpieczeństwa, które mogłyby zagrozić jego ludziom, oraz najlepsze posunięcia, umożliwiające ratowanie skóry całego zespołu. Od czasu do czasu przypominał sobie również o numerze telefonu państwa Jacobs. Znalazł go w książce telefonicznej.

Po myciu ubrał się w czarny dres i biały golf. Przeszedł przez ciemne podwórze, czując na karku czyjeś spojrzenie. Może rzeczywiście ktoś na niego patrzył, a może bujna wyobraźnia po prostu płatała mu figle. W kuchni Victorii paliło się światło. O tej porze Randy i jego matka jadali obiad.

Nie widział Victorii od sobotniej nocy. Nie przyniosła mu obiecane go śniadania. Zrobił to Randy, a Brandon zrozumiał sens tego uniku.

Teraz Victoria i jej syn zapewne siedzieli przy wygodnym, starym stole w ciepłej, ładnej kuchni. Ciekawe, co dzisiaj jedli.

Brandon podgrzał swoją grochówkę i zjadł ją, przegryzając krakersami i małymi marchewkami. Wyjął z torby kartkę z numerem telefonu i wlepił w nią wzrok. Powinien zadzwonić. Powiedzieć, że zna Maksymiliana Ferringera. Wsłuchać się w reakcję Ashley Jacobs. Jacobsowie stanowili filar miejscowej społeczności. Przecież właśnie za pieniądze tego starego, bogatego rodu zbudowano bibliotekę, finansowano młodzieżowe programy edukacyjne i utrzymywano baseballową drużynę.

Popił zupełną wodą i odłożył pudełko z krakersami. Zmiotł

z łóżka okruchy i znów spojrzał na kartkę z numerem. Sięgnął po telefon komórkowy, ponieważ domek nie był podłączony do linii. Wystarczyło tylko wystukać siedem cyferek. Odczekać kilka sekund i porozmawiać. Sprawa banalnie prosta.

Nie potrafił się przemóc. Siedział na łóżku, ścisnął w prawej dłoni telefon, a w lewej - kartkę i czuł się jak sparaliżowany.

Nagle doznał olśnienia. Ogarnięty paniką zrozumiał, że wcale nie chce poznać odpowiedzi. A gdyby się okazało, że C.J. miał rację? I Maggie także? Gdyby się dowiedział, że jego ojciec był po prostu przemytnikiem? Zwyczajnym kryminalistą? Ashley Jacobs mogłaby to potwierdzić. Wtedy on, Brandon, już nigdzie nie mógłby się ukryć. Prawda wyszłaby na jaw - okrutna i ostateczna.

Maksymilian Kameleon był zapatrzonym w siebie, pazyrnym materialistą i przestępcą.

A ty jesteś jego synem. Jesteś jego synem.

Tym, którego opuścił, gdy skończyła się forsa.

Wstał, ale zrobił to za szybko. Zachwiał się i oparł o ścianę. Po chwili w głowie mu się rozjaśniło, a krew zaczęła płynąć w normalnym tempie. Wrzucił telefon do podróźnej torby, medalion wepchnął pod materac, a kartkę z numerem wsunął pod stos brudnego ubrania. Tam nie będzie rzucać się w oczy, a on spróbuje o niej zapomnieć.

Ale to mu nie wystarczyło. Nie chciał siedzieć sam w tym cholernym domku. Nie chciał czuć się jak więzień spętany czernią zbyt ciemnej nocy. Do diabła z tym wszystkim, pomyślał i ruszył do stajni.

Musiał zobaczyć Victorie. Od kilku dni pragnął tylko tego.

- Czy ja dobrze słyszę? Oberwałeś w głowę, zlekceważyłeś zalecenia lekarza i doprowadziłeś do tego, że twój stan się pogorszył. I w nagrodę zostałeś szefem?

- W zasadzie... tak.

- To przypomina awans w stanowym Kapitolu.

Brandon uśmiechnął się krzywo. Wpatrywał się w Victorie jak mężczyzna, który od lat nie widział kobiety. Przebywał w jej towarzystwie już od dziesięciu minut, ale wciąż czuł się nieswojo. Zauważył, że ona także jest skrupowana.

Na jego widok zamarła. On również się zatrzymał. Oboje nagle zdali sobie sprawę, że są aż za bardzo świadomi tego, jak na siebie działają. Brandon stał kilka metrów od niej. Nie podchodził bliżej, żeby jej nie spłoszyć. Po chwili niezręcznego milczenia Victoria znów zajęła się siodłaniem konia. Brandon zaś skwapliwie poruszył jedyny bezpieczny temat, jaki zdołał wymyślić, czyli swoją pracę. Na razie szło mu nieźle.

- Jakie dokładnie są obowiązki szefa zespołu? - spytała. Jednocześnie uniosła ramię, żeby sięgnąć wyżej i poprawić siodło na grzbiecie Doca. Miała na sobie szary, trykotowy strój do konnej jazdy, który opinał ciało jak druga skóra. Ilekroć Victoria się poruszyła, Brandon tracił wątek.

- Eee... kieruje akcją. Gdy grupa dostaje wezwanie, szef odpowiada za jej odcinek. Musi wyznaczyć każdemu zadania i dopilnować, aby je wykonano zgodnie z planem. Koordynuje zajęcia swoich ludzi z pracą innych zespołów, stara się przewidzieć ewentualne problemy z ich rozwiązaniem włącznie. W przypadku bezpośredniego zagrożenia życia nakazuje opuścić strefę. Pilnuje, żeby wszyscy to zrobili.

- Rozumiem. Czy to przypadkiem nie ty jesteś tym facetem, który w zeszłym tygodniu usmażył swoją grupę? - Poprawiła strzemień.

- To ja. I dzięki za przypomnienie.



- Po prostu się zastanawiałam, jak przyjąłeś to wyróżnienie. Nie tak dawno przerażała cię wizja działań zespołowych, a dzisiaj jesteś zwierzchnikiem. To spory przeskok dla kogoś, kto zawsze chadzał własnymi drogami.

- Owszem, to spory przeskok - przyznał.

Czekała, ale nie dodał nic więcej. Wtedy potrząsnęła głową.

- Zapomnij, że to powiedziałam. Nie powinnam wtykać nosa w cudze sprawy. - Gwałtownie szarpnęła popręg i zapięła klamerkę.

- Lider powinien być pełen poświęcenia. - Brandon nieoczekiwanie zrobił krok do przodu. - Mnie chyba brak tej cechy.

- A jaki, twoim zdaniem, jesteś?

- Zapatrzony w siebie. Lubię samotność. Nie potrafię dbać o interesy innych ludzi. - Stał teraz tuż obok konia. Victoria obeszła Doca i zatrzymała się przy jego drugim boku. Brandon nie spuszczał wzroku z jej pochylonej głowy. Koń nerwowo tańczył w miejscu.

- Ferringer, wcale nie jesteś egoistą. Nie wiem, kto wmówił ci takie bzdury, ale nie powinieneś się tym przejmować. - Tak samo energicznie jak poprzednio podciągnęła skórzany pas, żeby siodło dobrze się trzymało. - Obecnie masz trochę sprzymierzeńców.

Popełniła błąd i spojrzała Brandonowi prosto w oczy. Oboje oddychali szybciej, a powietrze w stajni nagle stało się zbyt ciepłe, wilgotne i niemal gęste.

- To zasługa tego drzewa - zamruczał. - Po takim wypadku człowiek cieszy się większym szacunkiem.

- Chyba tak - odparła prawie bez tchu.

- Warto uczyć się na swoich błędach.

- A co z tą kobietą, która troskliwie cię niańczyła, żebyś wrócił do zdrowia?

- Ona uczyniła więcej, niż wymagało poczucie obowiązku. Zasluguje na nagrodę.

- Naprawdę? A wiesz, że my, głodujący właściciele rancz i samotne matki, mamy wyjątkowo wyrafinowane gusty? Mnie nie da się zbyć byle świecidełkiem.

- Co powiesz na pocałunek?

Pytanie zawisło w powietrzu. Spojrzenie Victorii bezradnie zatrzymało się na ustach Brandona. Poruszyła się niespokojnie i czubkiem języka bezwiednie oblizała wargi.

- Do licha! - mruknęła. - Nie! Nie mam osiemnastu lat! Odwróciła się, zrobiła sztywno dwa kroki i zawróciła.

- Brandonie Ferringerze, zamierzam pojeździć konno. Przyszłam tutaj w tym celu i zrobię to, co zaplanowałam, więc zejdź mi z drogi. Muszę wsiąść.

Błyskawicznie znalazła się z lewej strony konia. Chwyliła brzeg siodła i przez chwilę zmagiła się ze strzemieniem, usiłując wsunąć w nie stopę. W końcu przyszpiliła Brandoną wzrokiem.

- Pomóż mi - powiedziała, co nie zabrzmiało jak prośba. Bez słowa splótł obie dłonie. Postawiła na nich stopę i wybiła się w górę. Miał jej biodro obok swojego policzka i jej nogę przyciśniętą do klatki piersiowej. Wyczuł zapach proszku do prania i jabłkowego szamponu. A także lekki, podniecający zapach kobiety.

Wbrew własnej woli otoczył palcami smukłą łydkę - ciepłą i masywną. Powoli przesunął dłoń wyżej.

- Muszę jechać. - W głosie Victorii zawibrowało napięcie.

- Uhm. - Odkrywał kształt jej kolana, badał je jak trójwymiarową mapę. Odnalazł wrażliwy punkt z tyłu rzepki i lekko go nacisnął. Usłyszał zduszone westchnienie. Chciał przywrzeć do tego miejsca ustami. Chciał błędzić wargami, języ-

kiem i zębami po całej powierzchni jej cudownie zaokrąglonych tydek.

- Od... odsuń się.

- Uhm. - Jego palce spoczęły na jej udzie. Zadrżała. Miała wspaniałe, zgrabne, silne nogi. Leciutko zacisnął palce, a ona głośno wciągnęła powietrze.

- Jesteś spięta, Victorio. - Delikatnie pieścił jej nogę.

- Trochę.

- Źle spałaś? - Dotknął wewnętrznej strony jej uda.

- Budziłam się.

- Ja też.

- Dlatego, że drzewo rozbilo ci głowę. - Wysunęła biodra do przodu. Zatrzepotała rzęsami i zamknęła oczy. Jego palce powędrowały jeszcze dalej.

- Wcale mnie nie pragniesz? - szepnął.

- Wcale - wydyszała.

- W takim razie ja cię nie pragnę tak samo jak ty mnie;

- Co robisz? - Jęknęła, gdy w końcu dotarł do złączenia jej ud. Położył tam rękę i lekko ją przycisnął.

- Tęskniłem za tobą - przyznał, co bardzo go zdumiało.

- Nie zamierzałem tak tęsknić. Nie przypuszczałem, że...

Przysunął się bliżej, a jego głos zabrzmiał zbyt namiętnie.

- Dosyć! - Odepchnęła dłoń Brandona.

Oddychała ciężko. On także. Koń tańczył nerwowo i odsuwał się coraz dalej.

- Niech cię diabli, Ferringer. - Powieki miała zaciśnięte, a na jej twarzy malowało się przemożne pragnienie, którego nie była w stanie ukryć. Po chwili otworzyła oczy i gwałtownie pokręciła głowę. - Sprawiasz, że oboje cierpimy. Ja nie mogę... nie chcę!

Cmoknęła i Doc skoczył do przodu, wzniesając tumany pyłu. Victoria przytuliła się do szyi wielkiego zwierzęcia i wy-

szeptala kilka słów zachęty. Jej złociste włosy spletały się z szarą grzywą, a wyraz twarzy świadczył o tym, że nie ma zamiaru się zatrzymać. Koń i amazonka przelecieli przez stajnię jak wichher, a Brandon kolejny raz zrozumiał, że Victoria miała rację. Absolutną rację. Co z tego, skoro on i tak strasznie jej pragnął. Na myśl o niej cały płonął.

Victoria ściągnęła cugle. Czowała się tak, jak gdyby przepuszczono ją przez wyżymaczkę i zmiażdżono wszystkie kości.

- To, co nas nie złamie, doda nam siły - mruknęła. - Cholera jasna.

Walczyła o przegraną sprawę i wiedziała o tym. W piątkowy wieczór stała przed otwartą szafą wpatrzona w swoją jedyną sukienkę i usiłowała zwalczyć pokusę. Wszyscy dzisiaj szli na uroczystą kolację - cała rodzina z Charliem włącznie oraz Brandon. Czternaście osób, z których tylko jedna nie była z nimi spokrewniona. Dlatego nie ma sensu się stroić, pomyślała Victoria.

Jej bracia żartowaliby z niej, gdyby włożyła sukienkę.

Zamyślona, przez moment lekko gniotła czerwoną tkaninę między palcami. Nagle przypomniała sobie dotyk Ferringera na swoim udzie i cofnęła rękę, jak gdyby sukienka ją użądliła.

Dżinsy. Powinna włożyć dżinsy. Workowate. I do tego jakiś stary, sprany podkoszulek. Niech Brandon raz na zawsze sobie zapamięta, że ona nie będzie żary wać nocy z jego powodu. Na pewno nie. Miała za dużo rozsądku, żeby bawić się w takie głupstwa.

Do licha! Znow pożądliwie popatrzyła na sukienkę. Skrzywiła się przy tym tak bardzo, że zmarszczki chyba pozostaną na jej twarzy do końca życia. Mężczyźni to wstrętny gatunek!

Usiadła wyprostowana na brzegu łóżka. Czowała się spięta jak nigdy dotąd. Nie widziała Brandona od poniedziałkowego

wieczoru, ale to niczego nie zmieniało. I tak była boleśnie świadoma wszystkiego, co go dotyczyło. Wiedziała, kiedy wracał do domu, o której godzinie gasił światło, jak długo wpatrywał się w jej okno.

Słyszała od Charliego, że Brandon niemal odzyskał formę. Przeprowadzone badanie lekarskie potwierdziło dobry stan jego zdrowia. Podobno bardziej przykładał się do pracy zespołowej. We wtorek został po zajęciach, aby pomóc Barbarze oswoić się z obsługą piły łańcuchowej. Barbara jest mężatką, jakby od niechcenia dodał Charlie. Jej mąż przebywał z nimi przez cały czas.

W środę Victoria pozwoliła Randy'emu poprosić Brandona o pomoc przy odrabianiu lekcji. Chłopiec wrócił dopiero przed dziewiątą. Oświadczył, że powinni częściej zapraszać pana Ferringera na obiad, bo biedak żywi się tylko zupą. Zdaniem Randy'ego, zupy z puszki były jeszcze bardziej ohydne niż brukselka.

Victoria kazała mu iść spać. Przedtem powiedziała jednak, że pan Ferringer od dawna jest pełnoletni i potrafi sam zadbać o siebie.

W czwartek wieczorem Brandon wjechał na podjazd akuratu wtedy, gdy jadła z synem ciepły posiłek. Dzisiaj przygotowała boeuf Straganów. Randy zerknął na nią pytająco, ale nic nie działo. Później patrzył na nią wzrokiem pełnym wyrzutu. Nikt nie potrafił tak skutecznie wzbudzać poczucia winy jak ośmioletnie dziecko.

Dzisiaj był piątek i już nie mogła dłużej unikać Brandona. Strażacy zakończyli szkolenie teoretyczne i mieli przejść test sprawnościowy. Jeżeli wszyscy zdali ten egzamin, grupa została oficjalnie postawiona w stan pogotowia.

Charlie twierdził, że nikt nie będzie miał problemu z próbą sprawności. Należało tylko przebiec dwa i pół kilometra naj-

wyżej w piętnaście minut i przez trzydzieści sekund ćwiczyć na stepperze. Podczas tego drugiego testu częstość akcji serca kandydata nie powinna przekroczyć ustalonej granicy. Dla silnych i sprawnych strażaków to głupstwo. Charlie zamierzał osiągnąć wynik poniżej dwunastu minut. Brandon obniżył swoją poprzeczkę do czternastu. Obaj bez wątpienia ostro ze sobą rywalizowali.

Ech, ci mężczyźni.

Victoria ponownie spojrzała na czerwoną sukienkę o prostym fasonie - z paskiem w talii i szerokim, kloszowym dołem, falującym wokół nóg. Idealnie nadawała się do tańca. A tańce były w planie. Rodzice Victorii zabierali swoje dzieci tylko tam, gdzie dobry zespół grał muzykę w stylu country. Ciekawe, czy Ferringer lubi tańczyć. Victoria spróbowała wyobrazić sobie, jak

ją obejmuje i prowadzi w tańcu o skomplikowanym układzie.

- Przyjechali! - z holu zawołał Randy. On już był wystrojony w kraciatą kowbojską koszulę, czyste spodnie i wyglansowane odświętne buty. - Mamo! Mamo!

- Idę! - Szybko, żeby nie zmienić zdania, chwyciła dzinsy i bluzkę w lawendowym kolorze.

- Szkoda, że tego nie widziałaś! To było niesamowite! - mówił Charlie, gdy wyszła przed dom. Zapadał zmrok i sylwetki stojących na podjeździe postaci zlewały się z ich cieniami. Victoria dostrzegła jednak, że Brandon jest ogolony, a rękawy jego ciemnoniebieskiej płóciennej koszuli są podwinięte do łokcia.

- Po pierwszych czterystu metrach Barbara skręca nogę w kostce. Przewraca się, wstaje. Kuleje i nie może biec, ale ma w zapasie prawie piętnaście minut, jest w świetnej formie, więc postanawia przejść resztę dystansu. To nie to samo co bieg, ale

liczy się dotarcie do końca trasy. Rusza truchcikiem do przodu, ale kostka zaczyna puchnąć i Barbara nie jest w stanie nawet iść. Próbuje jakoś skakać, usiłując nie patrzeć na Coletona. Wszyscy wiemy, co się święci. Ona nie da rady! Z trudem powstrzymuje się od płaczu. I nagle podbiega do niej nie kto inny, tylko Ferringer. Bierze ją na ręce i biegnie z nią aż do końca. Tam grzecznie stawia ją na ziemi, żeby sama przeskoczyła linię mety. Czas - czternaście minut, pięćdziesiąt pięć sekund. „Praca zespołowa” - oświadcza Ferringer. „Moja grupa ukończyła bieg”. Zgodnie z zasadami Coleton musi to zaakceptować. „Do licha - powiedział - przynajmniej ktoś uważnie mnie słuchał”. Barbara promienieje. Oddałaby Ferringerowi nawet swoje pierwotne dziecko. Chyba że - Charlie zerknął na siostrę - ktoś złoży mu lepszą ofertę.

Państwo Meese parsknęli śmiechem, lecz podobnie jak pozostali wyrazili uznanie. Victoria pokazała bratu język. Charlie i Brandon pochwalili się przypiętymi do paska nowymi pagekami. Już oficjalnie należeli do grupy. Musieli zgłosić się telefonicznie w ciągu pięciu minut od otrzymania wezwania, a w ciągu godziny zameldować się w centrum. Byli strażakami.

Ojciec Victorii klepnął Brandona w plecy.

- Nieźle, jak na osobnika, który zanieczyścił mi cały radiowóz. Do tej pory nie zdołałem go wywietrzyć.

- Bardzo mi przykro.

- W porządku. Cieszę się, że czujesz się lepiej. Beaverville ma szczęście, że jesteś w naszym zespole. A teraz jedźmy. Ja zapraszam.

- Ja chcę jechać z panem Ferringerem! - zawołał Randy. Victoria trzymała się z boku. Udawała, że nie zwraca uwagi na to, kto wsiada do którego samochodu. Ale nie zdziwiła się, gdy Brandon wskoczył do szoferki jej półciężarówki.

- Lubię igrać z ogniem - powiedział lekkim tonem.

- Zobaczymy - odparła.

- Mogę wam przerwać?

Sarah i Victoria podniosły wzrok. Sarah - żona Johna i szwagierka Victorii oczekiwała drugiego dziecka. Była półkrewi Indianką i wyjątkowo piękną kobietą o pełnej twarzy, gęstych, ciemnych włosach i brązowych oczach. Miała również powyżej uszu swojej ciąży. Właśnie, nie owijając w bawełnę, mówiła o tym Victorii:

- Brak mi seksu - oznajmiła. - Wiem, że jestem w ósmym miesiącu, przypominam szafę i powinnam odczuwać przyływ uczuć macierzyńskich, ale naprawdę tęsknię za seksem.

Jak dotąd tematyka tej rozmowy nie działała na Victorie kojąco.

- Może zatańczymy, Victorio? - spytał Brandon, gdy obie kobiety patrzyły na niego w milczeniu. - Chętnie sprawdziłbym się w tym staroświeckim tańcu, ale chyba przyda mi się odrobina pomocy.

- Rozmawiamy - odparła raczej niegrzecznie.

Na jej talerzu leżał stos obgryzionych pieczonych zeberek. Uwielbiała je i mogła zjeść ich całe mnóstwo. Oczywiście czuła się przy tym swobodniej, gdy patrzyli na nią tylko jej bracia.

- Ależ idź, zatańcz - szybko powiedziała Sarah. Posłała Brandonowi uśmiech. - Już skończyłam narzekać na brak życia seksualnego.

W jej ciemnych oczach błysnęły iskierki humoru. Rodzina Victorii nie grzeszyła nadmierną wstydlivością. Biorąc to pod uwagę, Brandon trzymał się zadziwiająco dobrze.

- Niech mi będzie wolno poprosić cię do tańca, Victorio.

- Nikt już nie używa takich zwrotów - mruknęła, ale przyjęła jego wyciągniętą dłoń. Popełniła błąd. Ręka Brandona była pełna odcisków i twarda, a palce - ciepłe. Victoria natychmiast



wyobrazila sobie, jak przesuwają się po jej piersi. Przypływ pożądania okazał się tak silny, że potknęła się i omal nie upadła.

Brandon szybko objął ją w talii.

- Przypuszczałem, że zrobię to dopiero na parkiecie - szepnął jej do ucha - ale podoba mi się już teraz.

Gwałtownie odsunęła się od niego.

- Sama potrafię iść.

- Skoro nalegasz.

Gdy dotarli do parkietu z grubych desek, Victoria miała wypieki, a jej oczy ciskały błyskawice. Wokół tańczyli wystrojeni ludzie, ona zaś była wściekła. Nie, była sfrustrowana, a złość stanowiła najłatwiejszą metodę rozładowania napięcia.

Brandon Ferringer otoczył ją w pasie ramieniem, ujął jej prawą dłoń i zaczął obracać w tańcu, który bardziej przypominał tango niż westernową polkę. Victoria z zaciętą miną patrzyła Brandonowi w oczy.

- Babciu, dlaczego mama jest taka zła na pana Ferringera?

- Siedzący przy stole Randy pragnął wyjaśnić swoje wątpliwości.

Babcia uspokajająco poklepała go po ręce.

- Zrozumiesz to za kilka lat, mój skarbie.

Chłopiec wzruszył ramionami i udał się na poszukiwania budyniu z tapioki.

Brandon mocno przyciągnął Victorie do siebie. Zderzyła się z jego klatką piersiową, odetchnęła z gniewnym sykiem i w odwecie z całej siły nadepnęła swojemu partnerowi obcasem na palce. Brandon błyskawicznie ją obrócił, chwycił jej ramię i wraz z nią zrobił cztery szybkie kroki. Następnie znów nią zakręcił i mocno przytrzymał.

- Myślałam, że nie umiesz tańczyć - warknęła.

- Szybko się uczę - odparł lekko, ale jego niebieskie oczy były o wiele za ciemne, a policzki błyszczały od potu.

- Sądysz, że teraz, gdy już oficjalnie zostałeś strażakiem, poradzisz sobie z każdym żarem?

- Przy tobie, Victorio, nigdy nie jestem pewien niczego. Obracał ją w prawo i w lewo, a ona robiła to, czego chciał.

W morzu tańczących ludzi, przy akompaniamencie muzyki i trzeszczącej podłogi, nagle zrozumiała, że przegrywa wojnę. Widziała rozchylone usta Brandona i jego namiętne spojrzenie. Czowała przy sobie ciało Brandona, słyszała słodkie dźwięki gitar i brzdąkania na banjo. Jej opór topniał. Zespół przyspieszył tempo melodii. Oni zawirowali szybciej. Bez słów powiedziała mu, dokąd zaprowadzi ich ten taniec. Brandon zgodził się bez wahania.

- Dziękujemy za kolację - powiedziała cicho, żeby nie obudzić Randy'ego, który spał na przednim siedzeniu. Cmoknęła matkę w policzek. - Dzięki, tato. - Uścisnęła ojca, pachnącego piwem i pieczonymi żeberkami, i jeszcze raz pogratulowała Charliemu.

Była druga nad ranem i Man Meese'ow wreszcie zbierał się do domu. Prawie nigdy nie bawili się do tak późnej pory. Victoria miała im za złe ten dzisiejszy wyskok. Owszem, kochała swoją rodzinę. Naprawdę kochała. Wolałaby jednak wyjść już dwie godziny temu. Popatrzyła na Brandona.

Właśnie wyplątał się z objęć jej szwagierki i usiadł za kierownicą. Milczał. Victoria także. Delikatnie poprawiła na kolanach głowę Randy'ego. Brandon wrzucił bieg.

Czekało ich czterdzieści pięć minut jazdy. Żadna odległość jak na Oregon, lecz Victorii każdy kilometr dłużył się niemiłosiernie. Była zniecierpliwiona jak kilkuletni maluch. Dwa tygodnie gry przedwstępnej wystarczyłyby każdemu człowiekowi. Nadszedł czas spełnienia.

Czy rzeczywiście podjęła słuszną decyzję?

Uznała tę myśl za zbędną. Brandon to nie Ronald. Nie był złodziejem, ćpunem i kłamcą. Tym razem dokonała lepszego wyboru.

On tutaj nie zostanie. Dzisiaj będzie słodko, jutro jeszcze lepiej. A co się stanie za sześć miesięcy, gdy skończy się jego kontrakt? Co wtedy będziesz czuła? Jak będzie się czuł twój syn?

Victoria utkwiała wzrok w czerni za oknem. Randy był wystarczająco duży, aby wiedzieć, że ludzie chodzą na randki. Miał okazję poznać kilka dziewcząt, z którymi umawiał się Charlie. Ale czy potrafiłby pogodzić się z tym, że jesienią Brandon odejdzie, ponieważ coś gna go po świecie? A jeśli Randy zaangażuje się emocjonalnie? Tak jak na pewno zrobi to ona?

Znów odepchnęła od siebie tę myśl. Dzisiaj nie chciała mieć do czynienia z rzeczywistością. Dzisiaj jak Kopciuszek pragnęła wykorzystać swoją szansę. Do licha, nie poszła nawet na bal maturalny, ponieważ Ronald wołał się upić. A przecież każdej kobiecie należała się ta jedna, bajkowa noc. Poczowała na policzku palce Brandona.

- To był wspaniały wieczór — powiedział, a ona w tej chwili upewniła się w swojej decyzji.

Wziął od niej Randy'ego i zaniósł do domu. Skradali się przez ciemny korytarz, starając się nie hałasować, żeby nie obudzić chłopca. Jego pokój sąsiadował z jej sypialnią. Victoria odwinęła kapę w westernowe wzory, a Brandon położył dziecko na łóżku.

- Spać... -jęknął Randy. Sennie cmoknął ustami i przewrócił się na bok. Victoria zdjęła synowi tylko buty i dżinsy, po czym starannie otuliła go kołdrą.

Ręce jej drżały. Dlaczego była taka zdenerwowana? Miała dwadzieścia siedem lat, była kobietą, a nie niedoświadczoną

nastolatką. Urodziła dziecko. A teraz trzęsa się jak nieśmiała dziewczica. Co prawda, nie spała z nikim poza Ronaldem. Z tego powodu nagle zrobiło się jej głupio.

Poprawiła bluzkę i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Brandon czekał na ganku. Odwrócił się, słysząc jej kroki. Uważnie przyjrzał się jej twarzy. Victoria zagryzła wargi.

- Może... może pójdziemy do ciebie? - zaproponowała.

- Jesteś pewna?

- Eee... tak, jestem. A ty?

- Ja też. Na sto procent.

Wyciągnął do niej rękę. Przez chwilę stali w pewnej odległości od siebie, złączeni jedynie splecionymi palcami. Nagle Brandon pociągnął ją do siebie. Poddała się i wpadła w jego ramiona. Objęła go, wygięła szyję i westchnęła.

Gwałtownie przywarł ustami do jej warg, rozchylił je i wtargnął językiem do środka. Długo tłumione napięcie eksplodowało, przeszło po całym ciele jak wielka fala, pozostawiając po sobie zawrót głowy.

- Chodźmy - przynaglił szeptem Brandon.

- Tak... chodźmy - powtórzyła za nim.

Jego wargi powróciły do jej ust. Wsunęła palce w jego włosy i przylgnęła do niego. Poczwała, jak bardzo jej pragnie, sama także była bardzo podniecona.

- Idziemy - szepnął stłumionym głosem. - Do mnie...

Zbiegli z ganku jak para nastolatków i pognali przez podwórze. Oczekiwanie sprawiło, że Victoria cała się trzęsa. W wyobraźni widziała nagiego Brandona, który miał ją pod sobą.

Lecz on nagle się zatrzymał. Zachwiała się, bo niechcący zbyt mocno szarpnął ją za rękę.

- O, mój Boże! - powiedział. - Stajnie!

RS

## **ROZDZIAŁ 8**

Kłęby czarnego dymu wydobywały się ze środkowego przejścia. Usłyszeli rzenie, a następnie tupot końskich kopyt To Doc szalał wokół areny, rozgniewany dymem i trzaskiem płomieni.

- Konie! - zawołał Brandon i wbiegł do stajni. Zdążył jeszcze dostrzec Yictorię biegnącą do najbliższego boksu. Jednym szarpnięciem oderwał kawałek swojej koszuli i zasłonił sobie pół twarzy, bo gryzący dym uderzył go w nozdrza.

Pomarańczowe języki ognia tańczyły na belach siana i lizały drzwiczki drewnianych przegród. Powolutku zmierzały w stronę krokwi, tam chciały dotrzeć. A gdy już zapalał się krokwie...

Wąż! Gdzie się podział gumowy wąż? Brandon szaleńczo obmacywał ziemię. Oczy mu łzawiły, w gardle dusiło. W myślach kłębiły się dane dotyczące wpływu wilgotności paliwa na szybkość spalania, a palce grały podłogę w poszukiwaniu zrolowanego węża.

Potknął się o niego, dotarł do jego końca i odkręcił kran. Trysnęła woda, zimna i czysta.

Chwycił plastikową końcówkę i skierował strumień na płomienie.

Gdzieś w oddali dziko rżał Doc.

- Doc, nie! - krzyknęła Victoria. Przeskoczyła przez ogrodzenie i machała rękami. Przerażony Doc przewrócił oczami, ale się nie zatrzymał. Furtka była dla niego zbyt wysoka. Mógł złamać nogę.

- Odsuń się! - ryknął Brandon.

Victoria umknęła w bok. Powietrze przeciął łuk wody. Trafił spienionego konia prosto między oczy. Doc zarył kopytami w miejscu. Zarżał z taką boleścią, że Victorii ścisnęło się serce. Doc odwrócił się w lewo, tak samo rozpaczliwie usiłując uciec przed wodą, jak przed płomieniami. Znow ruszył w kie-

runku ogrodzenia.

- Zatrzymam go! - zawołała Victoria.
- Otwórz furtkę, niech wydostanie się na zewnątrz!
- Wpadł w panikę. Złamał nogę.

Pognała po linę, na której zawsze prowadziła konia podczas treningu. Brandon połał krokwie, następnie metalowym hakiem rozerwał bele siana. Ich wnętrze intensywnie się tliło, więc skąpał je w wodzie.

Doc znów rżał - długo i jakby z wściekłością. Nagle Victoria głośno krzyknęła. Brandon rzucił wąż i popędził na arenę.

- Ciiicho... - zamruczała Victoria. - Już dobrze...

Brandon wychynął z dymu jak widmo i Doc szarpnął się do tyłu, ale Victoria mocno przytrzymała linę. Brandon zastygł, żeby go bardziej nie spłoszyć. Rozdarta koszula odsłaniała klatkę piersiową, na której pot podkreślał falistą linię mięśni. Potężne obojczyki pokrywała sadza, widoczna również na skąpym, złocistym owłosieniu piersi i zwracająca uwagę na imponującą muskulaturę brzucha.

Brandon miał wspaniałe, wysportowane ciało. Victoria spostrzegła, że jego przedramiona się napięły, a długie ścięgna jeszcze bardziej się wypukliły. Niewątpliwie był zdenerwowany.

Ona była roztrzęsiona. Na drugim końcu liny koń nerwowo rył kopytem.

Victoria skupiła uwagę na zwierzęciu. Mruczała kojące słowa, które miały uspokoić również i ją. W jej krwiobiegu nadal tętniła adrenalina.

- Chcesz, żebym go przytrzymał? - Głos Brandona wibrował z napięcia.
- Nie, już w porządku. - Poklepała Doca po pokrytym py-

lem boku.

Najważniejsza była łagodność i spokój. Działy na spłoszone konie lepiej niż cokolwiek innego. Wzięcie się w garść i zapanowanie nad emocjami okazało się dla Victorii trudne. Stała naprzeciw półnagiego mężczyzny, który tak niedawno był gotów rozebrać ją do naga i wziąć do swojego łóżka. Zamknęła oczy, ale wciąż czuła na ustach smak pocałunku.

- Nic ci się nie stało? Chyba słyszałem twój krzyk.

- Och, trochę szarpaliśmy się z koniem. Głupstwo. - Doc w końcu zastrzygł uszami w jej stronę. Był to dobry znak. Victoria wciąż głaskała szyję wierzchowca.

- Co z innymi końmi?

- Tylko Riches był w stajni. Nic mu się nie stało. Daisy i Specter przebywają w nocy na pastwisku. Doc już się uspokaja. Strach działa na konie gorzej niż ogień. - Wskazała ręką na przednią nogę Doca. Z małego skaleczenia sączyła się krew. - Prawdopodobnie zranił się o ogrodzenie, gdy wpadł w panikę.

- To poważna sprawa?

- Nie, muszę tylko założyć mu opatrunek. Ugasileś ogień?

- Tak. Pożar zaczął się od belek siana.

Westchnęła ciężko.

- Szczęście w nieszczęściu. Lucerna musiała samorzutnie się zapalić. To się zdarza. Tutaj tak często pada i wszystko bez przerwy jest wilgotne. A może lucerna nie była całkiem wysuszona, gdy zwijano ją w bele. Później zaczęła w środku pleśnieć, wydzielać ciepło i pożar gotowy. - Potrząsnęła głową. - Chociaż wydaje mi się, że posoliliśmy tę partię. Naprawdę staram się uważać.

Spojrzała na środkowe przejście. Wypalone, czarne wyglądało jak obraz nędzy i rozpaczy. Dwutygodniowy zapas lucerny poszedł z dymem, a lucerna była bardzo droga. Cholera jasna. Przyjemności farmerskiego życia polegały na tym, że



zawsze trzeba było z czymś walczyć.

Victoria otoczyła ramionami szyję Doca. Stał spokojnie - dodający otuchy, wielki i silny. Przytuliła go mocniej.

- Mogło być gorzej - powiedziała z westchnieniem. - Znacznie gorzej.

- Sprawdzę stan krokwi - powiedział Brandon. Miał ponurą minę i unikał wzroku Victorii. - Nigdy za dużo ostrożności.

- Uhm. Zajmę się nogą Doca.

Brandon odwrócił się, a Victoria uśmiechnęła się blado. Namiętność, niedawno taka gwałtowna, całkiem uleciała i oboje o tym wiedzieli. Magiczna chwila minęła. Bez słowa zabrali się do pracy.

Brandon dokładnie obejrzał wszystkie krokwie. Stwierdził, że już nic się nie tli, i w końcu skierował wąż na siebie, aby się opłukać. Woda była lodowata, ale prawie tego nie zauważył. Ramiona miał obolałe, a w skroniach zaczęło boleśnie pulsować. Nie próbował tego zwalczyć, ponieważ wszystko gotowało się w nim z gniewu.

Zepsuta piła, padające drzewo, płonące siano. Zwyczajne wypadki czy rezultat celowego działania? Przypadkowa seria czy elementy zaplanowanej akcji? Łańcuchy spadały, uschnięte drzewa przewracały się, a wilgotne siano mogło samo się zapalić. Takie rzeczy się zdarzały.

A widma przeszłości czasem powracały, aby nie dopuścić do ujawnienia starych tajemnic.

Czy właśnie o to chodziło tym razem? Nie wiedział. Wspaniały, analityczny umysł Brandona Ferringera nie potrafił rozwiązać tej zagadki i ta świadomość stawała się nie do zniesienia. Czy odpowiadał za to, co się stało? Czy kolejny raz wciągał w swoje sprawy niewinną kobietę?

Niech to szlag.

W swoim domku przebrał się w czystą koszulę i poszedł

na ganek. Victoria siedziała na schodkach.

Usiadł obok niej i machinalnie zaczął skubać wymagowane włókno w szwie swoich spodni.

- Jak tam Doc? - zapytał w końcu.

- Drobne skaleczenie. Szybko się zagoi.

- To dobrze. A jak ty się czujesz?

- Jestem tylko zmęczona i sfrustrowana.

- Poważnie? - zażartował, ale spojrzała na niego ponuro.

- Jutro pojedę do miasta - mruknęła Victoria. Przesunęła dłonią po włosach. Dym odebrał złocistym pasmom całą ich puszystość. - Muszę kupić lucernę i trochę drewna, żeby naprawić uszkodzenia. To na razie wystarczy.

- Ja to kupię.

- Słucham?

- Kupię drewno, owies, lucernę - wszystko, czego potrzebujesz. Zajmę się tym. - Poczul, że zeszywniała, ale nie rozumiał, dlaczego. - Przydadzą się też nowe haki i wąż oraz gaśnice. Tak, to świetny pomysł. Kupię kilka gaśnic - zainstalujemy po jednej w każdym boksie. Rano wykonam pomiary.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - Tak szybko zerwała się na nogi, że drgnął zaskoczony. - Jak śmiesz, Ferringer? Kto dał ci prawo tak ingerować w moje życie? Ja po prostu głośno myślałam. Nie prosiłam cię o jałmużnę! Sądziłam, że lepiej mnie znasz!

- Wcale nie chodziło mi o to, żeby...

- Właśnie powiedziałeś, że za wszystko zapłacisz. Do diabła, nie pytając mnie o zdanie, wyrecytowałeś listę zakupów dla mojego rancza!

- Nie chciałem...

- Ferringer, wyjaśnijmy tę sprawę raz na zawsze, ponieważ jest czwarta rano, a ja nie zamierzam się powtarzać. Nie szukam księcia z bajki dla siebie i Randy'ego. Sama potrafię

dbać o swoje ranczo. Moja lucerna się zapaliła i kropka. Życie na wsi ma blaski i cienie. Za kilka godzin pojedę do sklepu i rozwiążę problem. Ty zajmij się gaszeniem pożarów, a mnie i moje ranczo zostaw w spokoju. I nigdy więcej mnie tak nie obrażaj!

Skończyła swoją tyradę, krzycząc. Jej gniew udzielił się Brandonowi i pełen rezerwy, opanowany Brytyjczyk wybuchnął:

- Do cholery jasnej! Co takiego masz mi za złe, kobieto? Proponuję ci pomoc, a ty skaczesz mi do gardła!

- Ty nie zaproponowałeś mi pomocy, tylko próbowałeś kupić kawałek mojego życia!

- I co z tego? Mam pieniądze. Mogę ci zafundować nową stajnię, nową ciężarówkę i arabskiego konia. Mogę podarować Randy'emu komputer i zapłacić za nowy dach. Co w tym złego?

- Brandonie Ferringer... - Jej głos brzmiał ostrzegawczo.

- Co? - parsknął. - Co, co, co?!

Oddychała ciężko i miała taką minę, jak gdyby chciała go uderzyć.

- Idę spać - oświadczyła po chwili milczenia. - Padamy na nos ze zmęczenia i najwyraźniej żadne z nas nie jest sobą. W przeciwnym razie ty nie próbowałbyś wpychać mi do gardła swoich dolarów, a ja...

Odwróciła się na pięcie i jak burza wpadła do domu. Drzwi z metalowej siatki trzasnęły. Drzwi frontowe huknęły. Brandon stał z zaciśniętymi pięściami, a krew burzyła mu się w żyłach.

Po namyśle uznał, że chyba nigdy nie zrozumie kobiet. Odkupił i podarował swojej matce ten jej cholerny dom, a ona zadzwoniła tylko po to, żeby nazwać swojego syna zimnym, nieczułym draniem. Julia czyniła wyrzuty, że nigdzie razem nie chodzą. Wtedy zabrał ją do najdroższego lokalu w Nowym Jor-

ku. Narzekała, że mąż ją zaniedbuje, więc przyniósł jej tuzin róż. Mimo to wciąż była smutna. Wyczuwał jej przygnębienie na odległość, gdy wracał o północy. A przecież po prostu pracował, na miłość boską! Nie włóczył się po barach i nie flirtował z dziewczynami.

Starał się, do cholery! Nie chciał być taki jak jego ojciec. Świadomie usiłował być inny - lepszy. Osiągnął wymierny sukces: zarobił majątek dzięki dobrym inwestycjom. Nie ograbiał z pieniędzy bogatych kobiet. Troszczył się o swoją matkę. Troszczył się o swoją żonę. Gdy porwano Maggie, natychmiast wyznaczył sześciocyfrową nagrodę. Gdy aresztowano narzeczoną C.J., natychmiast sfinansował sześciocyfrową kaucję.

Starał się być graczem zespołowym. Starał się nie zasłużyć na miano zimnego drania.

Starał się być prawdziwym mężczyzną.

I za każdym razem kończył jako Święty Mikołaj.

Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd i całkiem go oszłomiła. Ależ tak, Święty Mikołaj. Boże, jakie to trafne! Gdy Maggie, C.J. lub Lydia borykali się z jakimś problemem, telefonowali do siebie, nie do Brandona. Opowiadali o swoich troskach i nadziejach, zwierzali się sobie nawzajem. Brandon stał poza nawiasem. Był kimś, kogo bardzo trudno zastać. Kimś, kto zjawia się późno z kosztownym prezentem lub imponującym plikiem banknotów i wkrótce znów znika.

Zawsze dawał swoim bliskim wszystko oprócz siebie.

Nawet Julii nie dał całego siebie. I w głębi serca czuł, że właśnie dlatego ją zawiódł. Poślubił ją - i rzucił na pastwę samotności.

Powlókł się do swojego domku. Nie zapalił światła i w ubraniu padł na łóżko. Długo leżał, wpatrzony w sufit.

Wciąż widział swoją żonę. Uśmiechała się do niego i mia-

ła na sobie różowy strój kelnerki, jak tego dnia, gdy się poznali.

- Próbuje stać się lepszy - szepnął z naciskiem. - Naprawdę próbuję.

Odwrócił się na bok, ale nie usnął. Z ponurą miną pograżył się w niewesołych rozmyślaniach.

Obudziło go trzaśnięcie drzwiczek półciężarówki i warkot zapalanego silnika. Usłyszał też paplaninę podekscytowanego Randy'ego. Samochód wykręcił i ruszył podjazdem w stronę szosy. Widocznie Victoria pojechała z synem do miasteczka.

Zamierzała kupić lucernę, owies i drewno. Potrafiła zajmować się swoim ranczem, a on nie powinien drugi raz robić z siebie głupka. Czy mógłby przynajmniej przybić kilka desek, nie narażając się na kolejny atak?

A gdyby telegraficznie przekazał na jej nazwisko trochę pieniędzy do miejscowego prawnika? Zawsze można wymyślić jakiś spadek po nie wiadomo kim. Albo wygrana na loterii. Albo zwrot nadpłaconego podatku. Albo...

Przestań, Ferringer. Okaż jej więcej zaufania i szacunku.

Zwłókł się z łóżka i udał do stajni, równie podminowany jak wczoraj w nocy. Wziął prysznic i wrócił do siebie. Wypił kubek rozpuszczalnej kawy i dodał trochę gorącej wody do błyskawicznej owsianki.

No dobrze, Ferringer, czas się skupić.

Usiadł na łóżku, włączył telefon komórkowy i wystukał numer Jacobsów. Był zarejestrowany na nazwisko Johna Jacobsa. Mąż Ashley? Jej ojciec?

Zabrzęczał sygnał. Pierwszy. Drugi. Trzeci. Nikt nie odbierał. Czy warto zostawić jakąś wiadomość?

- Halo? - W słuchawce odezwał się głęboki, lecz nieco drżący, nadwreżony wiekiem męski głos. Zgodnie z napisem na mosiężnej tabliczce pod portretem, Ashley urodziła się w

1939 roku. Obecnie zbliżała się do sześćdziesiątki. Ten człowiek wydawał się starszy. A więc ojciec lub wuj.

- Halo? - powtórnie zachrypiał mężczyzna.

- Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z Ashley Jacobs. - Brandon ścisnął telefon o wiele za mocno, a w dołku ssało go tak, jak gdyby po raz pierwszy w życiu umawiał się na randkę.

Po drugiej stronie linii panowało milczenie. Zbyt długie milczenie. Nagle mężczyzna wybuchnął:

- Co za głupie, okrutne żarty! Dlaczego wy, smarkacze, nie znajdziecie sobie pracy i nie zostawicie porządných ludzi w spokoju!

Rozległ się trzask z impetem odkładanej słuchawki. Brandon siedział oszołomiony ze zdumienia.

O co tu, u licha, chodzi? Co on takiego zrobił?

Po chwili wyłączył telefon. Zastanawiał się nad następnym posunięciem. Wydawało się oczywiste. Wyszedł z domku, wsiadł do samochodu i pojechał do Buda Irvinga.

- Cześć.

Victoria właśnie przybijała w stajni deski. Podniosła głowę i ujrzała Brandona. Stał niedaleko z rękami w kieszeniach dżinsów. Oprócz nich miał na sobie czarny golf i czerwoną kamizelkę. Wyglądał bardzo przystojnie. Skrzywiła się i wróciła do łatania wypalanej dziury drewnianą beleczką. Brandon poruszył się niespokojnie. Najwyraźniej stracił trochę pewności siebie. Victoria nadal była na niego zła, lecz również nieco zawstydzona, co frustrowało ją jeszcze bardziej. Owszem, może przesadziła. Może straciła nad sobą panowanie, gdy Brandon zaproponował pomoc. O czwartej rano człowiek nie jest w najlepszej formie. Zwłaszcza gdy w stajni wybucha pożar.

- Znam pewnego człowieka - zagaił Brandon. - Kiepski z niego dyplomata, ale umie przybić deskę. Może skorzystasz

z jego umiejętności.

- Sama dam sobie radę.

- On tylko próbuje się przydać. W nocy rzeczywiście trochę się zagalopował. Zazwyczaj nie postępuje w ten sposób. Na szczęście dzięki tobie takie zachowanie nie ujdzie mu na sucho.

- Och, już dobrze, dobrze. Widzisz te deski? I te dziury?

Trzeba je załatać.

- Cudownie!

- Jak się dzisiaj czujesz? - Brandon wybrał kawałek drewna i mierzył go, aby przyciąć do odpowiedniej długości.

- Dobrze.

- Drapie cię w gardle? Masz zawroty głowy?

- Daj spokój, jestem tylko zmęczona. Na ogół nie baluję do czwartej rano.

- A jak tam Doc?

- W porządku! Wszyscy czujemy się świetnie! Niedługo zaczniemy śpiewać z radości!

- Chciałbym to zobaczyć.

Odwróciła się, żeby go zwymyślać, ponieważ burzył jej kruchy wewnętrzny spokój, którego osiągnięcie tak dużo ją kosztowało. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Brandona, żeby ugryzła się w język.

Z bliska wyglądał okropnie. Szczęki miał zaciśnięte tak mocno, że policzki mu się zapadły. Wargi sprawiały wrażenie niemal pozbawionych krwi, a ciemnoniebieskie oczy jarzyły się niepokojącym blaskiem.

- Brandon? - szepnęła.

- Wiesz, kim jest Ashley Jacobs? - spytał bez żadnych wstępów. Wziął gwoździe, oparł go o deskę i wbił.

- Tak. To znaczy nie. - Wzruszyła ramionami, zaskoczona jego pytaniem. - Słyszałam różne rzeczy, to wszystko.

- Jakie rzeczy?

- Prawdę mówiąc, niewiele. Ona zniknęła czterdzieści lat temu, jeszcze zanim przyszedłam na świat...

- Zniknęła? - Ręka zawisła nad drugim gwoździem.

Victoria poczuła się nieswojo, ponieważ Brandon wpatrywał się w nią ponurym wzrokiem.

- To zdarzyło się bardzo dawno temu. Nie wiem o tym zbyt dużo. John i Yvonne co roku w sierpniu organizują czuwanie w jej intencji i co roku twierdzą, że to już ostatni raz, bo Ashley wkrótce wróci. Ale ona się nie zjawia.

Usta Brandona wygięły się, jak gdyby miał się roześmiać, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Zniknęła - szepnął po chwili. - Później, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku zniknął Al Simmons, a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim - Maks. Pozostał tylko szalony Bud Irving, który niedawno do mnie strzelał.

Ramiona mu drżały. Victoria w końcu zrozumiała, że Brandon jest w szoku.

- Ferringer - powiedziała łagodnie. - Może zaczniesz od samego początku.

- Mało znaliśmy naszego ojca. Moja babcia - ta z Tillamook - ma etażerkę, w której zrobiła ekspozycję poświęconą jego życiu. Znajduje się tam zdjęcie czteroletniego Maksa siedzącego na kolanach mojego dziadka Samuela, który zginął dziewięć miesięcy później, gdy jego bombowiec zestrzelono nad terenem Niemiec. Jest też fotografia Maksa w stroju piłkarskim. Sądzę, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku Tillamook Cheesemakers była niezłą drużyną. Maks był jej kapitanem, świetnym zawodnikiem. W nagrodę otrzymał piłkę, którą grano podczas stanowych mistrzostw. Był przystojnym chłopakiem i przewodniczącym swojej klasy. To on wygłosił mowę pożegnalną podczas uroczystości maturalnych. Bez wątpienia



cieszył się wielkim powodzeniem u pań. Lydia ma cały rząd zdjęć Maksymiliana z miejscowymi pięknościami. Gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku wraz z Budem Irvingiem i Alem Simmonsem skończyli szkołę, właśnie jemu wrócono największy sukces.

Victoria mruknieniem zasignalizowała, że słucha. Znajdowali się w kuchni. Brandon siedział przy stole, nieruchomy i wewnętrznie spięty. Victoria nalala mrożoną herbatę i wsunęła jedną ze szklanek w jego rękę. Palce miał lodowato zimne.

- Może wolałbyś raczej coś gorącego?

- Nie, dziękuję.

- Podgrzeję duszoną wołowinę. - Zaczęła krzątać się przy kuchence. Ashley Jacobs, Bud Irving i ojciec Brandona? Bud do niego strzelał? Victoria miała wrażenie, że nagle znalazła się w kinie. - Mów dalej.

- Nie wiemy, co działo się z nimi po maturze. Z dokumentów wynika, że Maks, Bud i Al założyli spółkę handlową, zajmującą się eksportem i importem różnych towarów, ale właśnie wtedy wszystko się zmieniło. Mój ojciec prawie z dnia na dzień stał się innym człowiekiem. Zaczął szastać się po świecie. Na pytania mojej babci zawsze odpowiadał, że załatwia interesy i puszczał do niej oko. Moja matka poznała Maksa w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Była jedynaczką, a jej bogaci rodzice należeli do starego angielskiego rodu. Sądziła, że Maks samodzielnie dorobił się majątku i jest amerykańskim przedsiębiorcą, któremu się powiodło. Prawda wyglądała inaczej. Maks ożenił się z Caroline dla jej pieniędzy. Po ślubie natychmiast zaczął zaciągać pożyczki, obciążając hipotekę rodowej posiadłości. Pamiętam, że niemal bez przerwy podróżował. Podobno zawsze w interesach. W jego życiu nie brakowało kobiet. Romansował na prawo i lewo. W Kalifornii związał się z Vivian, początkującą aktoreczką i został ojcem

C.J., będąc nadal mężem mojej matki. Ona w końcu złożyła pozew o rozwód i dostała go. Nawet wtedy Maks nie zalegali-  
zował związku z Vivian, ponieważ była biedna.

- Klasyka - mruknęła Victoria.

Brandon uśmiechnął się z goryczą.

- Owszem - przyznał. - To dopiero początek. Rok później w Portland poznał Stephanie, atrakcyjną rzeźbiarkę o artystycznej duszy. A co ważniejsze, pochodzącą z bardzo zamożnej rodziny. Pobrali się po kilku tygodniach i urodziła się im Maggie, moja przyrodnia siostra. Z tej okazji przysłali mi pocztówkę. C.J. nie dostał nawet głupiej kartki. Maks oczywiście utrzymywał swoje małżeństwo i córkę w tajemnicy przed Vivian. Ona aż do śmierci wierzyła, że jest największą miłością w życiu Maksa. A on nadal dużo podróżował, lecz nikt nie wiedział, czym naprawdę się zajmuje. Prawdopodobnie miał również kolejne kochanki. W tej dziedzinie Stephanie dotrzymywała mu kroku, romansując z coraz to innymi facetami. Wiem od Maggie, że jej rodzice tworzyli nader burzliwe stadło, a rozwód był kosztowny.

- Wspaniale. - Victoria gniewnie zamieszała w garnku. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić los porzuconych kobiet i zagubionych dzieci. Jakim podłym trzeba być człowiekiem, żeby zostać ojcem trojga dzieci, a później odejść, niczym się nie przejmując. Miała ochotę skrócić kark Maksymilianowi Ferringerowi. Pragnęła też przytulić Brandona i powiedzieć mu, że żałuje swojego wczorajszego wybuchu. Teraz lepiej rozumiała, z czym przyszło mu się borykać.

- Vivian umarła w Los Angeles - kontynuował. - Zamknęła oczy w nędznym, jednopokojowym wynajętym mieszkanku, wsłuchana w głos jedenastoletniego C.J. Zapewniał ją, że Maks już jest w drodze i zjawi się lada chwila. C.J. oczywiście kłamał. Nasz ojciec zawsze był osobą, która wyjeżdża, a nie przy-

jeżdża. „Czas działać” - powtarzał. „Czas działać”. Po śmierci Vivian nie miał wyboru. Wziął do siebie C.J. i jeździł razem z nim. Ojciec zawsze podróżował z walizką gotówki, ale C.J. nigdy nie widział, żeby coś kupował lub sprzedawał. Zaś Maks nigdy nic nie mówił na temat swoich interesów. Przylatywali samolotem do jakiegoś miasta, a po tygodniu lub dwóch Maks oświadczał, że sprawa została załatwiona, więc znów jechali na lotnisko.

- Sądziysz, że robił coś nielegalnego, prawda?

- C.J. jest tego pewien na sto procent. Maggie - na osiemdziesiąt. Pozostałe dwadzieścia każą jej wierzyć, że ojciec był kimś w rodzaju Jamesa Bonda. Ale Maggie to romantyczka.

- A ty? Wybacz, ale twój ojciec raczej nie przypominał wzorowego obywatela.

- Kiedyś nim był. Szkoda, że nie możesz zobaczyć tych fotografii. Wystartował wprost fantastycznie. Zdobył wszystkie odznaki skautowskie, wszystkie istniejące nagrody i wyróżnienia. Był inteligentny, utalentowany. Ameryka wygrała wojnę, gospodarka kwitła, a młodzi, zdolni ludzie mogli zrealizować prawie każde marzenie. Dlatego nic z tego nie rozumiem. Skąd ta obsesja na punkcie pieniędzy? Lydia zawsze dawała sobie radę. Dlaczego Maks nie pracował? Dlaczego był stale w podróży? Co sprawiło, że modelowy amerykański chłopak nagle stał się kimś zupełnie innym?

- Ludzie się zmieniają. Czasem na gorsze.

- To prawda. - Z niewesołą miną potrząsnął głową i dodał: - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w Indonezji rozbił się samolot Maksa. Jego ciała nie odnaleziono i rok później oficjalnie uznano go za zmarłego. Po prostu zniknął. Jak to się mówi-bez śladu.

W kuchni zrobiło się cicho. Victoria napełniła duszoną wołowiną dwa talerze, postawiła je na stole i usiadła.

- Przepraszam, że w nocy zrobiłam ci taką scenę - oznajmiła nieoczekiwanie.

- Miałaś rację. Próbowałem przejąć kontrolę i zasypać problem dolarami. Wykazuję tendencję do takich działań.

- Nie ma nic złego w pomaganiu ludziom. Ja wykazuję tendencję do stawiania kolców jak jeżozwierz. Jestem w tym niezła.

Brandon w końcu się uśmiechnął.

- Właśnie to mi się w tobie podoba. Lubię twoją dumę. Wczoraj w nocy... - Nagle powróciły wspomnienia i emocje. Taniec z Victorią. Oszałamiająca bliskość jej ciała. Nocna jazda, żar, oczekiwanie, pragnienie. Nagła myśl o tym, że wkrótce nastąpi spełnienie. Smak jej ust. Bieg przez podwórze...

- Wczoraj w nocy... - powtórzyła słabym głosem.

- Nigdy bym cię nie zranił.

- Wiem. Może powinniśmy na pewien czas zapomnieć o tej nocy. Są inne ważne sprawy, z którymi trzeba się uporać. Powiedziałaś, że Bud Irving strzelał do ciebie. To mnie niepokoi.

- Mnie też. - W końcu wziął do ręki widelec i nabił na niego kawałek mięsa. - Zamierzałem tylko z nim porozmawiać. Przez większość swojego życia mój ojciec nosił przy sobie medalion z miniaturą przedstawiającą Ashley Jacobs. Tę Ashley z Beaverville.

- Naprawdę?

- Tak. Partnerami Maksa w spółce byli Al Simmons, który zniknął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku i Bud Irving, dziwak z Beaverville. Troje ludzi po prostu wyparowało.

- Takie zniknięcia to na ogół nic dobrego. Może nie powinieneś badać tej sprawy.

- Ktoś chyba doszedł do tego samego wniosku. Dzisiaj pojechałem do Buda Irvinga. Zatrzymałem się przy bramie i

przez domofon zacząłem zadawać pytania. Wtedy mój samochód został ostrzelany.

- To wystarczy! Zadzwońmy do mojego taty. Raz na zawsze wpakuje tego wariata do więzienia. Należało go zamknąć już dawno temu.

- Nie chcę, żeby poszedł siedzieć. Muszę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Ten osobnik to kompletny wariat. Zajaczki w głowie, wszędzie włączone światło i nikogo nie ma w domu...

- To wszystko jest bardzo dziwne. - Spojrzenie Brandona wreszcie stało się przenikliwe. - Tylko pomyśl, Victorio. Z czterech osób trzy prawdopodobnie nie żyją, a czwarta mieszka w fortecy otoczonej kolczastym drutem, wyposażonej w kamery i pilnowanej przez groźne psy. Może Bud nie jest aż takim dziwakiem i wariatem, za jakiego się go uważa. Może on po prostu wie, co mu grozi.

- Więc musi być jeszcze ktoś - orzekła Victoria.

- Trzeba dowiedzieć się jak najwięcej na temat Ashley Jacobs i jej tajemniczego zniknięcia. Kto mógłby udzielić nam takich informacji?

- Tom Reynolds.

## ROZDZIAŁ 9

Nic mu nie mów o moim ojcu. Nie chcę, żeby wiedział o Maksie - zastrzegł Brandon.

- Na miłość boską, przecież to tylko Tom. Znam go od tylu lat. - Victoria energicznie maszerowała środkiem głównej ulicy Beaverville, całkowicie ignorując ruch drogowy. Miała zaciętą minę i pięści gotowe do walki. Miejscowi kierowcy na szczęście dawno przywykli do tego, że Vic chadza po jezdni i omijali ją, nie włączając klaksonu.

Przed wejściem do sklepu Toma Brandon chwycił ją za ramię.

- Pamiętaj - przypomniiał.

Zrobiła zniecierpliwioną minę.

- Słowo harcerki. No chodź, Ferringer, spróbujemy zgłębić tę sprawę.

Toma zastali w lodziarni. Z fartuchem wokół bioder właśnie pucował laminowany blat. Powitał Victorie uściskiem i szerokim uśmiechem, który pogłębił zmarszczki na zniszczonej twarzy.

- Witaj. Jak się miewasz?

Zapewniła, że świetnie, a Brandon grzecznie uściśnął Tomowi rękę, choć jeszcze nie wyzbył się podejrzliwości w stosunku do niego.

- Dwa czekoladowe napoje? - spytał Tom.

- Jasne! - Victoria machnęła ręką w stronę czerwonych plastikowych stołków. Usiedli obok siebie. Po drodze umówili się, że to ona będzie kierować rozmową, aby nie wzbudzić podejrzeń Toma.

- Jak leci? - zagała.

- Tak jak zwykle, sama wiesz. Słyszałem, że wczoraj miałeś mały problem.

- Lucerna samorzutnie się zapaliła. Ferringer opanował sytuację i ogień nie zdążył się przetrzucić na stajnię.

- To dobrze. Nasza oregońska wilgoć potrafi dać się we znaki.

- Jeszcze jak!

Tom podał im kubki. Patrzył na Victorie, ale Brandon czuł przez skórę, że uwaga Toma jest skierowana na niego.

- Tom, czy to portret Ashley Jacobs wisi w naszej bibliotece?

- Ten duży obraz w foyer? Tak, to jej portret.

- Ferringer pytał mnie, kto to jest, a ja nie byłam pewna.

- Victoria z niewinną miną odwróciła się do Brandona. - Ashley Jacobs to córka Johna i Yvonne Jacobsów. Zniknęła bez śladu... właściwie nie wiem, kiedy. W którym roku, Tom?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym.

- Tak dawno? W mieście rokrocznie odbywa się czuwanie... - Victoria odegrała scenkę wyjaśniania Brandonowi, o kim mówi - ale od tamtej pory nikt Ashley nie widział. - Pociągnęła łyk i spojrzała na Toma. - Czy policja ma jakąś teorię dotyczącą jej zniknięcia?

- Oczywiście. Nie znasz szczegółów tej historii? Co prawda, to się zdarzyło, zanim twój tata przeprowadził się do Beaverville. Tak, był dopiero zastępcą szeryfa, gdy wrócił Bud Irving.

- Bud miał coś wspólnego z Ashley Jacobs? - Victoria nawet nie musiała udawać zdziwienia.

Tom wygodnie oparł się o blat.

- Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty rzeczywiście zapisał się w pamięci. Ja jeszcze tutaj nie mieszkałem. Przeczytałem o wszystkim w starych gazetach, które wpadły mi w ręce. Podobno w czerwcu John i Yvonne zorganizowali na cześć córki wspaniałe przyjęcie - coś w rodzaju balu debiutantki. Ashley była piękną dziewczyną oraz dziedziczką fortuny, toteż zjawilo się wielu zalotników. W tym czasie w Tillamook przebywali trzej młodzi mężczyźni. Prawdopodobnie polowali w tej okolicy. Ich także zaproszono. Przybyli do domu Jacobsonów i natychmiast ulegli fascynacji osobą Ashley. Co więcej, ona także zaczęła ich wyróżniać.

- I co dalej? - spytała Victoria. Brandon siedział wychylony do przodu. Nawet nie spróbował swojego napoju.

- Wszyscy trzej starali się zdobyć serce Ashley. Zasympyowali ją kwiatami, zabierali na pikniki, recytowali sonety o zachodzie słońca. Przez całe lato tutejsi mieszkańcy mieli o czym plotkować. Niektórzy twierdzili, że Ashley już wybrała jednego z tych trzech, ale żaden z nich nie dysponował wymaganym przez jej rodziców majątkiem. A państwo Jacobs decydowali o wszystkim, co dotyczyło Ashley. Była kruchą, delikatną istotą, słodką i pełną wdzięku, lecz zupełnie pozbawioną własnej woli. Ludzie wpadliby w zachwyt, gdyby uciekła z wymarzoną mężczyzną, ale nikt tak naprawdę nie wierzył, że mogłaby wykazać tyle odwagi. Pewnej nocy w sierpniu - musiałbym sprawdzić w gazecie dokładną datę - Ashley Jacobs zniknęła. Zresztą nie tylko ona - tamci trzej młodzi ludzie również. Wieczorem widziano ich razem, a rano już ich nie było.

- A Bud Irving to jeden z nich - mruknął Brandon. Domyślał się tożsamości dwóch pozostałych i czuł, że zaczyna go



mdlić od nadmiaru wątpliwości.

- To prawda - przyznał Tom. - A tamci dwaj chodzili z nim do szkoły. Zapomniałem, jak się nazywali.

Brandon odwrócił wzrok. Co tutaj robiłeś, Maks? W co się wpakowałeś? Kogo skrzywdziłeś?

- Ale przecież Bud tu powrócił - powiedziała Victoria. - Nie mówił, co zaszło tamtej nocy?

- No cóż, szeryf- wtedy był nim pan Mulhaney - oczywiście przesłuchał Buda. Ale on już miał trochę nie po kolei w głowie, więc wyjaśnienia okazały się niejasne. Twierdził, że widział się z Ashley tamtego wieczora. Przyszła do domku wynajmowanego przez ową trójkę. Zakomunikowała Budowi, że to nie on jest mężczyzną, którego wybrała. W tej sytuacji Bud spakował manatki i wyjechał. Uznał, że szczęśliwcem jest jeden z jego kolegów, ale nie chciał się dowiedzieć, który. Uszanował wybór Ashley i usunął się z drogi.

- I szeryf w to uwierzył? - Głos Brandona zabrzmiał ostro.

Tom wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć, w co uwierzył? Faktem jest, że Buda nigdy nie aresztowano. John Jacobs osobiście złożył mu wizytę i zaproponował sporo gotówki, ale Bud trzymał się swojej wersji wydarzeń. Zawsze twierdził, że nic nie wie o losie Ashley. Nigdy nie udowodniono Budowi, że mijał się z prawdą. Po pewnym czasie zlokalizowano miejsca pobytu tamtych dwóch. Obaj powiedzieli dokładnie to samo co Bud. Ashley ich odwiedziła i odrzuciła ich względy, ponieważ wybrała kogoś innego. Dlatego od razu wyjechali. Nie było podstaw, aby podejrzewać, że któryś z tych trzech kłamał. Ashley nigdy nie związała się z żadnym z nich. Ale większość ludzi przypuszcza, że Bud coś jej zrobił i dlatego zwariował.

- A co ty o tym sądzisz, Tom? - Brandon patrzył mu pro-

sto w oczy. - Jak myślisz, co się wtedy wydarzyło?

Tom milczał, a jego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć.

- Są tacy - odezwał się w końcu - którzy mówią coś innego. Twierdzą, że ci trzej mężczyźni przedstawiali tę samą wersję, ponieważ działali razem i wspólnie uzgodnili swoje ewentualne zeznania. Ashley być może przyszła wieczorem do ich domku. Być może oświadczyła, że nie wyjdzie za żadnego z nich, ponieważ są biedni. A oni być może ukarali ją za to, że ich nie chce. Niektórzy twierdzą, że Ashley Jacobs pozostała w Beaverville i nadal tu jest. A któregoś dnia, gdy znowu wyleje rzeka lub ktoś pójdzie do lasu na polowanie, zostanie odnalezionne ciało Ashley.

Tom pochylił się w stronę Brandona.

- Wiesz, co robi John Jacobs po każdym dorocznym czuwaniu? O północy jedzie do domu Buda Irvinga. Przysuwa do jednej z kamer zdjęcie swojej córki i oświetla je latarką. Psy zaczynają ujadać, Bud strzela na ostrzeżenie, a John domaga się zwrotu Ashley. Po czterdziestu latach on nadal się modli o jej szczęśliwy powrót.

W drodze powrotnej Brandon milczał. Jego umysł był pochłonięty spekulacjami na temat owego lata w 1959 roku i tego, co zdarzyło się później. Trzech przyjaciół zakochało się w tej samej kobiecie - historia stara jak świat. Kobieta była bogatą dziedziczką i potrzebowała zamożnego pretendenta do swojej ręki, a ci trzej dopiero rozpoczynali dorosłe życie. Kogo wybrała? Jednego z nich? Żadnego?

Czy Maksymilian Kameleon ją kochał? Dlatego przez tyle lat nie rozstawał się z jej podobizną? Pod koniec 1959 przebywał w Anglii. Spotykał się z Caroline. Pobrali się rok później, a w następnym roku urodził się Brandon. Jeśli Maks rzeczywiście

kochał Ashley, to nie tracił czasu po wyjeździe z Beaveryille. Szybko ją zastąpił nowym obiektem zainteresowań.

A może ożenił się z Caroline dla pieniędzy, z góry zakładając, że wkrótce się rozwiedzie, a zdobyty majątek umożliwi mu romans z Ashley? Albo pragnął Ashley tylko z powodu jej bogactwa? Panna Jacobs uniknęła pułapki, w którą później wpadła Caroline.

A może Ashley i Maks żyją? Może on zawsze kochał tylko ją? Widywał się z nią podczas swoich licznych podróży, a jego żony i dzieci były tylko dymną zasłoną. Przekazywał Ashley duże sumy pieniędzy, aby żyła w luksusie i zbierała środki dla nich obojga. Gdy do końca ograbił obie żony, sfin-gował swoją śmierć i na stałe zamieszkał z Ashley.

A może to Al Simmons wyjechał z Ashley?

Tylko dlaczego bogata, kulturalna Ashley Jacobs miałyby się zgodzić na odsunięcie od swojej rodziny i egzystencję gdzieś w ukryciu? Bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ona nie żyje.

A Maks mógł być jej zabójcą.

Hej, C.J., hej, Maggie! Zgadnijcie, czego dowiedziałem się o naszym tacie!

Victoria zaparkowała na podjeździe. Brandon wyskoczył z szoferki.

- Wyprowadzam się - oznajmił. - Wynajmę pokój w motelu.

- Co? - Patrzyła na niego całkiem oszłomiona.

- Słyszałaś. - Pomaszerował do swojego domku.

- Wybij to sobie z głowy! Ze mną tak się nie postępuje!

- Nie martw się, zapłacę ci czynsz.

Oczy rozszerzyły się jej z gniewu, a wydech zabrzmiał jak syk. Bez namysłu pognęła za Brandonem.

- Ty uparty draniu, niech ci się nie wydaje, że tak łatwo odstawisz mnie na boczny tor...

Brandon wpadł do domku, rzucił na łóżko podróżną torbę i jednym szarpnięciem ją otworzył.

- Ta sprawa nie podlega dyskusji.

Sięgnął po leżącą obok koszulę, a Victoria chwyciła go za przegub. Zastygł i długo wpatrywał się w jej zaciśnięte palce. Następnie powoli podniósł wzrok na jej twarz. Srobrzystobłękitne oczy lśniły niepokojąco.

- Możliwe, że mój ojciec jest mordercą.

- To jego problem, nie twój.

- Puść moją rękę!

- Jeszcze czego! Właśnie oświadczyłeś, że odchodzisz, obraziłeś mnie i pokazałeś mi plecy. Nie zgadzam się na takie traktowanie, w żadnym przypadku! - Przysunęła się do niego.

- Robię to, co uważam za słuszne - odparł ponuro. -

Wierz mi.

- A więc zwiewasz! Gdy sytuacja się gmatwa, chcesz po prostu dać drapaka. Nie myśl, że ci na to pozwolę!

- Muszę mieszkać bliżej strażackiej bazy!

- Nie kłam! Ferringer, nie zamierzam z ciebie zrezygnować. Nie odwrócę się od ciebie z powodu czegoś, co zrobił twój ojciec. I nie dopuszczę do tego, żebyś dał się spętać nie swojej przeszłości. Jesteś Brandonem Ferringerem i nie ponosisz odpowiedzialności za czyny twojego ojca, matki i całej reszty świata. Liczy się tylko to, co ty sam sobą reprezentujesz, a jesteś naprawdę wspaniałym człowiekiem.

- Jak cholera - burknął.

Uśmiechnęła się powoli i wyzywająco. Jednocześnie przywarła do niego całym ciałem.

- Powiedz mi, żebym sobie poszła - szepnęła zmysłowo.

- Powiedz, że wcale ci na mnie nie zależy.

Brandonowi nagle zrobiło się gorąco. Czuł tylko ją - piękną, silną, lojalną do szpiku kości Victorie Meese. Miała rację. Nie mógł od tego uciec i może właśnie to najbardziej go przerażało. Zależało mu na niej, ale obawiał się, że ją zawiedzie. Tak samo jak jego ojciec zawiodł kochające go kobiety.

- To nie ma sensu - mruknął ponuro.
- Za dużo spekulujesz.

Pocałowała go i klamka zapadła. Natychmiast wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie. Victoria zanurzyła palce we włosach Brandona, otworzyła usta i zaczęła rozkoszować się jego smakiem. Jej pocałunek podzielał na Brandona niezwykle podniecająco - był pełen zdecydowania i namiętności, po prostu idealny - tak samo jak cała Victoria. Prawdziwa, dająca oparcie, wspaniała kobieta.

Kobieta, która zasługiwała na dużo więcej.

- Nie powinniśmy - jęknął z wargami na jej szyi.
- Zamknij się i pocałuj mnie.

To im nie wystarczyło. Przez chwilę zmagali się ze swoim ubraniem, w szalonym pośpiechu rozpinali guziki. Brandon jednym ruchem zmiótł z łóżka torbę. Potoczyła się po podłodze, a on padł na materac. Wiedział, że robi źle, ale nie chciał o tym myśleć. Pragnął Victorii. Potrzebował jej. Pokonała jego wątpliwości. Sprawiała, że poczuł się jak ktoś pełnowartościowy.

Jego dłonie natychmiast znalazły się na jej obnażonych piersiach. Oboje westchnęli z zachwytu. Miała piękne piersi - wysokie, jędrne, z ciemnobrązowymi koniuszkami. Dotknął ich najpierw delikatnie, potem zaczął pieścić je gwałtowniej, a ona wtuliła się w jego uda.

Jej dłonie przesunęły się niżej. Odnalazła go przez tkaninę dżinsów i oboje głośno wciągnęli powietrze.

Chciał już być w niej, chciał się w niej zatracić. Precz z myślami o Maksie i o grzechach ojców. Z Victoria mógł po prostu być mężczyzną. Jej mężczyzną.

- Proszę - szepnęła. - Och, proszę...

Gdy sięgał do zamka jej dżinsów, powietrze przeciął ostry sygnał pagera.

Oboje zastygli bez ruchu. Spojrzeli na siebie jak para przyłapanych na gorącym uczynku nastolatków. Następnie z minami winowajców rozejrzeli się po pokoju, wypatrując intruza. W końcu Brandon spostrzegł, że pager ma umocowany do paska.

Victoria zamknęła oczy i jęknęła zupełnie nie jak dama. Zsunęła się na bok, a Brandon wstał z łóżka, odpiął czarne pudełeczko i spojrzał na numer.

- Muszę zadzwonić. To może być pożar.

- Jest pożar - parsknęła. - Właśnie tutaj. I chcę, żebyś go ugasił.

Patrzyła na niego spod ociężałych powiek, ubrana tylko w wąskie, niebieskie dżinsy, które ujawniały każde wgłębienie i wypukłość jej smukłych, długich nóg.

- Niech to diabli - mruknął ze złością, szukając telefonu komórkowego w stosie leżącej na podłodze odzieży. Tymczasem Victoria sięgnęła po bluzkę.

- Co się stało z twoim brytyjskim chłodem? - Kpiąco uniosła brwi.

- Gdzie to się, do cholery...

Jego palce wreszcie trafiły na aparat. Może chodziło tylko o próbny alarm. Wystarczy się zameldować... i powrócić do przerwanych zajęć. Ile razy pożar może przeszkadzać dwójgu pełnych temperamentu ludzi?

Tak bardzo jej pragnął. Tak bardzo potrzebował.

Chwilę potem wyłączył telefon.

- Pożar. - Zaklął siarczyście. - W Idaho. Mam dwadzieścia minut.

- To było do przewidzenia. - Zacisnęła powieki i westchnęła z przeraźliwie smutną miną. Brandon odetchnął głęboko. Serce mu się krajało, gdy patrzył na Victorie. Bał się nawet myśleć o tym, że ją zranił, bo przecież cierpiało przez niego już zbyt wiele kobiet. A on naprawdę chciał stać się kimś lepszym, próbował nauczyć się tej trudnej sztuki.

Podszedł do łóżka i patrzył na nią w milczeniu. Już włożyła koszulę, ale jeszcze nie zdążyła jej zapiąć. Czubkami palców musnęła jej szyję i odsłonięty obojczyk.

- Czy byłoby zbyt bezwstydnie poprosić o szybki numer? - Uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Nie chcę robić tego w taki sposób, Victorio. To ma być coś szczególnego. - Usiadł obok niej.

- Wiem.

Przytulił ją, a ona po chwili go objęła. Kołysał ją łagodnie, wdychając zapach jabłkowego szamponu.

- To jeszcze nie koniec - szepnęła z przekonaniem. - Nie myśl, że po powrocie tak po prostu się wyprowadzisz. Nie pozwolę, żebyś mi zrobił coś takiego.

- Porozmawiamy o tym.

- Ta sprawa nie podlega dyskusji.

- Och, Victorio. Moja słodka Victorio...

W końcu jednak musiał uwolnić się z jej objęć i zacząć się pakować. Patrzyła na niego, ale nic nie mówiła. Oboje nie wiedzieli, na jak długo wyjeżdża - na kilka dni czy tygodni. O tym zawsze decydował ogień - strażacy wracali do domów dopiero wtedy, gdy zgasł.

Brandon spakował się w kilka minut - jak typowy wędrowiec, który podróżuje z jedną torbą.

- Proszę cię, uważaj na siebie - powiedział. - Nie jestem

pewien, czy pożar w stajni to zwykły przypadek.

- Wilgotne siano czasem samo się zapala.  
- A łańcuchowe piły się psują i drzewa się przewracają, ale to nie powinno się zdarzać jednej osobie w ciągu dwóch tygodni.

- Co ty sugerujesz, Brandon?  
- Mój ojciec tkwił po uszy w jakichś nielegalnych interesach, a ja próbowałem się dowiedzieć, co robił. Może komuś nie podoba się moja ciekawość. Może te wypadki zostały zaaranżowane.

Przyjęła jego słowa bez jednego mrugnięcia.  
- I dlatego sądzisz, że powinieneś stąd odejść.  
- Nie wolno mi narażać ciebie i Randy'ego na niebezpieczeństwo.

- Z całym szacunkiem, Brandon, ale decyzja należy do mnie.

- Powiedz o tym swojemu ojcu, dobrze?  
Skrzywiła się, ale nie była aż taka uparta, żeby nie przyznać mu trochę racji.

- Zgoda. Obiecuję.  
Skinął głową, zadowolony bardziej, niż mógł to okazać. Musnął wargami jej usta. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Nagle chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

- Tak strasznie nie chcę cię zostawiać, Victorio - szepnął z żarem w głosie.

Pocałowała go namiętnie i oboje udali, że nie zauważyli łez spływających po jej policzkach.

Nikt nie umiał przewidzieć swojej reakcji na czekanie. Wszechstronnie wyszkoleni strażacy dobrze wiedzieli, jak działała na nich przyływ adrenaliny. Byli przecież ludźmi czynu. Inni myśleli, zaś oni działali. Dlatego na ogół nie lubili godzin



przymusowej beczynności. Takich jak teraz, gdy lecieli małym, czarterowym samolotem na miejsce swojej pierwszej akcji i na razie mogli tylko czekać.

Woody, który miał największe doświadczenie, spokojnie żuł gumę i bez końca tasował talię kart. Charlie Meese opowiadał dowcipy. Sypał nimi jak z rękawa, mówił głośno i często się śmiał. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego, pewnego siebie poszukiwacza wrażeń, ale zdradzały go ręce. Wyraźnie drżały.

Barbara miała ściśnięte kolana, zgarbione plecy i ciasno splecione dłonie. Niewątpliwie była spięta. Tylko ją wyłącznie z bezpośredniego udziału w akcji. Skręcona kostka jeszcze nie wydobrzała i Barbara miała pozostać w centrum dowodzenia.

Hank, Allison i Jerry grali w domino i gawędzili. Już trzeci sezon pracowali jako strażacy. Chyba nie odczuwali zdenerwowania.

Brandon siedział nieco dalej. Bezwiednie zaciskał szczęki, ale czasem sobie przypominał, że warto rozluźnić mięśnie. Wtedy w uszach mu klaskało i przez pewien czas lepiej słyszał. Nie pierwszy raz leciał gasić pożar, toteż nie powinien niczym się przejmować. Ale wystarczyło spojrzenie na siedemnastu członków grupy, żeby poczuć ogromny ciężar odpowiedzialności i znów zacisnąć zęby. Gdyby chociaż była tutaj Victoria...

Cztery lata temu, gdy po uderzeniu pioruna w uschnięte drzewo na suchym jak pieprz stoku Mount Washington rozszalał się pożar nawet przez moment się nie zastanawiał. Ogłoszono alarm, zrzucono zespoły i zaapelowano o pomoc ochotników. Brandon właśnie wędrował po tej okolicy. Jako jeden z pierwszych chwycił plecak z wyposażeniem i strażacki toporek. Następnie wysłuchał instrukcji i zabrał się do roboty. Wraz z pracownikami służby leśnej i pod ich nadzorem szykował ziemne

zapory.

Dobrze zapamiętał tamten dzień. Temperatura powietrza wynosiła prawie czterdzieści stopni i pot żłobił jaśniejsze linie na pokrytych sadzą policzkach. Czarny, gęsty od pyłu dym wznosił się jak gigantyczny grzyb, zasłaniając słońce.

Później rozeszła się wieść, że stracono radiową łączność z zespołem D. Wyznaczono mu zadanie powstrzymania ognia za pomocą niewielkiego strumienia, ale okazało się, że tam nadal się pali. Wydano nowe rozkazy. Za priorytet uznano ratowanie zespołu D. Ross Higgins zebrał swoją grupę, która natychmiast udała się na poszukiwania.

Brandon i pozostali ochotnicy mieli kontynuować dotychczasowe wysiłki. I wtedy nadeszła kolejna wiadomość. Na terenie objętym pożarem zaginęła para młodych wycieczkowiczów. Brandon bez wahania chwycił strażacki hełm, dwie manierki z wodą oraz podręczną apteczkę i ruszył w stronę, gdzie ostatnio widziano owych turystów.

Pejzaż wyglądał surrealistycznie. Skaliste ścieżki były takie gorące, że woda kapiąca na nie z butelek natychmiast wyparowywała. Grunt pokrywała gruba warstwa sadzy, krzaki i trawa już nie istniały, stuletnie drzewa zmieniły się w koszmarne kikuty. Przypominały ponure strachy na wróble, które здаwały się szyderczo szczerzyć, gdy przechodził obok nich. W pewnej chwili wyprzedził go jelen. Uciekał przed płomieniami, które już go dognały. Później Brandon ujrzał to samo zwierzę nad poczerniałym od sadzy strumieniem. Jeleń pił łapczywie, co oznaczało, że jest bliski śmierci. Miał spaloną sierść, a w niektórych miejscach ohydne rany, z wypaloną, pozwijaną skórą.

Cierpiał, ale Brandon nie miał broni, żeby go zastrzelić. Szedł w stronę ognia, a powietrze coraz bardziej wypełniał dźwięk trzaskających gałęzi i ryczących płomieni. Zanurzył się

w nich, poczuł, że jego ciało zaczyna się smażyć, lecz myślał i tylko o Julii i przeklętym Maksie Ferringerze, który odebrał mu żonę.

Rozsadzała go wściekłość, więc nie zwracał uwagi na jęzory ognia, piekielny żar i duszący dym, który dławił w gardle. Biegł jak we wnętrzu gigantycznego pieca, szukając pary dzieciaków. Wiedział, że ich znajdzie. Zamierzał stoczyć pojedynek z matką naturą i odebrać jej zdobycz. Musiał uratować dwoje anonimowych nastolatków, ponieważ zawiódł kobietę, którą kochał.

Pojedynek przyniósł mu zwycięstwo. Brandon odnalazł wycieczkowiczów i sprowadził ich do obozu. Opatrzył ich oparzenia i dał im wodę. Dopiero wtedy zemdlął z powodu wyczerpania i zatrucia dymem. Głos odzyskał po trzech tygodniach. Przypuszczał, że chwilową jego utratę również spowodował dym. Jeden z uratowanych, Kyle, powiedział mu później, że wypadł z płomieni, wykrzykując imię Julii. Dlatego oboje mogli go zlokalizować. Ryk jego gniewu pokonał wycie ognia.

Samolot zaczął schodzić do lądowania. Teraz już było widać czarną zasłonę dymu unoszącą się nad płonącymi lasami południowego Idaho.

- To tylko pelzający ogień - stwierdził Woody, który otrzymał najnowsze informacje. - Pożar na rozgrzewkę.

Spojrzeni po sobie.

Brandon znów pomyślał o tamtym umierającym jeleniu.

- Coś nie tak, forsiały Brytyjczyku? Żałujesz, że z nami lecisz? - Coleton wychylił się z fotela na przodzie samolotu.

Uśmiechał się szeroko, a jego ciemne oczy lśniły. Nadchodził ogień. Był jak dawno temu utracona kochanka i Coleton pragnął jak najszybciej podjąć przerwany romans.

- Skądże - zaprzeczył Brandon.

- Nie zapomnij o swoim zespole. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Brandon spojrzał mu prosto w twarz.

- Nie zapomnę.

Coleton pokazał zęby w uśmiechu, a zdeformowany policzek jeszcze bardziej się wykrzywił.

- W porządku, zbierajcie się. Musimy dotrzeć na miejsce. Czas działać.

Brandon odwrócił się do niego jak we śnie. Wciąż brzmiały mu w uszach te dwa słowa. Wciąż widział Maksa, który w czarnym garniturze stoi przy frontowych drzwiach. „Muszę iść, synu. Czas działać. Czas działać”.

Nie był w stanie oddychać. Ani myśleć. Wpił się spojrzeniem w pokrytą bliznami, zniekształconą twarz. „Czas działać, czas działać”.

Nie, to niemożliwe. Nie ten kolor oczu. Poza tym syn powinien rozpoznać swojego własnego ojca.

Ale nie potrafił wyrzucić z głowy kłębiących się w niej myśli. Ręce mu drżały. Zaczęli wysiadać, więc tępo ruszył za Charliem.

Przed nimi rozciągał się płonący las. Ogień tańczył kusząco.

- Słyszałaś coś, mamó? - spytała Victoria.

- Nie, kochanie. Naprawdę. Minęły dopiero trzy dni.

- A jaki to rodzaj pożaru? Duży czy jakieś głupstwo?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno nikomu nic się nie stało.

- Tak, oczywiście. - Victoria uśmiechnęła się sztucznie. -

Nie warto się przejmować - dodała z udawaną bez troską.

- Kiepsko kłamiesz, mamó. - Randy z dezaprobatą pokręcił głową.

- Odrobiłeś już lekcje?

Parsknął śmiechem.

- Lubię pana Ferringera. Myślę, że powinnaś za niego wyjść. Wtedy zostałby z nami na zawsze.

Victoria posłała synowi srogie spojrzenie.

- Za wcześniej, żebyś interesował się takimi sprawami, młody człowieku. A teraz marsz do lekcji!

Trzeciego dnia wszyscy padali ze zmęczenia. Po przylocie do Idaho harowali bez przerwy przez dwadzieścia godzin. Starali się otoczyć ogień szczelną zaporą. Chwywanie go w pułapkę było specjalnością strażaków i skoczków. Kopali najszybciej i szczycili się swoją imponującą wydajnością. Po okopaniu płonącego lasu sytuacja się zmieniała. Ogień już się nie rozprzestrzeniał, poziom adrenaliny we krwi opadał i ludzie zwalniali tempo. Porządkowanie zawsze trwało długo, ponieważ najlepiej płacono za pracę w warunkach zagrożenia i w godzinach nadliczbowych. Miłość do drzew zastępowało umiłowanie dolara.

Ale i na tym etapie harówka mocno dawała się we znaki. Upływające godziny zlewały się ze sobą, urozmaicane tylko chmurami dymu i płomieniami.

Wiatr cichł. Ogień stopniowo przygasał. Wszystko wskazywało na to, że akcja zostanie zakończona jutro. Jeszcze tylko jeden dzień. Cały długi dzień.

- Chyba jesteś zmęczony. - Brandon podniósł głowę. Obok niego stał Coleton Smith. Przez ostatnie trzy dni nadinspektor był równie miły jak wściekły pies, ale w tej chwili sprawiał bardziej sympatyczne wrażenie. Przynął sobie jedno z tanich, metalowych krzeseł i usiadł.

- Tak jak każdy z nas - odparł Brandon. Poczęstował Coletona wodą, ale ten odmówił. Tacy twardzi ludzie jak on ignorowali swoje pragnienie.

- Ogień wciąż nieźle sobie radzi - oświadczył.  
- Wydaje się pod kontrolą.  
- Tak, ale naprawdę zgaśnie dopiero wtedy, gdy już nic nie będzie się tlić.

- Oczywiście. - Brandon opróżnił manierkę.

Charlie i Woody kopali w pobliżu piłkę. Niektórzy ludzie byli tacy podekscytowani, że nawet nie kładli się spać. Wiedzieli, że zasną dopiero w drodze powrotnej. A w domu padną na łóżka i jak zabici prześpią całą dobę.

- Z twoją głową już w porządku? - burknął Coleton.

- Kiedy sprowadził się pan do Beaverville? - spytał Brandon. Świdrował Coletona wzrokiem, wypatrując oznak... cze-gokolwiek.

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. Dla-czego pytasz?

- Zawsze był pan strażakiem? Nawet przed przyjazdem do Beaverville?

Oczy Coletona wyraźnie się zwięzły.

- Pytam z czystej ciekawości.

- Niezły jesteś, forsiasty Brytyjczyku. Opanowany. To mi się podoba. Nie uciekasz spojrzeniem w bok. Większość ludzi nie lubi patrzeć w oczy człowiekowi o zniekształconej twarzy. Boją się, że zobaczą swoje odbicie.

- Bardzo pan cierpiał? To znaczy podczas tamtego pożaru i z powodu oparzeń?

- Hm. Nikt nigdy mnie o to nie pytał.

- Ja spytałem.

Coleton wzruszył ramionami.

- Owszem, cierpiałem, ale wygrałem. Wydostałem się z ognia i przeżyłem, chociaż wszyscy myśleli, że umrę. Uratowa-łem życie i tylko to się liczy. - Wstał. - No dobrze, dzieciaki, koniec tej zabawy. Czas działać.

- Znałem kogoś, kto tak mówił - szepnął Brandon.
- Tak? Cóż, szczęściarz z ciebie.

Na końcu podjazdu stał zaparkowany policyjny radiowóz. Zastępca szeryfa, Erie James, nudził się jak mops. Ziewnął. Zbbżała się dziewiąta wieczorem. Wkrótee zacnie się emisja serialu „Seinfeld”. Zastępca James przepadał za nim. Podobał mu się zwłaszcza ten nieudacznik George. Był taki zabawny.

Zastępca James znów zerknął na zegarek, po czym postarał się o nim zapomnieć. Gdy szeryf Meese zleca pilnowanie swojej jedynaczki, to lepiej przyłożyć się do roboty. Należało meldować o każdym, kto pojawi się w okolicy.

Ale od trzech dni nie pojawił się dosłownie nikt. Jeżeli rzeczywiście kręcił się tutaj ktoś podejrzany, to niewątpliwie zwinął manatki i przeniósł się gdzie indziej.

Nieco wyżej, na pofałdowanym zboczu wzgórza, Ray Bands miał oko na policjanta w samochodzie. Raya zawsze bawiła obserwacja wszelkich strażników wykonujących swoje zadania. Dostarczała odrobiny podniecenia, gdy praca jako taka była mało ekscytująca.

Ray westchnął. To zabójstwo, które powinno wyglądać na wypadek, okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Ray z nostalgią wspominał dawne dobre czasy, gdy przez tłumik z poduszki strzelało się w skroń. Szybko i skutecznie.

Ta śmierć była tkana z miliona otarć naskórka. Pożar w stajni całkiem nie wypalił. Raczej należało podpalić domek. Ale tam często przychodził ten chłopczyk, a Ray nie mógłby skrzywdzić dzieciaka i potem spokojnie wrócić do Melissy. Nie byłby jej

godny.

Dlatego nadal głowił się nad innymi wariantami zgładzenia Ferringera. I może tej kobiety. Prędzej czy później prawdopodobnie na tym się skończy. Ale lepiej zabić ją niż chłopaka. Dzięki temu zmieniłby się kierunek późniejszego śledztwa.

Musiał być cierpliwy i poczekać na odpowiedni moment. Chciał jak najszybciej wrócić do domu. Bardzo tęsknił za Melisą. Ten Ferringer pewnie niedługo tu się zjawi. Wtedy Ray zaaranżuje kolejny wypadek i nareszcie będzie koniec.

Telefon zadzwonił dopiero w piątek. Victoria i Randy właśnie kończyli kolację. Victoria zerwała się z krzesła i chwyciła słuchawkę.

- Tak?

- Podobno już po pożarze - powiedziała matka. - Cały zespół jeszcze dziś będzie w Beaverville.

- Były jakieś problemy?

- Żadnych. Twój brat stwierdził, że poszło jak po maśle. Powinni tu dotrzeć przed północą. Pewnie nie chcesz, żebym dzisiaj wzięła Randy'ego do nas?

- Och, mam, jesteś cudowna!

Odwiesiła słuchawkę, podniecona wizją powrotu Brandona.

- Randy, pośpiesz się! Zaraz jedziesz do babci.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ona bardzo nas kocha!

Po chwili znów zabrzączał telefon.

- Cześć - przywitał ją Brandon.

Serce podeszło jej do gardła. A gdy usta wreszcie zdołały wypowiedzieć jedno słowo, zabrzmiało ono jak wyrażające tęsknotę westchnienie.

- Ferringer...



- Pożar ugaszony. Niedługo stąd wylatujemy.  
Doleciał ją głos Coletona, który kazał grupie wsiadać do samolotu.

- Wiem, wiem. Moja mama weźmie Randy'ego do siebie.
- Naprawdę? - Lekko się zająknął.

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę. Wracaj szybko. Jak najszybciej.

Jak strzała pomknęła do szafy.  
Dziś wieczorem zamierzała włożyć czerwoną sukienkę.

RS

## ROZDZIAŁ 10

O dwudziestej drugiej piętnaście Brandon wysiadł z samolotu na małym lotnisku w Redmond. Charlie zaprosił kolegów stanu wolnego do baru, a żonaci rozjechali się do domów. Brandon poszedł prosto do wynajętego przez siebie samochodu i ruszył do Beaverville.

Pięć dni żaru i potu. Pięć dni pracy ramię w ramię z innymi członkami zespołu, kopania linii ograniczających rozprzestrzenianie się ognia, opowiadania dowcipów i żartów pozwalających zachować zdrowe zmysły. Ale dał sobie radę. W pewnym momencie zdjął plecak, żeby odsapnąć, odszedł na moment, a kiedy wrócił, jego plecak wisiał wysoko na drzewie. Brandon musiał wdrapać się na nie, żeby go odzyskać. Zrobił to przy wtórze wesołych okrzyków weteranów. Później wyjaśnili mu, że w ten sposób chcieli go nauczyć, aby nigdy nie rozstawał się z plecakiem. Znajdowała się w nim ogniotrwała osłona, a przecież nigdy nie wiadomo, kiedy stanie się niezbędna.

Mimo takich drobnych potknięć był z siebie zadowolony. Sprawdził się w bojowych warunkach. Troszczył się o swój zespół. Pamiętał o współdziałaniu z innymi. I przez cały czas czuł na swoich plecach spojrzenie Coletona.

Czas działać. Czas działać.

Przecież to tylko popularny zwrot. Wielu ludzi go używa. Coleton Smith nie był Maksymilianem Ferringerem. Do licha, Brandon rozpoznałby swojego ojca. A czy po tylu latach on nie chciałby naprawdę poznać swojego syna?

Dotarł do prostego odcinka szosy numer 26 i rozpędził au-

to do szybkości prawie stu pięćdziesięciu kilometrów. C.J. byłby dumny ze swojego brata. Brandon na ogół nie odczuwał potrzeby rozwijania takiej prędkości, ale teraz śpieszył się do Victorii.

Tęsknił za nią. Pragnął jej. Tak bardzo, że zaczynało go to przerażać. Tak bardzo, że aż bolało.

Z lewej strony zamajaczył zjazd prowadzący do rancza Lady Luck. Brandon skręcił prawie bez hamowania, a opony zapiszczwały. Samochód szaleńczo podskakiwał na wybojach, a Brandon wraz z nim. W tumanach czerwonego pyłu wjechał na podwórze i wyskoczył z pojazdu, zanim kurz zdążył opaść. Ktoś z rozmachem otworzył frontowe drzwi. Stała w nich Victoria.

Boże, miała na sobie sukienkę! Czerwoną, seksowną, z kloszowym dołem, bez ramiączek.

Ich spojrzenia się spotkały i powietrze stanęło w płomieniach.

- Jestem brudny i spocony - oświadczył rzeczowo. -  
Cuchnę pod niebiosa i muszę wziąć prysznic.

- Wobec tego chyba powinnam wyszorować ci plecy.  
Zbiegła z ganku, a Brandon chwycił ją w ramiona.

- Brakowało mi ciebie, Victorio. Bardzo.

Przywarła ustami do jego warg. Było to takie słodkie. Wsunęła palce w jego włosy. Posypał się popiół i sosnowe szpilki. Jej język przez długą, rozkoszną chwilę poznawał smak wnętrza ust Brandona. On zaś czuł wypukłość jej piersi Lzarys jej jędrnego ciała. Cudowna Victoria. Silna i piękna. Podniecająca w dzinsach, zabójcza w sukience.

- Prysznic... - mruknął, robiąc krok w kierunku stajni, ale wciąż obejmował Victorie i całował ją w szyję.

Pociągnęła go w stronę ganku.

- Możesz wykąpać się u mnie. Zrobię nam kąpiel z pianą.

- Czy twoja matka o tym wie?

- Jak myślisz - od kogo nauczyłam się różnych rzeczy?

Poprowadziła go do domu, a Brandon nie stawiał oporu.

W holu zaczęli zdejmować z niego ubranie. Żółta, niepałna kurtka upadła gdzieś w kącie, gdy Brandon pieścił ustami nagie ramię Victorii. Trykotowa koszula wylądowała w korytarzu, gdy odkrył wewnętrzną stronę łokcia. Żółte, ognioodporne spodnie zostały zrzucone obok drzwi łazienki. Akurat odsunął pasmo blond włosów i lekko całował kark Victorii, ona zaś dopiero za trzecim razem zdołała odkręcić krany. Na jej ramionach i wzdłuż kręgosłupa pojawiła się gęsia skórka. Odnalazł wargami każdy maciuperiki wzgórek, gdy Victoria pochyliła się nad wanną i zamknęła oczy.

Woda otoczyła jej przedramiona i opryskała Brandonowi rękę. Właśnie rozpiął szeroki pasek ściskający talię Victorii. Suwak wydawał uwodzicielski dźwięk. Góra czerwonej sukienki opadła na powierzchnię wody. Nawet tego nie zauważyli.

- Jesteś piękna! Taka piękna! - Woda sięgnęła prawie krawędzi wanny. Victoria zakręciła krany i wlała płyn do kąpieli.

- Za późno, żeby zrobić pianę - szepnęła.

- Och, myślę, że nam się to uda. - Zsunął z niej sukienkę, ściągnął z siebie slipy i oboje weszli do parującej wody.

Wanna była za mała dla nich dwojga, ale jakoś zdołali wcisnąć się do niej. Przy okazji zachlapali całą podłogę. Pod wpływem pary jedwabiste włosy Victorii zaczęły się lekko wić, a ich końce przykleiły się do jej policzków i jego klatki piersiowej. Victoria nie przestawała poruszać biodrami. Ocierała się o Brandona, a wokół nich tworzyła się biała piana o kwiatowym zapachu. Nabrał garść puszystych bąbelków i udekorował nimi piersi Victorii.

- Jak się miewa Randy? - Wziął mydło i przesunął nim po

jej ramieniu. Zmył ze swojej klatki piersiowej pierwszą warstwę brudu i powrócił do głaskania smukłych kończyn o gładkiej, kremowej skórze.

- Doskonale.

- Na ranczu wszystko w porządku? - Powoli przejechał mydłem wokół jej szyi i w dół dekoltu aż do wysokiej, pełnej piersi. Lekko przycisnął brązowy, stwardniały czubek.

- Tak... - wydyszała.

- Żadnych kłopotów?

- Żadnych. O, tak... zrób to... - Zamknęła oczy.

Jego dłoń zabłądziła pomiędzy jej nogi, do najbardziej intymnego miejsca. Victoria wypuściła z płuc powietrze, co zabrzmiało jak westchnienie. Objął ją w pasie i mocno przytrzymał, gdy przeżywała rozkosz.

- Victorio... moja słodka Victorio.

Dopiero teraz ją odwrócił i uniośł. Podłoga była cała mokra i pokryta wilgotną odzieżą. Nie przejął się takim głupstwem. Posadził Victorie na kolanach. Natychmiast poczuł jej nogi wokół bioder i jej dłonie zaciskające się na jego ramionach.

Zarumieniona i potargana, z nabrzmiętymi ustami, wyglądała rozkosznie. Spojrzała mu w oczy i szepnęła:

- Teraz.

Poddał się bez protestu. Wyłączył umysł i zaufał Victorii. Było cudownie.

Później leżeli przytuleni do siebie na jej łóżku. Kołdra znalazła się na podłodze, pościel była skotłowana. Victoria pogładziła pierś Brandona, potem uniosła dłoń, żeby pogłaskać go po policzkach. Pochyliła się nad nim i delikatnie go pocałowała. Odwzajemnił pieśczętę. Tym razem kochali się leniwie jak dwoje ludzi, dla których czas stanął w miejscu.

Gdy skończyli, Brandon spróbował coś powiedzieć, ale

położyła mu palec na ustach.

- Nie dzisiaj - szepnęła. - Podaruj nam całą noc.  
Spełnił jej życzenie.

- Jak ci przyrządzić jajka?

Powoli otworzył ociężałe od snu powieki. Przez szpary w żaluzjach wpadało do pokoju światło. Słońce stało wysoko na niebie, więc chyba zbliżało się południe. Brandon stopniowo uświadamiał sobie, że leży na pogniecionej białej pościeli w czerwone kwiatuszki i tuli do brzucha poduszkę.

- Co nie znaczy, że tak łatwo można mnie zastąpić - dodała Victoria.

W końcu odnalazł ją wzrokiem. Miała włosy w nieładzie i zaróżowioną twarz. Stała przy drzwiach. Srebrzystoblękitne oczy lśniły w szczególny sposób, a nagie ciało osłaniał jedynie fartuch w czerwoną kratkę. Nocne atrakcje podziały na Victorię wyjątkowo korzystnie.

- Już jedenasta - oznajmiła. - Moja matka nie zatrzyma Randy'ego na zawsze. Co powiesz na śniadanie?

Zrozumiał sugestię, wstał i z westchnieniem się przeciągnął. Zmęczone mięśnie natychmiast dały o sobie znać. Trzydzieści sześć lat to stanowczo za dużo, żeby przez pięć kolejnych dni kopać ziemię i uganiać się po lesie, pomyślał.

- Zjem to, co mi dasz.

Spojrzenie Victorii przywarło do jego nagiej piersi. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że jego ubranie zniknęło.

- Odzież właśnie się suszy - wyjaśniła i uroczo się zarumieniła. - Była... eee... trochę mokra.

- Trochę?

- Ociekała wodą i prawdopodobnie nie nadaje się do noszenia.

- Ach tak.

Wciąż się uśmiechała. Po chwili uśmiech zmiękczył także jego rysy. Brandon nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nie miał pojęcia, jak powinien się czuć. Wczoraj wieczorem tak bardzo pragnął ją zobaczyć, zdobyć. A teraz... teraz ona opierała się o futrynę, odziana tylko w kuchenny fartuszek... i znów odczuwał przyływ pożądania.

Ściągnął z łóżka prześcieradło i owinał je wokół bioder. Victoria poszła przodem, dzięki czemu mógł obejrzeć jej kształtne pośladki.

Już sprzątnęła łazienkę. Prawie go to rozczarowało.

Victoria zaczęła wybijać jajka na patelnię, a Brandon nalał do kubków kawę i wyjął z lodówki sok pomarańczowy. Oboje milczeli. Dopóki za dużo nie mówili, za dużo nie oczekiwali i za dużo nie chcieli, mogli rozkoszować się samotnością we dwoje.

Victoria przygotowała sadzone jajka i podsmażane ziemniaki z odrobiną cebuli. Brandon jadł łapczywie. Nie musiał dbać o linię, a od poprzedniego posiłku minęły wieki. Z pralni dobiegł dzwonek oznajmiający koniec suszenia. Victoria poszła wyjąć z niej garderobę, a Brandon wstawił brudne naczynia do zlewu, ponieważ nie było zmywarki. Dzięki niej Victoria codziennie oszczędziłaby sporo czasu, a przecież i tak pracowała za ciężko. W kuchni przydałaby się nowa wykładzina i lodówka, bo ta stara pochodziła chyba z lat pięćdziesiątych. Na suficie Brandon dostrzegł trochę pęknięć i zacieków. Mógłby zburzyć ten stary dom i wybudować nowy - z nowoczesnym, luksusowym wyposażeniem, które prawie nie wymagało obsługi.

Mógłby kupić Randy'emu komputer. Nowiutką półciężarówkę.

Stał oparty o kuchenny blat i chociaż wiedział, że nie powinien tego robić, marzył o ułatwieniu Victoria życia. Bez problemu uczyniłby je przyjemniejszym. Miał pieniądze.

Dałby jej wszystko, czego potrzebowała.

Ale Victoria pragnęła tylko mężczyzny, który by z nią pozostał.

Wróciła do kuchni i podała mu jeszcze ciepłe ubrania. Wziął je, unikając jej wzroku, i szybko włożył je na siebie. Spojrzał na swoje bose stopy. Dwa paznokcie były poczerniałe, pokryte bąblami pięty pobołewały. Te poranione, pokryte odciskami stopy należały do wędrowca, a nie do magistra ekonomii, który studiował w Wharton, i nie do bankiera z Wall Street.

Pasowały do grubych, sportowych buciorów, a nie do wytwornych, włoskich pantofli. Zamożny i elegancki syn Maksa Ferringera nie był stworzony do ordynarnych trzewików na grubej zelówce. Co innego syn Coletona Smitha...

- Jesteś daleko stąd - cicho zauważyła Victoria.

Wbił spojrzenie w lodówkę. Serce wciąż głośno tłukło mu się w piersi. Czuł, że się odsłonił, i miał to sobie za złe.

- Randy pewnie niedługo wróci - mruknął. - Muszę iść się rozpakować.

- Nie o tym myślałeś.

- Mam za sobą pięć męczących dni. To wszystko.

- Nie wierzę ci.

Nagle się rozgniewał. Nie na nią, ale była pod ręką, więc stała się łatwym celem. Popatrzył na nią ze złością.

- Czego ty się domagasz? Niby co powinienem teraz powiedzieć?

- Czy ja wiem... Na początek może „spędziłem z tobą miłą noc”.

- Dobrze. Spędziłem z tobą miłą noc.

- Hej, jeśli jesteś przerażony, to też o tym napomknij.

Zrozumiem cię, bo ja również nie czuję się pewnie.

- Nie mogę. Nie mogę! - Bezradnie rozłożył ręce i gwałtownie się odwrócił. Świat wokół niego huczał i coraz bardziej go osaczał. W głowie kłębiło mu się zbyt wiele myśli. Nie pa-



nował nad nimi, a one uniemożliwiały racjonalną ocenę uczuć. Musiał nabrać do nich dystansu, odzyskać kontrolę nad sobą. Ale stojąc obok Victorii pragnął tylko jednego – chwycić ją w ramiona i ukryć twarz w jej włosach.

- Potrzebuję więcej przestrzeni! - Ruszył do wyjścia. Victoria odzyskała wigor.

- Stój! Za każdym razem, gdy uda mi się zbliżyć do ciebie, ty uciekasz. Mam dosyć tego tańca. Wyrzuć z siebie to, co cię gnębi. Wyłóż karty na stół i porozmawiajmy jak dorośli ludzie!

Bez słowa otworzył drzwi.

- Niech cię licho! Co z ciebie za człowiek?

Spojrzał na nią, a wyraz jego twarzy sprawił, że Victoria zamarła.

- Właśnie taki, jak teraz - wycedził lodowatym tonem. - Wreszcie się przekonałaś, jaki naprawdę jestem.

Wyszedł na ganek i z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi.

Stała jak słup soli, zbyt oszołomiona, aby się ruszyć i zbyt zraniona, aby oddychać. Po chwili otrząsnęła się, a gniew i zrozumienie dodały jej skrzydeł.

- To nie jesteś ty, Brandonie Ferringerze! Taki był twój ojciec i to nie twoja wina!

Wpadła do sypialni, pośpiesznie się ubrała i pobiegła za Brandonem.

Dognała go, gdy dotarł do końca wyboistego podjazdu. Stawiał długie kroki i szedł szybko, ale przedtem musiał wstąpić do siebie, żeby włożyć buty. Dzięki temu zyskała trochę czasu. Poza tym była w dobrej formie, więc szybko pokonała dzielącą ich odległość. Zrównała się z nim, walcząc z małą zadyszka.

- Odejdź! - burknął i skręcił w główną drogę.

- Jeszcze czego!

W tej okolicy szosa wiła się między wzgórzami, a po kil-

kunastu kilometrach prostym odcinkiem opadała w stronę miasteczka. Długie nogi Brandona doskonale radziły sobie na stromym podejściu, ale Victoria nie zamierzała zostać w tyle.

- Musimy o tym porozmawiać.

- Nie ma o czym.

- Daj spokój. Jesteś zbyt uczciwy i dobry, żeby nagle zacząć zachowywać się jak ostatni drań!

Zatrzymał się raptownie, a jego mroczne spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

- Nigdy ci nic nie obiecywałem.

- Nie.

- Nigdy nie udawałem fałszywych emocji.

- Owszem, udawałeś. Usiłujesz sobie wmówić, że ci na mnie nie zależy, a to nieprawda. Oboje o tym wiemy.

Zacisnął szczęki i pięści.

- Potrzebujesz innego mężczyzny! Nie nadaję się na twojego

partnera! - Jego głos zabrzmiał gardłowo.

- Dlaczego? Dlaczego?

- Zawiodłem swoją żonę! - ryknął zazwyczaj chłodny i opanowany Brandon. - Kochałem ją, ona kochała mnie, a ja byłem okropnym mężem! Na pierwszym miejscu stawiałem pracę i pieniądze. Kupiłem Julii wszystko, ale nic jej nie dałem. Zaniedbywałem ją. Zaniedbywałem jak cholera, chociaż codziennie wieczorem wracałem do domu. Byłem taki sam jak mój ojciec!

- Brandonie Ferringerze, nie jesteś swoim ojcem, więc przestań się zadrećzać!

Wypukła żyła na jego skroni silnie pulsowała, jak gdyby za chwilę miała eksplodować. Ale pod powłoką autentycznego gniewu Victoria dostrzegła coś innego. Rozpaczliwe pragnienie. Iskierkę nadziei. Drobne ziarenko wewnętrznej siły. Sprawiało

ono, że Brandon wciąż próbował, chociaż matka uznała go za nieudacznika, żona pozwoliła mu sądzić, że nim jest, a cały świat zdawał się stawiać znak równości między Brandonem a jego ojcem.

- Jestem beznadziejny - oświadczył z przekonaniem. - Patrzę na twoje ranczo i nie widzę siebie pracującego z tobą lub pomagającego Randy'emu. Widzę tylko rzeczy, które powinienem ci kupić. Nie marzę o nas, tylko o dawaniu ci prezentów, żebyś musiała mnie chcieć.

- Cóż, nie pozwolę ci kupić mi nowego rancza, więc czuję się bezpiecznie.

- Czemu mam obsesję na punkcie pieniędzy? Usiłowałem ją zwalczyć i pozbyć się ich, ale moje wszystkie inwestycje okazały się lukratywne. Zostałem milionerem i nic dobrego z tego nie wynikło.

- Pieniądze to bezpieczeństwo. Dają siłę i pewność siebie. A ty tego potrzebujesz. Właśnie tego ci brakowało w dzieciństwie.

Wzdrygnął się, jak gdyby trafiła w sedno. Zauważyła tę reakcję i wykorzystała swoją chwilową przewagę.

- Tylko pomyśl. Przecież mogłeś pozbyć się tego majątku. Przekazać go na cele dobroczynne lub założyć fundację imienia twojej żony. Nie zrobiłeś tego. Przeciwnie, pomnożyłeś owe pieniądze, ale ten sukces natychmiast uznałeś za swoją porażkę. Ty wcale nie chcesz pozbyć się swoich zasobów - one dają ci poczucie bezpieczeństwa. Równocześnie nienawidzisz myśli o nich, ponieważ budzą w tobie poczucie winy. Jesteś w permanentnej rozterce, zawsze z siebie niezadowolony. Dlatego wciąż karzesz się za rzeczy, które zrobiłeś - nawet jeśli są pozytywne - i za te, których nie zrobiłeś. Ile jeszcze razy zamierzasz się ukarać za to, że jakiś rabuś zabił twoją żonę?

- Sądzę, że nie chodziło o zwykły napad rabunkowy. Żo-

na badała wtedy przeszłość mojego ojca. Prawdopodobnie zadawała zbyt wiele pytań. Moim zdaniem zginęła dlatego, że wyszła za syna Maksymiliana Ferringera.

- O, mój Boże! - Victoria na moment zamknęła oczy. Nagle z całą jasnością zrozumiała, co naprawdę dręczy Brandona.

- Daj sobie z tym spokój. Po prostu odpuść tę sprawę. Nawet jeśli masz rację, to nie zawiniłeś. Gdybyś wtedy był z Julią, na pewno uczyniłbyś wszystko, żeby ją obronić. Bez namysłu zasłoniłbyś ją własnym ciałem, ponieważ jesteś człowiekiem, dla którego takie zachowanie to rzecz oczywista. W niczym nie przypominasz swojego ojca. Pomyśl o tym, co zrobiłeś dla Barbary, gdy zwichnęła nogę w kostce, dla mnie, gdy w stajni wybuchł pożar, dla Randy'ego, kiedy potrzebował pomocy przy lekcjach. Ferringer, jesteś jednym z najlepszych znanych mi facetów. Każdy widzi twoje zalety. Ty jeden ich nie dostrzegasz.

- Nie dzwonię do swojej matki, zaniedbuję przyrodnie rodzeństwo. ...

- Łatwo możesz to zmienić.

- Nie cierpię długo siedzieć w jednym miejscu. Muszę wędrować, ciągle się przemieszczać.

- Na szczęście tutaj nie brakuje gór.

- Victorio. - Zacisnął powieki. - Tak cholernie się boję - dodał z udręką w głosie.

- Ja też - szepnęła.

Otworzył oczy, a ona ujrzała w nich coś nowego. Przemogłą potrzebę, wdzięczność, szczere uznanie. Stał obok niej mężczyzna z krwi i kości.

Kochała go całym sercem.

Gdzieś za nimi wdarł się w ciszę warkot nadjeżdżającego samochodu. Nie zwróciła na to uwagi. Była zbyt zajęta. Patrzyła Brandonowi w oczy, pragnęła go pocałować. Nagle silnik zawył

głośniej, jak gdyby pojazd przyśpieszył. Zauważyła zdziwienie Brandona, po czym na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Uważaj! - ryknął i silnie ją odepchnął.

Upadła i potoczyła się po poboczu. Kątem oka zauważyła, że Brandon skoczył w bok. Ale nie zdążył - wielki, stary buick ostro skręcił i uderzył go kaniem zderzaka. Kierowca najwyraźniej stracił panowanie nad pojazdem. Buick zjechał z drogi i stoczył się w dół nasypu. Rozległ się głośny huk i znów zapadła cisza.

Victoria podniosła się i rozejrzała wokół siebie. Palily ją poranione żwiem dłonie, lecz prawie tego nie zauważyła. Musiała znaleźć Brandona. Podbiegła na skraj pobocza, które w tym miejscu łączyło się ze stromo opadającym, zielonym stoikiem. Kilka metrów dalej leżał Brandon. Ześlizgnęła się po trawie, zawadziła nogą o jakiś korzeń i upadła na siedzenie. Pochyliła się nad Brandonem i zaczęła szaleńczo obmacywać jego bladą twarz.

Jęknął i zamrugał.

- Jesteś ranny? Gdzie cię boli?

- Cicho... - mruknął i chwycił się za skronie.

Zamarła. Prawdopodobnie znowu mocno uderzył się w głowę. Niedawno miał wstrząs mózgu. Czy teraz odniósł jakieś poważne obrażenia?

Spróbował usiąść.

- Leż - rozkazała.

Mimo to siadł.

- Uparty osioł. - Podniosła rękę. - Ile palców widzisz?

- Dwa - wyszeptał.

Nie pomylił się. Przesunęła palec przed jego oczami. Śledził go wzrokiem. Nieźle, pomyślała.

- Nazwisko i data.

- Posłuchaj, po prostu trochę się potłukłem, co nie znaczy, że stałem się zgrzybiałym staruszkiem. Zresztą ostatnio wiele razy się przewracałem. Nabrałem wprawy. Każdy strażak potrafi padać w odpowiedni sposób.

Nie przekonał jej, toteż i tak sprawdziła stan jego kończyn.

- Tobie nic się nie stało?-zapytał.

- Nic. Dobrze, że mnie odepchnąłeś. - Dotknęła jego uda. Gwałtownie drgnął.

- Ten zderzak nieźle mnie trafił - mruknął. - Pomóż mi wstać.

Nie uważała tego za dobry pomysł, ale nie zaprotestowała. Miała sześciu braci, więc wiedziała, czego się spodziewać. Objęła go w pasie i pomogła stanąć na nogi. Skrzywił się, zrobił kilka kroków i zgiął nogę w kolanie.

- O, tak, jutro rano to poczuję - stwierdził. - Co z tamtym kierowcą?

Boże, całkiem o nim zapomniała. Oboje natychmiast spojrzeli w dół nasypu. Buick wylądował na jednym z drzew. Maską była zgnieciona w harmonijkę, popękana przednia szyba wyglądała jak ogromna pajęczyna. Ktoś bezwładnie wisiał na kierownicy.

- Zostań tutaj - polecił Brandon.

- Wykluczone!

Z siłą zadziwiającą jak na kogoś, kto właśnie został potrącony przez samochód, chwycił ją za ramię.

- Victorio, ten pojazd wjechał w nas celowo.

- Dlaczego?

Odpowiedź wyczytała z jego oczu. Ktoś próbował ich zabić. Z powodu Brandona. Dlatego, że był synem Maksa i wtykał nos w nie swoje sprawy.

- Zaczekajmy na policję - powiedziała z naciskiem. - Ktoś

prawdopodobnie słyszał ten huk i zadzwonił na posterunek.

Doleciał ich głośny jęk.

- On może jest poważnie ranny. Nie chcę, żeby tutaj umarł. Musi mi odpowiedzieć na parę pytań.

Ześlizgnął się po nasypie. Victoria z dezaprobatą potrząsnęła głową, ale poszła w ślady Brandona.

Gdy znaleźli się na dole, ktoś z rozmachem otworzył drzwiczki. Oboje zatrzymali się na widok ręki szukającej oparcia. Z wraka wygramolił się mężczyzna potężnej postury. Miał przynajmniej piętnaście kilogramów nadwagi, zniszczoną twarz i mocno przerzedzone włosy, a na sobie tani, szary garnitur. Victoria przypuszczała, że tak ubiera się typowy komiwojażer.

Osobnik machał torebką z precelkami. Po chwili spojrzał na nią uważnie, skrzywił się i rzucił ją na ziemię.

- Jest pan ranny? - zapytał Brandon. Instynktownie wysunął się przed Victorie, chociaż chyba nie było powodów do obaw. Ten człowiek nie wyglądał groźnie. Brandon pomyślał o szpiegowskich teoriach Maggie. Miał ochotę się roześmiać. Gdyby ktoś usiłował go zabić, to z pewnością zająłby się tym profesjonalista.

A ten zwalisty typ przypominał raczej podstarzałego, bliskiego zawału sprzedawcę.

Mężczyzna w końcu przestał się chwiać i świdrował Brandona małymi, czarnymi oczkami.

- Nawet zamach na prezydenta nie sprawił mi tyle kłopotu. - powiedział i wyciągnął pistolet.

- Na ziemię! - ryknął Brandon. Padł strzał. Brandon mógłby przysiąc, że usłyszał świst kuli. Jak w sennym koszmarze powoli spojrzał na swoją pierś.

Nic.

Kilka metrów przed nim uzbrojony mężczyzna dziwnie się wygiął i padł na twarz. Na jego plecach rosła czerwona plama.

- O, mój Boże - szepnęła Victoria. - Brandon, co to wszystko znaczy? Co się dzieje?

RS



## ROZDZIAŁ 11

Victoria, jej ojciec oraz Brandon siedzieli w jego domku i rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Oczywiście, że to ma coś wspólnego z Makssem! - gniewnie stwierdził Brandon. Chwycił kolejną koszulę i wepchnął ją do torby.

- Przecież minęło dwadzieścia pięć lat - zaproponowała Victoria. Spojrzała na ojca, spodziewając się jego poparcia. Pokręcił głową.

- On ma rację, jego wersja brzmi logicznie.

- Dokąd pojedziesz? - spytała.

- Do motelu w miasteczku. Muszę pozostać w tej okolicy.

Mam zobowiązania.

- Nie obawiasz się, że narażasz na niebezpieczeństwo swój zespół?

- Sądysz, że...?

- Z nimi nic ci nie grozi - odezwał się szeryf. - To byłoby zbyt duże ryzyko. Żaden zamachowiec nie wejdzie za tobą w płonący las.

- Ktoś majstrował przy moim ekwipunku. W aktualnej sytuacji musimy założyć, że piłę i drzewo ktoś odpowiednio przygotował.

- Prawie każdy może mieć dostęp do waszych rzeczy. Po prostu musisz regularnie sprawdzać swój sprzęt. Metody tego kogoś stają się coraz mniej wyrafinowane.

Brandon uśmiechnął się ponuro.

- Najzabawniejsze jest to, że nie mamy pojęcia, kim są ci ludzie, czego chcą i dlaczego do siebie strzelają. - Włożył podkoszulek do torby i jednym szarpnięciem zasunął zamek.

Pięć minut pakowania i był gotów do wyjazdu. Jeden bagaż, żadnych kłopotów. Kwintesencja osobowości Brandona Ferringera. Unikał wzroku Victorii, a torba stała między nimi jak obciążający dowód rzeczowy.

- Nie wolno mi narażać ciebie i Randy'ego – oświadczył z przekonaniem.

- Wiem.

- Gdybym tylko mógł załatwić to inaczej...

- Wiem.

Szeryf Meese chrząknął znacząco.

- Mój zastępca poszedł po śladach osoby, która strzelała. Poruszała się na piechotę. Broń to remington, kaliber dwadzieścia, najpopularniejsza w tej okolicy myśliwska strzelba. Pewnie jest ich tu więcej niż mieszkańców. Sprawdzanie trochę potrwa.

- Rozumiem.

- Chyba powinienem dać ci policyjną ochronę. Na pewien czas, dopóki badania balistyczne czegoś nie wykażą. Erie James będzie obserwował twój motel.

- Wolałbym, żeby siedział tutaj. Na wszelki wypadek.

- Nie ma potrzeby, synu. Ja zostanę z Victoria.

Zacisnęła wargi i spojrzała w bok. Chciała pomóc. Chciała czuć, że nadal jest jakoś związana z tym mężczyzną i jego problemami. A została ze wszystkiego wykluczona. To ją zabolowało. I przstraszyło.

Jeżeli Brandon stąd odejdzie, to może już nigdy tu nie wróci.

Nie składał jej żadnych obietnic...

- To wszystko nie ma sensu - mruknęła.

- Zawsze tak myślimy, gdy ktoś do nas strzela. – Zabrzmiało to prawie jak żart, ale błysk w oku Brandona był daleki od wesołości.

- Cokolwiek zrobił twój ojciec, zdarzyło się ćwierć wieku temu! A Ashley Jacobs zniknęła dużo wcześniej - prawie przed czterdziestu laty. Dlaczego to wciąż kogoś tak obchodzi?

- A jeśli Ashley Jacobs nadal żyje i po tylu latach ktoś usiłuje ją chronić?

- Mało prawdopodobne - prychnęła Victoria.

- A jeśli mój ojciec żyje i ktoś stara się zatuszować prawdę?

- Mało prawdopodobne - stwierdził szeryf Meese.

- Pewnej nocy czterdzieści lat temu coś się wydarzyło.

Istnieje wiele wątpliwości. Całe mnóstwo. Próbowałem je wyjaśnić.

- Brandon, nie ma żadnego sposobu, żeby się dowiedzieć...

- Owszem, jest.

Natychmiast zrozumiała.

- Nie!

- Tak. - Przerzucił torbę przez ramię, a Victoria chwyciła go za rękę i zacisnęła na niej palce.

- Przecież Bud Irving do ciebie strzelał. Ma psy, jest uzbrojony po zęby. Brandon, proszę cię.

Zawahał się. Widziała, że się ze sobą zмага. W jego oczach dostrzegła zagubienie, frustrację, a nawet przeblysł strachu. Lecz po chwili Brandon zacisnął szczęki. A więc przegrała. Postanowił załatwić tę sprawę zupełnie sam. Zamierzał znów ukryć się za murem narzuconej sobie obojętności, aby nikt nie miał do niego dostępu.

- Nie jedź tam - szepnęła. - Brandon, proszę.

- Muszę, Victorio. Tu chodzi nie o ciebie ani o nas, tylko

o mnie.

Ruszył do drzwi.

- Na miłość boską... - Odwróciła się do ojca. - Zrób coś! Szeryf Meese podszedł do Brandona, jak gdyby chciał go zatrzymać.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział. - Porozmawiam z Budem. Nie będzie strzelał do szeryfa.

- Ale chętniej pogada ze mną. Z synem Maksa Ferringera!

- Możliwe również, że Bud strzelał do ciebie.

- Strzelał do mnie czy do tamtego, żeby ocalić mi życie?

- Wargi Brandona wygięły się w ironicznym uśmiešku. - Niezła łamigłówka, prawda?

Skinął na pożegnanie głową i wyszedł.

- Och, tato, on tak ryzykuje.

- Wiem, córeczko, wiem. - Po raz pierwszy od dawna ojciec przytulił ją do siebie, jak gdyby była małą dziewczynką, która czegoś się boi. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Ja go kocham, tato.

- Wyślę za nim Erica Jamesa.

- A jeśli Brandon tu nie wróci?

- Jemu na tobie zależy, Vic. Nawet jeśli sam jeszcze nie potrafi przyznać się do tego.

Trudno jej było w to uwierzyć, gdy stała na ganku, patrząc na odjeżdżającego Brandona Ferringera. Nie odwrócił się. Nie powiedział do widzenia. Zobaczyła odbicie jego warg w boczny lusterku. Poruszały się. Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak on mówi „Czas działać. Czas działać”.

Brandon przestał myśleć. Przestał cokolwiek czuć. Nie słyszał głośniego dudnienia serca ani brzęczenia wypełniającego uszy. Jechał przed siebie, mocno ściskając kierownicę. Mała część jego świadomości zarejestrowała widok policyjnego

radiowozu, który pojawił się obok i zwolnił. Teraz jechał kilkanaście metrów z tyłu.

Dla Brandona nie miało to żadnego znaczenia. Ta sprawa nie dotyczyła ani szeryfa, ani jego zastępcy. Była stuprocentowo osobista. Najstarszy syn Maksymiliana Kameleona zamierzał naprawdę wkroczyć do akcji.

Z piskiem opon zahamował na poboczu. Znajdował się na wzgórzu, w pobliżu domu Buda. Chwycił szkolny album z Tiltamook i medalion z miniaturą Ashley Jacobs.

Podszedł do bramy. Dobermany zaczęły warczeć. Brandon nie odrywał wzroku od kamery. Uniósł rocznik i rozhuštał wiszący na łańcuszku medalion.

- Otwieraj!-ryknął.

Psy nieco się cofnęły.

- Nie przestraszysz mnie, Irving. Możesz sobie strzelać, możesz poszczuć psy, ale ja będę tu stał tak długo, aż cholerne piekło zamarznie. Jestem synem Maksa Feringera i żądam wyjaśnień.

Brama pozostała zamknięta. Kamery nawet nie drgnęły. Psy nadal warczały, a z ich gardel wydobywało się wściekle bulgotanie. Zastępca James wysiadł z samochodu i rozpiął kaburę.

- Nie masz z tym nic wspólnego - powiedział Brandon.

- To dla mnie bez znaczenia.

Brama nagle trochę się uchyliła. Psy umilkły, najwyraźniej zdziwione. Biegały w prawo i w lewo, ale nie przekraczały linii podjazdu: Jeden spróbował to zrobić, głośno zaskowyczał i odskoczył do tyłu.

Elektryczne obroże i podziemne przewody, pomyślał Brandon. Szalony Bud Irving pozostawił tylko wąską ścieżkę prowadzącą do domu.

Brandon ruszył nią bez wahania. Już stąd widział górną

część budynku. Każdą rynnę otaczały zwoje drutu kolczastego, uniemożliwiając atak od strony dachu. Brandon podszedł bliżej. Stwierdził, że całe podwórze jest огоłocone z drzew i krzaków. W promieniu dwudziestu metrów wokół domu nie rosło do- słownie nic, a cały teren oświetlały potężne reflektory, przed którymi nic nie mogło się ukryć. W środku nocy nikt nie pod- kradłby się niepostrzeżenie do Buda Irvinga.

Wszechstronnie zabezpieczona siedziba okazała się zanie- dbanym, parterowym domkiem, przykro kontrastującym z obro- towymi kamerami, reflektorami i zwojami drutu kolczastego. Okienne wisały na obluźwanych zawiasach. Na dachu bra- kowało wielu dachówek. Bud może miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa, ale domem najwyraźniej się nie interesował.

Brandon zapukał. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Bud Irving powitał go wycelowaną w jego pierś lufą strzelby.

- Nienawidzę cię - powiedział.  
- Mam to gdzieś - odparł Brandon i zamknął za sobą drzwi.

- Opowiedz mi o niej. I o tamtej nocy. - Brandon chodził po pokoju, huśtając medalionem. Bud Irving śledził oczami ma- ły przedmiot. Wpatrywał się w niego jak w świętość, raz po raz oblizując spieczone wargi.

Bud niczym nie przypominał przystojnego maturzysty ze szkolnego albumu. Piłkarski gwiazdor drużyny z Tillamook zmienił się w przygarbionego starca, którego rysy zniekształcił strach. Żółtosiwe włosy były zmierzwione, najwyraźniej wyma- gały umycia i uczesania. Brudna, krzywo zapięta, czerwona fla- nelowa koszula miała wystrzępione mankiety, zbyt luźne džinsy wisały na kościstej sylwetce, odsłaniając bosa stopy.

W pomieszczeniu panował zaduch typowy dla piwnicy, której bardzo długo nie wietrzono. Sufit był popękany, parkiet cały w plamach. Kilka mebli rodem chyba z darów Armii Zbawienia pokrywała gruba warstwa kurzu.

Brandon nie zwracał na to uwagi. Nie odrywał spojrzenia od drżącej postaci Buda, który wskazującym palcem zdawał się pięścić cyngiel dubeltówki.

- Mogłem cię zastrzelić. - Bud wpił się wzrokiem w miniaturę. - Ale jej by się to nie spodobało. Nigdy nie lubiła gwałtowności. Strzelby ją przerażały. Oni nigdy tego nie rozumieli, ale ja o tym wiedziałem. Za dużo przemocy. Moja dziewczynka, moja mała dziewczynka.

- Co się zdarzyło tamtej nocy?

- Nie wolno mi opowiedzieć. Dałem słowo i go dotrzymałem. Nigdy nie byłem taki duży i sprytny jak oni, ale postępowałem lojalnie. Powiedz to Alowi, słuchaj, co ci odpowie.

- Wiesz, gdzie przebywa Al?

- Chyba już go nie ma na tym świecie, ale na pewno nie wiadomo. Nie odnaleziono jego ciała. Twardy sukinsyn. Trzeba uważać. Co wieczór odtwarzam obraz z kamer. Nie widać Ala. Nie widać. Dzięki Bogu, nie ma Ala.

- Czy to ty zastrzeliłeś dzisiaj mężczyznę, który usiłował mnie zabić?

- Usiłował cię zabić? - Bud wzdrygnął się, a twarz mu poszarzała. - A więc wrócili, wrócili! Wiedziałem, że się zjawią. To nigdy się nie kończy. A przecież odszedłem. Zachowałem milczenie, ale to nikogo nie obchodzi. Zawsze pamiętają, co zrobiłeś. Nocą słyszysz, jak szepczą, ale ich nie widać. Potrafią wślizgnąć się jak duchy.

- Bud, czy mój ojciec nie żyje?

- Nie znaleziono ciała - szepnął Bud. - Nie znaleziono.

- Czy Coleton Smith to Maksymilian?

- Kto to jest Coleton Smith?

Brandon na moment zacisnął powieki. Ta rozmowa okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Przyniósł medalion bliżej, znów lekko rozhuśtał go przed wilgotnymi, niebieskimi oczami Buda.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć. Muszę poznać prawdę.

Bud potrząsnął głową.

- Jestem jego synem. Mam prawo! Dlaczego mój ojciec nosił przy sobie portret Ashley Jacobs?

Twarz Buda ściągnęła się z bólu. Starzec trzęsącą się ręką sięgnął po medalion.

- Proszę - zaskomlał drżącym głosem - proszę, oddajcie mi moją żonę.

I wtedy Brandon zaczął rozumieć.

Najpierw wymienił medalion na naładowaną strzelbę i odłożył ją na podłogę. Odniosł wrażenie, że pozbawiony broni mężczyzna jeszcze bardziej skurczył się w sobie. Bud przycisnął miniaturę do piersi, po czym kiwając się w przód i w tył, słowo po słowie przedstawił wydarzenia pamiętnej nocy.

Tamtego lata Bud, Al i Maks zabiegali o względy Ashley - pięknej, słodkiej i bogatej. Wychowana pod kloszem, była niemal wcieleniem niewinności. Na widok Ashley każdy mężczyzna odczuwał przypływ opiekuńczych uczuć. Pragnął stać się w jej oczach bohaterem, ponieważ dzięki takiej delikatnej kobiecie jak ona, czuł się prawdziwym mężczyzną.

Natychmiast ich oczarowała, lecz żaden nie posiadał wymaganej przez jej rodziców fortuny. Ale wszyscy trzej byli młodzi, przystojni i znacznie zabawniejsi niż nudni i nadęci zalotnicy z majątkiem. Bud, Al i Max pracowali i nieźle zarabiali. Nie żalowali pieniędzy na rozrywki. Latem 1959 roku trzej przyja-



cielo wiedzieli, jak się bawić.

Wydawało się, że Maks ma największą szansę. Tym razem jednak sytuacja się skomplikowała. Al również chciał zdobyć Ashley. Niższy, kanciasty w obejściu, twardy i czasem podły. Ojciec często używał go w charakterze worka do boksowania i Al odziedziczył porywczosć swego rodzica. Ale miał najlepsze pomysły i gdy zaszła potrzeba, skutecznie pomagał swoim kolegom. Jeżeli Maks nie zdołał załatwić czegoś posługując się swoją słynną elokwencją, Al rozwiązywał problem bokserскими metodami. Skutecznie i sprawnie.

Był też Bud - szybki, drobny i spokojny Bud, który zawsze przyłączał się do przedsięwzięć dwóch przyjaciół. Przejmował wspaniałe podania Maksa i gnał na koniec pola, podczas gdy Al imponująco wykonywał strategiczne blokady. Tamci dwaj byli gwiazdorama, zaś Bud stanowił ich widownię.

Ashley zwróciła uwagę właśnie na niego. Dostrzegła tego cichego mężczyznę. Poznała się na jego wrażliwości. Zrozumiała, że on nigdy nie skrzywdzi jej tak, jak uczynił to jej ojciec.

Zaprzyjaźniła się z Budem. Stał się jej jedynym powiernikiem. W kolejne letnie dni jemu jednemu opowiadała o tym, co nocą dzieje się w ogromnej eleganckiej rezydencji Johna Jacobsa. Tańczyła z Maksem, śmiała się z Alem, ale serce oddała Budowi i z nim zaplanowała ucieczkę.

Nadeszła połowa sierpnia. Świerszcze cykały, powietrze było ciepłe i aromatyczne. Niezbyt suche. Jak na tę porę roku nietypowo rześkie. Idealna noc. Ashley przyszła do ich domku z towarzyską wizytą. Tak jak obiecała. Przez ostatni miesiąc za każdym razem miała na sobie dwa komplety odzieży. Zostawiała ten spodni, wraz z odrobiną biżuterii i gotówki, którą zdołała wynieść z domu. W końcu była gotowa.

Piętnastego sierpnia Bud już na nią czekał. Wcześniej spakował ich rzeczy. Zamierzali pojechać do Idaho, a stamtąd

prosto do Kanady, żeby rozpocząć nowe życie pod zmienionymi nazwiskami. Bud załatwił dla nich obojga fałszywe prawa jazdy. Jej ojciec nigdy by nie trafił na ich ślad.

Nie mieli żadnych złudzeń co do tego, jak zachowałby się John Jacobs, gdyby ich odnalazł.

Bud przewidział wszystko - z wyjątkiem tego, że zaskoczy ich Al.

Al wrócił wcześniej, niż powinien. Tego wieczoru przegrał w pokera masę pieniędzy i się upił. Zobaczył Buda, Ashley i walizki. Zmienił się na twarzy i Bud od razu wiedział, że Al jest w wojowniczym nastroju.

Bud powoli zaczął popychać Ashley w stronę drzwi. Al krzyczał, że ona kocha jego, a Buda tylko wykorzystuje. Przecież nie można zakochać się w Budzie. To chuchro, nie mężczyzna.

Bud zdołał wsadzić Ashley do samochodu. Drżąca, zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu. Zanim zatrzasnęła drzwiczki, Bud spojrzał na jej twarz. Stwierdził, że Ashley się boi. Jego słodka, najdroższa Ashley, którą poprzysiągł bronić, była śmiertelnie przerażona.

Bud znalazł w sobie wystarczająco dużo siły. Przez całe życie grał drugie skrzypce. Aż do dziś. Teraz postanowił się przeciwstawić. Zdjął marynarkę i przygotował się do walki.

Właśnie wtedy zjawił się Maks.

W mgnieniu oka zrozumiał, w czym rzecz. Zaciśnął szczęki. Spojrzał na Ashley i na walizki. Chyba zrobiło mu się przykro. Nigdy głośno nie mówił o swoich uczuciach do Ashley. Miał wiele kobiet, lecz być może sądził, że Ashley jest kimś wyjątkowym. Może jednak ją kochał. Któż to wie.

Maks odwrócił się do Ala i kazał mu wziąć się w garść. Ashley dokonała wyboru i oni obaj powinni go uszanować.

Rozwścieczony Al nie usłuchał Maksa i rzucił się na nie-

go. Zaatakował swojego najlepszego przyjaciela i obaj potoczyli się po ziemi. Bud rzucił się w ich kierunku. Ashley krzyknęła. Podbiegł do auta.

- Jedźmy-szepnęła.-Błagam cię, jedźmy.

Bud spojrzął na szepionych ze sobą przyjaciół. I na swoją przyszłą żonę. Podjął decyzję. Odjeżdżając, zobaczył, że Maks i Al wstają.

Obaj trzymali w dłoniach pistolety.

- Ale przecież się nie pozabijali - wtrącił Brandon. – Żyli jeszcze długo po tamtej nocy.

Bud skinął głową, wpatrzony w podobiznę Ashley.

- Tak, lecz Al nie zrezygnował. Po naszej ucieczce trochę pomieszało się mu w głowie. - Wargi Buda skrzywiły się jakby w uśmiechu. - Dotarliśmy do Kanady, Ashley i ja. Skończyłem z dotychczasowym zajęciem. Osiedliliśmy się jako małżeństwo z nowym nazwiskiem. Wtajemniczyłem w to tylko Maksa. On jeden wiedział, gdzie mieszkamy. Nie utrzymywaliśmy kontaktów z naszymi rodzicami i znajomymi. Dzięki temu Ashley była bezpieczna. Maks czasem nas odwiedzał. Maks, dobry przyjaciel. Tylko on nam pozostał. Powiedział nam o Alu. O Alu wariacie. O Alu zdrajcy. Kto by przypuszczał? Tak bardzo uważaliśmy. - W głosie Buda zabrzmiała żarliwość. – Żyliśmy skromnie, lecz Ashley nie narzekała. Dla niej zrezygnowałem z tego, co robiłem przedtem. Cieszyło ją to. Maks i Al nie potrafili mnie zrozumieć. Ashley nie chciała pieniędzy, brylantów ani pereł. Pragnęła poczucia bezpieczeństwa, moje słodkie kochanie. Potrzebowała kogoś, kto by ją objął i ukoił. Moje biedne, słodkie maleństwo. Kocham cię. Ona, także mnie kochała. Kochała. O, Boże - dokończył śpiewnie.

- Co się stało? - łagodnym tonem spytał Brandon.

- Ashley zniknęła - wyszeptał Bud. - Moja maleńka zniknęła. - Jego dolna warga zaczęła drżeć. - Dziesięć lat przyzwo-

itego życia, przysięgam - całkiem przyzwoitego, a ja nigdy nie zaniedbałem ostrożności. Nigdy, nigdy. Słyszeliśmy to i owo o Alu i Johnie Jacobsie. Pan Jacobs miał pieniądze, lecz Al. dysponował kontaktami i umiejętnościami. Znam te umiejętności. Pomagałem mu je rozwinąć. Nie zapomniałem, przysięgam, nie zapomniałem. Obiecałem, że będę ją chronił. Obiecałem, obiecałem.

- Na pewno to robiłeś - powiedział Brandon. - Ashley wie, że nigdy jej nie zawiodłeś.

Bud gwałtownie kiwał się w przód i w tył. Przez chwilę ssał koniec kciuka.

- Dopuściłem do tego, że ją dostali.

- Kto? Kto taki?

- Al specjalizował się w ukrywaniu ciał - szepnął Bud. - To był jego znak firmowy. Al sądził, że nadaje jego działaniom styl. Al nie zabijał zwyczajnie - on reżyserował spektakl.

- Co?!

- Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku znalazłem jej samochód. Stał zaparkowany na poboczu. Tego dnia pojechała do fryzjera. Chciała się uczesać, bo szliśmy na uroczystą kolację z okazji naszej rocznicy. Żadnych śladów walki. Założę się, że Ashley prosiła. Błagała. Moje biedne, biedne maleństwo.

- Boże drogi - mruknął Brandon.

- Nigdy jej nie odnaleziono. Przeżyliśmy razem tylko dziesięć lat, a ona zasługiwała na dużo więcej. Dopiero przestała nosić długi płaszcz i ciemne okulary. Stała się silniejsza, bardziej samodzielna. Obiecałem, że obronię ją przed jej ojcem, a potem pozwoliłem, żeby mój najlepszy przyjaciel ją zabił. Zawiodłem ją. Zawiodłem. Zawiodłem...

Bud zaczął cicho płakać. Stracił miłość swojego życia, więc wrócił do Beaverville, miejsca, gdzie spotkał ukochaną,

miejsca, w którym ona może kiedyś się zjawi. Ale w głębi serca czuł, że ona nie żyje. Al ją odnalazł, a on zawsze załatwiał sprawy do końca. Bud dożywał swoich dni w samotności. Co roku przed bramą pojawiał się John Jacobs - z fotografią, latarką i swoimi modlitwami. Cholerny hipokryta udawał, że kocha Ashley i za nią tęskni. Bud za każdym razem przywoływał ją na pomoc, żeby go powstrzymała przed zabiciem tego sukinsyna.

John Jacobs miał nigdy się nie dowiedzieć, dokąd wyjechała jego córka piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Bud dotrzymał słowa. Ta obietnica była jedyną cenną rzeczą, która mu pozostała.

Brandon wziął go za rękę.

- Czy to ty zabiłeś Ala? - spytał łagodnie. - Czy dlatego w następnym roku Al Simmons zniknął?

Bud ścisnął jego dłoń.

- Nie mogłem. Obiecałem Ashley, że więcej nie będę tego robił. Myślę, że Maks go zabił. O wiele za późno. Do wścieklego psa trzeba strzelać od razu. Każdy wie, że to konieczne.

- Mój ojciec zabił Ala? Sam ci o tym powiedział?

- Już nigdy więcej nie spotkałem Maksa. Nie przyjechał nawet na pogrzeb. Może nie mógł. Praca wymagała poświęceń. Najważniejsze były rozkazy. Musiał się dostosować. Wtedy prawdopodobnie już otrzymał polecenie.

- Polecenie? Co takiego miał zrobić?

- Oczywiście zabić Ala. Zwąchał się z czerwonymi.

- Na czym polegała wasza praca?

Bud spojrzał na niego tępo.

- Naprawialiśmy błędy. Zabijaliśmy ludzi.

Brandon opuścił dom Buda już po zachodzie słońca. Zastępca James nadal dyżurował na poboczu. Brandon zignorował

jego obecność. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Jego ojciec był zabójcą. Możliwe, że zgładził swojego najlepszego przyjaciela.

Prawda okazała się zbyt gorzka i okropna, aby jakoś ją przetrwać. Jego ojciec pracował jako tajny agent. Wykonywał rozkazy. Robił to, co mu kazano. Był po dobrej stronie, ale robił rzeczy, których nawet po tylu latach nikt nie chciał ujawnić.

Tak, to miało sens. Ta praca, o której nigdy nic nie mówił. Niejasne trasy podróży. Konieczność posiadania dużej gotówki.

Rozmowa telefoniczna, którą C.J. odbył pół roku temu. Ktoś wtedy powiedział: „Jesteś niemal równie dobry jak twój ojciec. Tylko trochę za bardzo uczciwy”.

Brandonie Ferringer, właśnie dowiedziałeś się, że twój ojciec nie zostawiał cię, żeby zarabiać pieniądze. On zabijał. Twój ojciec był mordercą. Wyjaśniłeś tajemnicę. I jak teraz się czujesz?

Brandon przycisnął pedał gazu. Beaverville przeleciało obok, ustępując ciemnym sosnom, które rosły wzdłuż drogi. Brandon potarł powieki. Oczy go piekły. Nie miał pojęcia, dlaczego. To wszystko zdarzyło się tak dawno. Przecież nie warto przejmować się takimi zamierzchłymi sprawami.

Ale Julia zginęła niedawno. Zaczęła badać przeszłość Maksa i wkrótce została zastrzelona. Potem wybuchł pożar w stajni Victorii. Kierowca samochodu chciał potrącić ich oboje. Zamierzał strzelić, lecz nie zdążył, bo ktoś inny trafił go pierwszy.

Tyle przemocy. Julia. Victoria, Julia. Victoria.

Gwałtownie zjechał na pobocze. Wskoczył z pojazdu, zanim ten zdążył się zatrzymać.

Biegiem ruszył w las. Pędził między czarnymi jak atrament drzewami, a ich gałęzie smagały go po twarzy i raniły skórę. W końcu wypadł na małą polanę. Wysoko na niebie wisiał

księżyc w pełni. Posępnie pohukiwała sowa.

Brandon padł na kolana. Pośrodku pustkowia, otoczony wielkimi sosnami, wznosił ręce ku niebu i ryknął:

- Niech cię szlag, Maksie Ferringerze! Niech cię piekło pochłonie!

Victoria raptownie się obudziła. Usiadła i zamarła. Po drugiej stronie łóżka, pogrążony w mroku, stał Brandon.

- Przyszedłem piechotą - powiedział ochryłym szeptem.  
- Nikt mnie nie śledził.

- Brandon, co się stało?

Nie poruszył się. Widziała jego nieruchome barki, skrzyżowane na piersi ramiona, zaciśnięte pięści. Brandon Ferringer szedł po ostrym jak brzytwa górskim grzbiecie i lada chwila mógł stoczyć się w przepaść.

Victoria odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła do niego. Jego oczy lśniły. Czula na sobie spojrzenie, którym przesuwiał po jej ciele i potarganych włosach.

- Już dobrze - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Delikatnie oparła dłonie na jego barkach i przytuliła się do niego. Był twardy jak skała, a gniew, którym emanował, całkiem ją zaskoczył.

- Mój ojciec był zabójcą.

Zaczęła lekko ugniatać jego ramiona, aby trochę się odprężyć.

- Prawdopodobnie zabił Ala Simmonsa.

Dotknęła jego policzka i poczuła, że Brandon się trząsie.

- Moja żona zginęła chyba z powodu działalności Maksa!  
Mocno objęła go w pasie.

- Pożar w twojej stajni to też jego вина!

- Brandon, kocham cię.

Gwałtownie wziął ją w ramiona. Sądziła, że zacznie dziko

ją całować i była na to przygotowana. Ale on ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, a jego ramiona zaczęły drżeć.

- Chodź do łóżka. Chodź do łóżka.

Powoli zdjęła z niego ubranie. Wtedy wsunął palce w jej włosy i namiętnie ją pocałował. To był prawdziwy Brandon Ferringer. Taki, jakiego znała.

Jakiego kochała.

Upadli na łóżko. Otoczyła go nogami, ręką wprowadziła go w siebie. Oboje zastygli i westchnęli, zachwyceni pięknem tego zespolenia.

Gdy z krainy szczęśliwości powrócili na ziemię, pozostali w swoich objęciach.

- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało - szepnął Brandon. - Będę cię chronił.

- Oczywiście. Na pewno.

Obejmowała go, dopóki nie usnął, ale noc okazała się długa. Brandon spał niespokojnie, najwyraźniej dręczony jakimiś koszmarami. Zrywał się, wołał kogoś po imieniu. Czasem była to Julia. Czasem Victoria. Raz - Ashley Jacobs.

O szóstej Victorie obudziło głośnie brzęczenie. Brandon już wstawał. Znalazł pager w stosie odzieży, sprawdził numer i zaczął się ubierać. W ciągu jednego sezonu strażak wyjeżdżał do kilkudziesięciu pożarów.

Oboje milczeli, ale ich spojrzenia się spotkały.

- Muszę - powiedział po prostu.

- Wiem.

- Mój zespół.

- Wiem.

- Ja też cię kocham, Victorio.

Odwrócił się i wyszedł.



## ROZDZIAŁ 12

Preparatornia C.J. Wy ich gasicie, a my wypychamy.

- C.J.! - ryknął Brandon, żeby przekrzyczeć huk silnika samolotu.

- Brandon? Skąd ty, u diabła, dzwonisz? Z samoobsługowej pralni?

- Z samolotu.

- O, rozumiem. Wracasz do Indonezji?

- Lecę do Kolorado.

- Hm. Inwestujesz w nieruchomości?

- Gaszę pożary lasu.

- Właśnie zamierzałem o to spytać.

- Jestem strażakiem. Wspominałem ci o tym, nie pamiętasz?

- Naprawdę tego dokonałeś? - W głosie CJ. Zabrzmiało uznanie. Rzadko miał okazję chwalić Brandona. - Moje gratulacje, chłopie. To wielka sprawa. Ale zaraz - mówisz, że akurat lecisz coś gasić?

- Tak. - Brandon odwrócił się plecami do swojego zespołu i osłonił telefon dłonią. Nie chciał, żeby podsłuchano to, co teraz zamierzał powiedzieć. Niestety, nie zdążył zatelefonować przed startem. - C.J., ktoś próbuje mnie zabić.

- Czy to znaczy, że Lydia wreszcie się połapała, kto przysłała jej tę boską emeryturę?

- Nie, C.J. To znaczy, że ktoś usiłuje mnie sprzątnąć. Odkryłem prawdę o Maksie.

C.J. milczał, całkiem oszołomiony.

- Nasz ojciec był rządowym agentem, zabójcą na usługach władzy - powiedział Brandon. Starał się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku przyjechał do Beaverville wraz z dwoma najlepszymi przyjaciółmi. Alem Simmonsem i Budem Irvingiem. Wszyscy trzej zakochali się w tej samej kobiecie. Tej z miniatury w medalionie. Bud ożenił się z nią i odszedł z firmy. Alowi pomieszało się w głowie. Zdaniem Buda Maks zabił Ala.

- Jezu.

- Potrzebuję pewnych informacji. C.J., znasz kogoś w wojsku, kto mógłby popytać tu i tam?

- Czy ja wiem... Agenci rządowi to ważniaki. Ja jestem tylko byłym żołnierzem piechoty morskiej. Nie chadzam z nimi na lunch.

- C.J., mam kłopoty. Ktoś majstrował przy moim ekwipunku. Strzelał do mnie, ale ktoś inny trafił go w plecy i zabił. Myślałem, że to Bud, ale on tego nie zrobił. Krótko mówiąc, nie wiem, kto na mnie poluje, ale na pewno ma złe zamiary.

- W porządku. Przylatuję najbliższym samolotem.

- Nie o to mi chodzi, CJ. Spróbuj dowiedzieć się jak najwięcej z różnych źródeł. Jeśli się zorientuję, z kim mam do czynienia, to może zdołam odwrócić bieg rzeczy. Zastrzelono moją żonę, żeby sprawy Maksa nie wyszły na światło dzienne. Muszę wiedzieć, kto zabił Julię. Rozumiesz? Chciałbym, żebyś zrobił jeszcze coś - cicho dodał Brandon.

- Mów.

- C.J., poznałem pewną kobietę.

- Naprawdę?  
- Nazywa się Victoria Meese. Mieszka w Beaverville ze swoim synem Randym. Jeśli coś mi się stanie, to dopilnuj, żeby dobrze jej się wiodło. Mój majątek... kocham ją, CJ. Zadbaj o wszystko.

- Jezu, Brandon, nie traciłeś czasu.  
- Obiecay mi...  
- Braciszku, zajmę się nią. Masz moje słowo.  
- Jej ojciec to tutejszy szeryf. Opiekuje się nią. Nie wiem, jak długo zostanę w Kolorado. Podzwoń do ludzi, CJ. Dowiedz się czegoś. Ważnie tego potrzebuję. Nazwisk.

- Zacznę od dołu łańcucha pokarmowego Pentagonu i spróbuję dotrzeć jak najwyżej. Może na coś trafię.

- Pozdrów ode mnie Tamarę. A gdyby coś mi się stało... C.J., żałuję, że tyle podróżowałem. Powtórz to Maggie. Miała rację. Nie powinienem był tak odseparować się od was.

- W porządku. My cię rozumieliśmy.

- Tak, ale nie musieliście.

Brandon rozłączył się. To, co najważniejsze, zostało załatwione. Przyszłość Victorii była zabezpieczona, a CJ. Pchnie śledztwo do przodu. Odwrócił się i napotkał wzrok Coletona.

- Porządkujesz swoje sprawy, forsiały Brytyjczyku? Nie martw się, to tylko głupi pożar.

- Czas działać - z obojętną miną stwierdził Brandon. Coleton zaśmiał się złowrogo.

- Racja. Czas działać.

Wysiedli z samolotu, lecz nikt się nie odzywał. Już tutaj czuli duszący dym i swąd palącej się sosny. W powietrzu fruwały płonące źdźbła trawy. Na tym terenie rosło wiele drzew. Wytwarzały intensywny żar. Gdyby zerwał się wiatr, ogień buchnąłby w górę lub utworzył ogniowe wiry. Ewentualnie zdarzy-

łoby się i jedno, i drugie. Wtedy temperatura powietrza podskoczyłaby do tysiąca stu stopni, pożerając cały tlen i wypalając płuca człowieka, nie musnąwszy nawet włosów na jego głowie.

Pochylili się pod ciężarem plecaków i ruszyli w drogę.

Nawet Woody wyglądał na zdenerwowanego.

Victoria podbiegła do telefonu po trzecim dzwonku. Randy entuzjastycznie wchłaniał płatki owsiane, ona ledwie dziobnęła swoje. Tęskniła za Brandonem.

- Vic, czy jest Ferringer?

Odetchnęła, słysząc głos ojca.

- Wezwano go do Kolorado. Zespół chyba już odleciał.

Ojciec milczał przez dłuższą chwilę.

- Coś się stało?

- Okazuje się - powiedział powoli - że mamy naocznego świadka.

- Świadka strzelaniny? - spytała, autentycznie zdumiona.

Randy spojrział na nią zaniepokojony.

- Pewien nastolatek polował na ptaki. Zauważył mężczyznę z remingtonem, zacierającego swoje ślady. Dzieciakowi wydało się to dziwne, więc powiedział o tym ojcu, a on zadzwonił do mnie dziś rano. Czas i miejsce się zgadzają.

- Kogo widział ten chłopak? - spytała bez tchu.

- Toma Reynoldsa.

- Słuchajcie, strażacy, oto co nas czeka. - W samo południe nadinspektor Coleton Smith chodził przed nimi w prawo i w lewo, uzbrojony w topograficzną mapę. Słuchali go z uwagą. Każdy z nich miał na sobie kompletny strój i plecak. Wraz z dwoma innymi grupami i zespołem skoczków wkraczali do akcji. Pożar ogarnął już ponad czterdzieści kilometrów kwadratowych lasu. - To trudny teren. Ogień wybuchł w mocno zalesio-

nym kanionie. Jest cholernie zaciekle, przesuwa się osiemset metrów na godzinę i ma około sto pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Dotarł już do północnego grzbietu i schodzi w dół po tej stronie kanionu. Kierunek zachodni zabezpiecza naturalna zapora w postaci rzeki. - Pokazał wszystko na mapie i zatrzymał palec w okolicach rzeki. Postukał paznokciem w jedno miejsce. - Tu wylądujecie i pójdziecie w górę. Parów wznosi się do poziomu tysiąca pięciuset metrów i opada do poziomu dziewięciuset metrów. Jak widzicie, jest raczej stromo. Na szczęście ta strona parowu jest skalista, z małą ilością sosen i świerków, z których wiele ma najwyżej od piętnastu do dwudziestu centymetrów średnicy. Na nieszczęście ten cały cholerny rejon porasta sporo trawy. Dobrze, że to nie sierpień. - Uśmiechnął się ponuro.

Nie odpowiedzieli mu uśmiechem. Zerkali na siebie znacząco. Płonąca trawa zawsze wprawia strażaka w stan nerwowości.

- W pobliżu górnej krawędzi teren jest skalisty - kontynuował Coleton, sunąc palcem po mapie. - Starajcie się mieć go w swoim zasięgu. Jeśli ogień wyrwie się spod kontroli, szukajcie strefy bezpieczeństwa. Ona zadecyduje o waszym życiu.

Rzucił im cztery małe, radiowe aparaty nadawczo-odbiorcze.

Otrzymali je: Woody, Brandon, Larry i Trish.

- Nie ma więcej sprzętu - zakomunikował Coleton, a zespół głośno jęknął. - Hej, cieszcie się, że jest chociaż tyle. Cięcia budżetowe nie są po to, żeby ułatwiać nam pracę. Woody, Brandon, Larry i Trish - wstańcie. Woody, ty kierujesz zespołem. Ty, Ferringer jesteś jego zastępcą. Ludzie, pamiętajcie, że zawsze musicie widzieć przynajmniej jednego z nich. Krajowy Instytut Meteorologii przez cały czas monitoruje warunki pogodowe. Powiadomimy was nawet o najmniejszym liźnięciu wiatru. Wtedy macie ratować swoje tyłki. Czy to jasne?

Było jasne.

- To pożar wysokiego ryzyka - dodał Coleton. - Sprawdźcie, czy macie przeciwogniowe tarcze. Jeśli sprawy wymkną się z rąk, macie cztery możliwości. Możecie dotrzeć do strefy bezpieczeństwa. Wzniecić mały pożar, żeby zahamować ten duży. Wzniecić ogień ratunkowy. A jeśli to wszystko zawiedzie, zróbcie w tył zwrot i wejdźcie w ogień na waszych warunkach. Znajdźcie jego najcieńszą ścianę, zaufajcie waszym kombinezonom i gnajcie przez płomienie do strefy wypalanej. To tyle. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Wstali. Woody, jako szef, stanął na przedzie. Był najbardziej doświadczonym strażakiem i stałym pracownikiem służby leśnej. Do niego należała ocena pożaru i potencjalnych zagrożeń oraz formułowanie strategii działania i wydawanie rozkazów. Brandon zajął miejsce na końcu grapy. Miał pilnować, żeby każdy z siedemnastu członków zespołu wykonywał polecenia oraz żeby nikt nie został sam. Charlie i Larry szli obok Brandona. Obaj nieśli piły łańcuchowe. Dlatego trzymali się z tyłu. Chodziło o to, aby nikt sienie potknął o niebezpieczny sprzęt ani się na niego nie przewrócił.

- Niewesoło - mruknął Charlie, gdy zbliżali się do miejsca startu.

Inni myśleli dokładnie to samo.

- Vic, poznaj emerytowanego agenta Reynoldsa z CIA.

- Co? - Victoria ze zdumieniem spojrzała na swojego ulubionego lodziarza, po czym przeniosła wzrok na ojca. - Żartujesz, tato?

Ojciec pokazał jej faks.

- Mam tu oficjalne pismo.

- Niespodzianka, prawda? - uśmiechnął się Tom.

Victoria zajęła miejsce na krześle.

- Co tu, u diabła, się dzieje? Przecież to tylko Beaverville. A ty prowadzisz sklep!

- Owszem - przyznał Tom. - Obecnie jestem sklepikarzem.

Piętnaście lat temu skończyłem współpracę z CIA. Przeszedłem na emeryturę i przeprowadziłem się tutaj, żeby żyć spokojnie. Co prawda, pobierałem też mały dodatek za monitorowanie Budalrvinga.

- Bud Irving pracuje dla CIA?

- Pracował. Oszedł z firmy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, ale miał kontakt z dwoma innymi agentami - Maksymilianem Ferringerem i Alem Simmonsem. Ich zagadkowe zniknięcie dało nam do myślenia. Uznaliśmy, że Bud prawdopodobnie wie, co z nimi się stało.

- Lepiej zacznij od początku, Tom... eee... agencje Reynolds - poprosił jej ojciec.

- Pamiętajcie, że to, co powiem, powinno pozostać między nami. Wtajemniczam was w tę sprawę tylko dlatego, że znacie osobiście Brandona Ferringera i prawdopodobnie możecie pomóc.

- Na pewno możemy - z przekonaniem oświadczyła Victoria.

- Jak już ci mówiłem, Vic, rok pięćdziesiąty dziewiąty okazał się przełomowy. Nie dlatego, że trzej nasi agenci walczyli ze sobą o jedną kobietę, lecz z powodu rezultatów tego konfliktu. Bud Irving ożenił się z Ashley Jacobs, zrezygnował ze służby, zmienił nazwisko i uciekł z żoną do Kanady. Maksymilian wyjechał do Anglii. Al w zasadzie kontynuował swoją robotę, lecz po pewnym czasie zaczęły do nas docierać niepokojące informacje. Poddaliśmy agenta Simmonsa inwigilacji i w sześćdziesiątym piątym roku stało się jasne, że został wtyczką KGB. Co więcej, usilnie starał się zlokalizować Buda i Ashley.

Do tej sprawy przydzieliliśmy agenta Ferringera, ponieważ najlepiej znał Ala i był w stanie przewidzieć jego posunięcia. Przez wiele lat deptał Simmonsowi po piętach, usiłując zidentyfikować jego kontakty i stwierdzić, czy w łonie CIA są inni zdrajcy. Oczywiście nie lubimy przyznawać się do takich rzeczy.

- Oczywiście - syknęła Victoria.

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym Simmons zniknął. Maks nagle go zgubił. Osiem miesięcy później zniknęła Ashley Jacobs. Wiedzieliśmy, że to sprawka Ala. Ferringer bardzo się tym przejął. Uznał, że nie wykonał zadania. Zaś w firmie zdecydowano, że Simmons jest zbyt niebezpieczny, aby pozostawić go przy życiu. W siedemdziesiątym roku dwóch agentów odnalazło Ala Simmonsa. Zainstalowali w jego samochodzie bombę. Wybuchła, lecz ciała Ala nie znaleziono. Podejrzewaliśmy, że on nadal żyje. Gdy dwa lata później zniknął Maks Ferringer, wiedzieliśmy, co to oznacza. Al Simmons był w świetnej formie i wciąż nas wyprzedzał.

- Wykazaliście się imponującą błyskotliwością – kąśliwie mruknęła Victoria.

- Stratę agenta Ferringera potraktowano w firmie bardzo poważnie - odpowiedział Tom. - Al okazał się niezwykle skuteczny. Straciliśmy nadzieję, że kiedykolwiek zostanie ujęty. I nagle Brandon Ferringer zaczął zadawać pytania. Miesiąc temu dowiedzieliśmy się, że ktoś wynajął zamachowca, żeby sprzątnąć Ferringera. A on właśnie wybierał się tutaj. Otrzymałem rozkazy, ponieważ tu mieszkam i znam sytuację. Miałem obserwować Brandona Ferringera, chronić go i przekonać się, czy Al Simmons wyjdzie z ukrycia.

- Wystawiliście Brandona Ferringera na wabia? – Victoria zmarszczyła brwi.

- Sam pojawił się w odpowiednim czasie i miejscu. Byłoby głupotą tego nie wykorzystać.



- Powiedz o tej strzelaninie - przerwał mu szeryf Meese.  
- Osobnik, którego zabiłem, to Ray Bands, doświadczony płatny zabójca. Moim zdaniem to on odpowiada za wszystkie wypadki. Przyznam, że wcześniej powinienem go wykryć przyznał Tom.

- A co z Alem Simmonsem? - spytała Victoria. - Czy coś wiadomo na temat miejsca jego pobytu?

- Mam nową teorię - powiedział cicho. - Ale aż mi wstyd ją przedstawić.

- Mów, Tom!

- Sądzę, że agent Al Simmons od dawna siedzi tuż pod moim nosem!

- Co takiego?

- Nie dysponuję dowodami, ale zebrałem w Montanie garść informacji. Człowiek, z którym rozmawiałem, rozplywał się z zachwytu nad poświęceniem, z jakim Smith traktował swoje obowiązki. Mój rozmówca pracował z Coletonem Smithem przed dwudziestu laty. Podobno Coleton miał wtedy sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i niebieskie oczy. Dłaczego więc obecnie ma oczy piwne i jest o dziesięć centymetrów wyższy?

Tom załatwił przelot, Victoria poprosiła matkę o opiekę nad Randym. O jedenastej trzydzieści szeryf Meese, jego córka i Tom Reynolds wsiedli do czarterowego samolotu i polecili do Kolorado.

- Brandonowi na pewno nic nie grozi - w kółko powtarzał Tom. - Al Simmons nie narazi swojego zespołu.

Victoria i jej ojciec milczeli.

Przeprawa trwała dłużej, niż oczekiwali. Prąd rzeki był silny, przewodnik zbyt powolny, lub może nie spodziewał się,

że będą mieć tyle ciężkiego ekwipunku. Odepchnął od brzegu ich trzy tratwy i natychmiast stracił nad nimi panowanie. Dopiero Brandon, Larry i Trish, która kiedyś prowadziła rzeczne spływy, zdołali wspólnymi siłami szpeciść pontony ze sobą.

Przez całą drogę walczyli ze zdrażliwymi wirami. Do celu dotarli wykończeni i spóźnieni o czterdzieści pięć minut.

Sformowali szyk i zameldowali się w centrum dowodzenia, gdzie Coleton i Barbara monitorowali sytuację. Następnie ruszyli w drogę. Od rzeki odchodziło kilka parowów i kaniarów. Weszli w ten środkowy, zgodnie z instrukcją wspięli się na wysokość tysiąca dwustu metrów i podążyli wzdłuż naturalnego łuku w głąb parowu. Poniżej rozciągał się ciemny gąszcz drzew. Z prawej strony, po drugiej stronie parowu, kłębił się dym. W górze i z prawej strony płonął ogień, przesuając się coraz bardziej w dół.

Skoczkowie wylądowali cztery godziny temu. Odpowiedali za przygotowanie terenu na wschodzie. Załoga z Beaverville miała uniemożliwić rozprzestrzenianie się pożaru w kierunku północnym. Szeroka rzeka stanowiła naturalną zaporę na zachodzie. Na południu ogień przygasał.

Przeszli niecałe dwa kilometry, gdy pod ich stopami po raz pierwszy zapaliła się trawa. Dym uniósł się nad kilkoma miejscami naraz. Pod nim zatańczyły płomienie. Przez chwilę miały się w tańcu solo, po czym nagle jakby się dostrzegły i wysunęły drgające macki, aby chwycić się za ręce. Błyskawicznie się objęły, pożerając trawę i sunąc przed siebie w poszukiwaniu nowego paliwa.

Patrzyli na ten spektakl oszołomieni, lecz Woody głośno wydał im polecenia, więc natychmiast ożyli. Toporki i łopaty poskromiły ogień. Stłamsili trawę i pokryli ją cienką warstwą mułu. Za moment sytuacja się powtórzyła. Brandon nigdy nie widział czegoś podobnego. Ogień wybuchał w coraz to nowych

punktach, a oni dreptali jak zdenerwowane konie, atakując cienkie smugi dymu i uganiając się za duchami. Całe zbocze bez przerwy rozbłyskiwało milionami iskier.

Po pewnym czasie Brandon stwierdził, że z powodu tego, co robi, nie powinien aż tak się pocić. Coś było nie tak. Powietrze stawało się zbyt gorące. Spojrzał w górę i ujrzał krwistoczerwone słońce. Ogień już objął korony drzew i smażył szczyt zbocza. Pchał przed sobą falę upiornego żaru, w mgnieniu oka suszył wilgotną trawę i drzewa. Zbliżała się chwila erupcji.

Ogień zbierał siły, rósł, szykował się do zasadniczego ataku.

Brandon zerknął na Woody'ego.

Woody uniósł palec. Sprawdzał, czy nie zrywa się wiatr.

- Nadal nic - odpowiedział na pytanie, którego nikt na głos nie zadał.

Brandon mógłby przysiąc, że poczuł na brodzie delikatne muśnięcie.

Barbara siedziała przygarbiona w pomieszczeniu wieży strażniczej. Z kwaśną miną gapiała się w okno. Zwichnięta kostka uniemożliwiła bezpośredni udział w akcji i Barbara musiała zostać z Coletonem. Obserwował ją spod oka. Stał przy faksie i niecierpliwie czekał na najnowsze informacje o pogodzie. Faks nagle ożył. Nadinspektor załogi z Beaverville otrzymał z Instytutu Meteorologicznego aktualne dane na temat pogody. Na ogarnięty pożarem teren nasuwał się zimny front. Natychmiast ewakuować ludzi. Al Simmons, którego nienawiść do Maksymiliana Ferringera nigdy nie wygasła, zgniótł kartkę i wrzucił ją do kosza.

- Nic nowego - znudzonym tonem powiedział do Barbary. Znów wlepiła wzrok w okno. Słońce miało purpurowy kolor.

Dwusilnikowy samolot właśnie schodził w dół. Wtedy zderzył się z pierwszym silnym podmuchem powietrza i podskoczył do góry. Pilot sprawnie wyrównał lot, lecz porywy wiatru stawały się coraz silniejsze i jeszcze kilka razy podrzuciły mały samolot. Victoria zacisnęła palce na poręczy fotela. Szeryf Meese wyraźnie zbladł. Tom pozieleniał.

Samolot zanurkował, lecz w ostatniej chwili powrócił do poziomego toru.

- Wybaczcie - zawołał pilot z CIA. - Trafiliśmy na fatalny front. Musiałem zejść pod spód. Chyba nie zamierzacie długo tu zabawić. Wkrótce rozpęta się piekło. Nie wystartujemy w takiej wichurze.

Weszli na szczyt małego wzniesienia i Woody stanął jak wryty.

Drgające powietrze wyglądało tak, jak gdyby zamierzało się skurczyć, po czym gwałtownie eksplodowało. Poleciały płonące szyszki, kawałki skał świstały jak kule wystrzeliwane z niewyobrażalną siłą, kilkumetrowe drzewa same się zapalały z powodu żaru własnej żywicy. Za kłębam dymu, za falą oszalałymi gorąca uniosła się ściana ognia, dzika bestia prawie dwustumetrowej wysokości. Zwróciła się w ich stronę i zaatakowała swoim pierwszym ciosem. Woody coś krzyknął, ale ogłuszający ryk wchłonął dźwięki. Z twarzy Brandona zniknął cały zarost, a odzież nagle przylgnęła do ciała. Brandon zachwiał się, pchnięty potężnym podmuchem. Woody znów poruszył wargami. Tym razem Brandon go zrozumiał. Doświadczony strażak powiedział: „Dobry Boże, pomóż nam”.

Tom wyciągnął pistolet kaliber dziewięć milimetrów. Szeryf Meese miał magnum 0,357. Victorii polecono ukryć się za furgonetką. Mimo upływu lat Al Simmons alias Coleton Smith

nadal posiadał umiejętności jednego z najlepszych agentów. Należało go zaskoczyć, aby nie zdążył wziąć zakładnika. Tom ruchem głowy dał znak. Victoria ostrożnie spojrzała przez szyby samochodu. Jej ojciec otworzył drzwi na parterze wieży. Z bronią w uniesionej dłoni zręcznie wślizgnął się do środka. Za moment Tom uczynił to samo. Obaj mężczyźni zniknęli w ciemnym pomieszczeniu.

Barbara właśnie sięgała po spinacz, gdy za jej plecami ktoś gwałtownie otworzył drzwi.

- Stać! - zawołał jakiś mężczyzna.

- Nie ruszać się! - ryknął drugi.

Powoli odwróciła się i ujrzała dwóch starszych panów. Mierzyli z pistoletów do niej i do Coletona Smitha.

- Szeryf Meese? - zapytała jak idiotka. - Co pan tutaj robi? Jej słowa zagłuszył czyjś śmiech. Coleton Smith aż zgiął się w pół, chichocząc radośnie.

- Za późno! - wydyszał. - Patrzcie! - Wskazującym palcem wycelował w okno.

Barbara spojrzała we wskazanym kierunku. Na dachu znajdowała się obrotowa chorągiewka. Pomagała określić szybkość i siłę wiatru. Potężna wichura stwarzała śmiertelne zagrożenie dla strażaków.

Teraz chorągiewka kręciła się jak szalona.

- Naprzód! - ryknął Woody. - Rzucić sprzęt!

Topory i piły upadły na ziemię. Obok nich wyładowały manierki i apteczki. Zespół zerwał się do biegu.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Masz zostać w tyle! W tyle! Nogi Brandona chciały się rozpędzić. Płuca go paliły, na klatce piersiowej czuł potworny ucisk. Nie wyprzedził nikogo. Był zastępcą szefa. Musiał dopil-

nować, żeby wszyscy trzymali się razem. Nie zamierzał stracić głowy ani wpaść w panikę. Nie mógł zawieść swojego zespołu. Obok przemknął Woody. Nadal ścisnął w dłoni radio. Coś krzyczał, ale jego słów prawie nie było słychać. Nagle szcękniętą aparat Brandona. Barbara. Szlochała, mówiła coś o Coletonie.

Po niej odezwał się ktoś inny. Zabrzmiało opanowany, silny i sugestywny głos Victorii.

„Biegnij. Uciekaj. Wydostań się stamtąd!”

Pędem minęły Brandona cztery osoby - Trish, Winston, April i Charlie. Brandon wciąż czekał. Całe wieki. Oczy łzawiły mu od dymu. Tuż obok świsnęła kolejna płonąca szyszka. Czuł fetor swojej błony śluzowej, która zaczynała się palić.

- Marsha! - przynaglił potykającą się kobietę. - Szybciej! Szybciej!

Victoria wciąż mówiła do niego przez radio.

„Uciekaj stamtąd. Biegnij. Biegnij”.

Odwrócił się, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy za nim nikogo nie ma, i ujrzał niezwykle zjawisko. Ogień tańczył. Potężna ściana płomieni drżała i falowała, rozdzielala się i łączyła, poddając się podmuchom zmiennego, kapryśnego wiatru. Brandon stał jak zaczarowany, lecz wiatr w końcu uśmierzył swój wewnętrzny konflikt. Chłód uderzył w żar, a żar gwałtownie skręcił. Powstał tunel, w który ogień wpadł jak tornado, i popędził, tocząc po drodze ogromne skalne głazy. Brandon pomknął jak błyskawica.

- Helikoptery! - wrzasnęła Victoria. Z całej siły szarpała Coletona za kłapy. Była taka wściekła i taka przerażona, że płuła mu w twarz.

- Nie dolecaj. Za silny wiatr - odparł. - Nie martw się - dodał - Ferringer ma dobre nogi i płuca o wiele lepsze niż tamci. Może się uratuje. Musi tylko zostawić ich za sobą. Ale twój bra-

ciszek nie da rady. Jeśli to cię pocieszy, to wiedz, że będzie nieprzytomny, gdy nadejdzie ogień. - Coleton wciąż się uśmiechał. - Ferringer naprawdę ma szansę. Jeżeli zostawi swój zespół i będzie myślał tylko o sobie.

Victoria już wiedziała, że Brandon nie wyjdzie z tego żywy. Coleton przechytrzył ich wszystkich, ponieważ Brandon nigdy nie opuści swoich ludzi. Pragnął być lepszy niż jego ojciec.

Woody biegł w górę zbocza. Kierował się w stronę krańdzi. Pozostali, potykając się, gnali za nim, zdezorientowani dymem i oszołomieni żarem. Powietrze zawierało za mało denu. Wypalił się, a jego miejsce zajął dwutlenek węgla. Ogniste wiry przenosiły mnóstwo trujących gazów, paliły włosy na głowach, przypiekały policzki, zrzucały deszcz płonących gałęzi i kłujących iskier. Przyśpieszyli, choć każdy oddech przychodził z wielkim trudem. Brandon pomyślał, że nie powinni gnać w górę, ale już nie pamiętał, dlaczego. W tym piekle teoretyczne zajęcia wydawały się całkiem nierzeczywiste. Pokonali skalisty teren, ostro skręcili i popędzili prosto w kierunku stromej obietnicy górskiego grzbietu. Tam ogień musiał się udławić z powodu braku paliwa.

Bieg w górę to złe rozwiązanie. Przez głowę Brandona znów przemknęła ta natrętna myśl. Próbował ją przeanalizować, ale nie potrafił. Okropnie piekło go w klatce piersiowej i gardle. Ciemne plamki latały przed oczami. Trish zawadziła stopą o kamień i upadła. Charlie potknął się o nią i omal się nie przewrócił. Larry przebiegł obok, za nim pędziła April. W ich szeroko otwartych oczach czaił się strach, twarze były ponure i pobrużdzone. Brandon pochylił się i objął Trish w talii. Zachwiał się i omal nie upadł. Brak cholernego tlenu. Nie sposób oddy-

chać, nie sposób myśleć. Tamci wciąż biegli w górę zbrocza, a ogień dodawał im skrzydeł. Cholera, nie powinni biec w górę. Nie. Nie. Nie. Ale dlaczego? Jasna cholera. Brandon czuł, że zaraz zwymiotuje. Trujące gazy, podpowiadała racjonalna cząstka umysłu. Zasłonił usta. Znalazł chustkę, zwilżył ją i owiazał wokół głowy. Trish siedziała na ziemi, oszołomiona, zdeorientowana i zagubiona. Jej także osłonił usta. Ryk coraz bardziej się zbliżał. Był tuż za ich plecami.

Nadchodził ogień.

Nagle otoczył ich dym i świat stał się przerażającym miejscem.

- Brandon! Brandon, odezwij się! - błagała Victoria, ale nikt się nie odezwał. Victoria nie rezygnowała. Znowu spróbowała połączyć się z radiem Brandona.

- Ruszaj się, Brandon! - poleciła. - Błagam, nie poddawaj się. Potrzebuję cię, uważaj na siebie i na Charliego. Jesteś moim bohaterem.

Victoria coś do nich mówiła. Najpierw uznał, że to niedorzeczne, ale zaraz zmienił zdanie. W tym oszalałym świecie wszystko było możliwe. Przed sobą dostrzegł jakąś postać. To Larry siedział na rozpalonej ziemi. Jego włosy zniknęły, goła czaszka była lśniąca i czerwona.

Znowu odezwała się Victoria.

„Biegnij, proszę, biegnij. Nie rezygnuj. Biegnij”.

Brandon poderwał się i gwałtownie odwrócił. Czyżby się spodziewał, że zobaczy duchy? Nagle zachciało mu się śmiać, Trish także wyglądała na rozbawioną. Świat był jak karuzela - bajecznie kolorowa i brzęcząca. Wzrok zaczynał zawodzić. Ale czy to ważne?

Oddychaj wolniej. Unikaj hiperwentylacji, nie wdychaj za dużo gazów - kołatało Brandonowi w głowie.



- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - wydyszał Charlie.

„Wracaj do mnie, Brandon. Wracaj do mnie. Do domu!” - rozkazywała Victoria.

Przed nimi nagle wyrosło kilkanaście cieni. Reszta zespołu - wszyscy zdezorientowani, biegli w drugą stronę. Prowadził ich Woody. W oczach miał obłęd, jedną rękę przyciskał do gardła. Zobaczył ścianę ognia, raptownie się zatrzymał i chyba zrozumiał swój błąd. Skierował swoją grupę prosto w płomienie. Grzbiet był zbyt odległy. Ściana ognia zbliżała się z hukiem, a oni wciąż nie mogli uwierzyć, że przegrywają.

- Tarcze, wyjąć tarcze - wychrypiął szef zespołu.

Sięgnął po umocowane przy pasku zapalki, lecz nagle pochylił się i upadł.

- Biegnijmy! Spuścić głowy! Biegnijmy przez ogień!

Brandon nie wiedział, kto to woła.

- Nie! - ryknął. W głowie mu się kręciło. Ujrzał jakieś światełka i pomyślał, że też zaraz zemdleje.

- Tarcze! Natychmiast! - zawołał ktoś ochryplym głosem. To był jego głos. Brandon Ferringef przekrzykiwał płomienie.

Zapalił zapalkę i rzucił ją na trawę.

- Na wypalone! - wrzasnął. - Załoga z Beaverville, na wypalone!

Za nimi ogień nadchodził jak wcielenie furii. Przed nimi przemykał się po trawie - ten miał flisną temperaturę i ślizgał się po kombinezonach, nie wyrządzając im szkody.

- Załoga z Beaverville! - huknął jeszcze raz Brandon. - Na wypalone!

Wykonali polecenie.

Jeden po drugim zanurkowali w strefę bezpieczeństwa, a ściana ognia nieubłaganie sunęła w ich stronę. Zmagali się z przeciwogniowymi tarczami, bo od tego ostatniego, rozpaczli-

wego posunięcia zależało życie, Charlie wtulił twarz w czarny popiół, gdzie jeszcze pozostało trochę tlenu. Narzucił na siebie osłonę i zniknął pod jej srebrzystą powierzchnią. To samo zrobił Larry, potem Trish i April.

- Szybciej! Szybciej! - krzyczał Brandon. Usiłował znaleźć osłonę i jednocześnie odpowiednio ułożyć Woody'ego.

Ogień był tuż-tuż. Brandon już nie słyszał swojego głosu. Nie mógł oddychać, a łzy w oczach wyparowały, nim zdążył zamrunąć. Błyskawicznie rozłożył tarczę, ogień zaś właśnie ruszył prosto na niego. Resztką sił starał się uszczelnić brzegi osłony. Musiał ją dobrze podwinąć, żeby wiatr jej nie zdmuchnął, wystawiając jego i Woody'ego na pastwę szalejących płomieni. Tarcza nie była przeznaczona do okrycia dwóch osób. Dlatego nie zdołał wystarczająco jej obciągnąć. To na nic, pomyślał. Powinien zostawić Woody'ego na zewnątrz, ratować tylko siebie.

Jestem Brandonem Ferringerem, nie zostawię kolegi, pomyślał, po czym szarpnął krawędzie tarczy do dołu.

Ogień nadszedł z ogłuszającym hukiem.

Świat wybuchł, po czym zmienił się w nicość.

Victoria wyjrzała na zewnątrz, gdy wylądował pierwszy helikopter Gwardii Narodowej. Po nim przyleciały jeszcze dwa. Trzy helikoptery dla przetransportowania siedemnastu osób. Przyjechały też ambulanse. Światła migały, ludzie krzyczeli.

Podbiegła do jednego helikoptera, potem do drugiego.

- Brandon? - zawołała. - Brandon?!

Usłyszał swoje imię z bardzo daleka. Wydawało mu się, że wszystko spowija mgła. Spróbował ruszyć ręką, ale okazała się za ciężka. Jego nogi nie chciały nawet drgnąć. Świat stał się

taki mały. Brandon pamiętał chwilę, w której świat nagle się skurczył. Pochłonięły go płomienie. To także pamiętał.

Ktoś znów powtórzył jego imię, a on odwrócił się, żeby zobaczyć tę osobę. Biegła do niego, a na jej dobrej, uczciwej twarzy malowało się wzruszenie. Spróbował przekrzyczeć zgiełk, chciał jak najszybciej wydostać się z helikoptera. Musiał chwilę poczekać, żeby przepuścić sanitariuszy z noszami. Na jednych leżał Woody. Trzymał przy twarzy maskę tlenową. Na widok Brandona uniósł kciuk, wyrażając w ten sposób swoje uznanie i wdzięczność. Gdy pielęgniarze przeszli, zaczął niepokojnie szukać wzrokiem Victorii. Zawołał ją, a ona właśnie przedzierała się w jego stronę. Przybiegła jak na skrzydłach, padła w jego ramiona i mocno go objęła. Był cały posiniaczony i poraniony, ale teraz nie czuł bólu. Tulił do siebie Victorie i wdychał jej zapach. Jabłkowy szampon i konie, wiosenne dni i letni deszcz. Miał ją przy sobie. Jego zespół przeżył. Koszmar się skończył. Brandon nagle stwierdził, że cały się trzęsie.

- Słyszałem we śnie twój głos - powiedział ochryplym szeptem.

- To nie był sen.

- Nie zostawiłem ich, Victorio. Teraz mogę zostać twoim bohaterem. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham...

- Wiem. Cicho. Już dobrze.

Osunął się na kolana.

- Kocham cię - szepnęła. - Kocham cię.

Płakał. Victoria uklękła obok niego. Objęci kiwali się w przód i w tył, dopóki nie opadły największe emocje. Podeszedł do nich Charlie, a oni serdecznie go uścisnęli.

- Chodź do domu - poprosiła Victoria.

- Pójdę - obiecał Brandon.-Na pewno.

## EPILOG

Maggie, C.J. i Brandon spędzili tydzień w Waszyngtonie, gdzie dzięki staraniom Toma Reynoldsa mogli spotkać się z przedstawicielem CIA. Dowiedzieli się różnych rzeczy - dobrych i złych, pocieszających i jednocześnie smutnych. Wracali razem, lecz jakby osobno, każde pogrążone we własnych myślach.

Przyjechali do Tillamook, do miejsca wiecznego spoczynku ich ojca, Maksymiliana Ferringera. Wychował się w tej mleczarskiej społeczności i zbyt pochopnie ją opuścił. Lydia pochowała go tutaj, aby mogła często przychodzić na grób i rozmawiać ze swoim jedynakiem, którego nigdy nie rozumiała.

Dzisiaj Lydia została w domu. Chciała, aby Maggie, C.J. i Brandon tylko we troje ostatecznie pożegnali się, a zarazem pogodzili ze swoim ojcem. Ich ukochani czekali na nich w tutejszym hoteliku o nazwie Shilo Inn. Cain, Tamara i Victoria natchmiast się polubili. Właśnie po przyjacielsku toczyli wojnę przy partii blackjacka. Zdaniem Caina wszystko opierało się na klasycznej matematyce. Tamara i Victoria opracowały własne teorie. Żadne z nich nie wiedziało, kto przegra najwięcej, ale rozgrywka zapowiadała się interesująco.

Na cmentarzu Maggie jako pierwsza się poruszyła. Chodziła trochę ociężale, ponieważ była w siódmym miesiącu ciąży. Macierzyństwo bardzo jej służyło - wyglądała zdrowo i nadzwyczaj pięknie. Brandona cieszyło, że nareszcie znalazła swoje szczęście. Dobrze pamiętał, jakim była dzieckiem - przygarbionym, chudym jak patyk stworzeniem, które deptało braciom po piętach, błagając wzrokiem o odrobinę ciepła. Teraz, po latach, Maggie kwitła. Zbliżyła się do grobu, położyła na nim dwie lilie i odsunęła się na bok.

C.J. miał pogodną, zrelaksowaną twarz. Najwyraźniej czuł się dobrze w swojej skórze. W niczym nie przypominał gniewnego, buntowniczego chłopaka, którym był kiedyś. Przemądrzały ulicznik zmienił się w solidnego człowieka. Położył na grobie pęk bluszczu.

Miejsce zwolnione przez C.J. zajął Brandon. Czy Maggie i C.J. ujrzeli pełnego rezerwy, opanowanego angielskiego chłopca, który poprzysiągł sobie nigdy przy nich nie płakać? Chłopca, który za szybko się zestarzał i ochłódł, ponieważ usiłował zapewnić swojej rodzinie stabilizację? A może dostrzegli w nim mężczyznę, którym się stawał - lojalnego, szczodrego, troskliwego, uczącego się sztuki dawania i otrzymywania? Brandon położył na grobie ojca album pewnego rocznika, który ukończył kiedyś średnią szkołę w Tillamook. Cofnął się, a Maggie przerwała milczenie:

- Cóż, teraz wiemy wszystko. Czy to coś zmienia?
- Tak - odparł C.J.
- Być może - mruknął Brandon.

Maggie uśmiechnęła się melancholijnie.

- Przynajmniej nie chodziło o pieniądze - powiedziała po chwili.

- Jak to nie? - zaproponował Brandon. - Przecież on ożenił się z moją matką właśnie dla jej majątku. Potem ożenił się z

twoją z tego samego powodu. Nawet jeśli szastał się po świecie służbowo, to wciąż miał obsesję na punkcie dolara.

- Rola Jamesa Bonda to kosztowne wcielenie. - C.J. wzruszył ramionami. - W sensacyjnych filmach szpiedzy jeżdżą luksusowymi autami i w smokingach odwiedzają kasyna Monte Carlo. Ale w rzeczywistości nawet agenci CIA są tylko zwykłymi pracownikami i zarabiają całkiem przeciętnie. Maks pragnął całej pełni doświadczeń z efektowną otoczką włącznie, ale dobrze wykonywał swoją robotę.

- Jako zabójca - burknął Brandon.

Maggie potrząsnęła głową.

- Brandon, przecież słyszałeś, co powiedział tamten urzędnik...

- „Agenci CIA przechodzą specjalne przeszkolenie, aby działali skutecznie w każdej sytuacji” - z przekąsem zacytował Brandon.

- On wcale nie był zabójcą - upierała się Maggie. - Został agentem rządowym. Otrzymywał rozkazy. Oczywiście, że nie wiemy o wszystkich jego zadaniach, ale na pewno... na pewno wykonywał... obowiązki agenta.

C.J. parsknął śmiechem.

- Obowiązki agenta! - O, rany, ale określenie. Tak jakby on sprzątał, tylko na globalną skalę.

Maggie spojrzała na niego groźnie i ukuła go palcem w ramię.

- Ty powinieneś to rozumieć, żołnierzu.

- Tak, tak, masz rację. Musisz przyznać, Brandon, że nasz ojciec był po tej dobrej stronie. To fakt. My chyba go nie rozumieliśmy, on chyba nie okazał się najlepszym ojcem, ale przynajmniej robił coś ważniejszego od importowania ręcznie rzeźbionych w drewnie figurek.

W CIA podano im tyle informacji, ile uznano za stosowne.

Maksymilian Ferringer należał do grona najlepszych agentów. Małżeństwa i dzieci były jego prywatną sprawą, choć w firmie niektórym wydawały się dziwną fanaberią. Jego zawód nie sprzyjał życiu rodzinnemu. W latach sześćdziesiątych, gdy odkryto, że Al Simmons został wtyczką KGB, Maks bezustannie go ścigał. Dwa miesiące temu Al przyznał, że wtedy przechrzył dawnego przyjaciela. Zabił Ashley Jacobs i Ferringera. Pozwolił żyć Irvingowi, ponieważ bawiło go cierpienie szalonego Buda. Al przysięgał, że nie maczał palców w zabójstwie Julii Ferringer. Nie pozostawało więc nic innego, jak uwierzyć w policyjną wersję. Ta myśl czasem przynosiła Brandonowi chwilowe ukojenie, ale, w gruncie rzeczy, nie miała żadnego znaczenia. C.J. i Maggie trafili w sedno - odkrycie prawdy niczego w żaden cudowny sposób nie zmieniało. Julia i tak nie żyła, a jej śmierć pozostała tragedią. Maks i tak odszedł z ich życia, a w ich świadomości pozostał jako ktoś tajemniczy.

Co o nim wiedzieli? Był lojalnym przyjacielem i prawdziwym patriotą. Doskonałym agentem. Wychował się bez ojca, ponieważ Samuel zginął, pilotując wojskowy samolot. Maksymilian najwyraźniej odczuł stratę ojca bardziej boleśniej, niż mogłoby się wydawać. Po maturze przekonał obu najlepszych przyjaciół, aby wraz z nim poświęcili swoje życie ojczyźnie.

Był kiepskim ojcem i jeszcze gorszym mężem. Praca agenta prawdopodobnie uczyniła z niego człowieka zamkniętego w sobie.

- Wiecie, o czym najczęściej myślę? - raptownie spytała Maggie. Patrzyła na nich szafirowymi oczami, a na jej twarzy malował się cudowny spokój. - O tym pierwszym lecie, gdy się poznaliśmy. Pamiętacie tamte wakacje?

Skinęli głowami, a ona uśmiechnęła się.

- Prawie na powitanie C.J. wysłał Brandona do diabła. Tobie, Brandon, zrobiło się przykro, ale błyskawicznie się opa-

nowaleś i przywdziałeś maskę obojętności. C. J., potrafiłeś Mać jak mało kto. Doprowadziłeś tę umiejętność do perfekcji.

- To kwestia wprawy - pogodnie odparł C.J.

- Pamiętam, jak ty, C.J., i ja pierwszy raz płakaliśmy – cicho i dyskretnie. Myślałam wtedy, że Maks nauczył nas właśnie tego - płaczu w samotności, żebyśmy ojcu nie przeszkadzali i niczego od niego nie chcieli. - Spojrzała smutno na Brandona. – Ale ty chyba nigdy nie płakałeś. Dopiero po wielu latach zrozumiałam, jaką wyrządziliście mi krzywdę. Nie zdając sobie z tego sprawy i nie zastanawiając się nad tym, pozwoliliście mi grać rolę tego najsilniejszego. Nigdy nie daliście mi szansy na okazywanie cierpienia.

- W porządku - mruknął, nagle trochę zakłopotany ich spojrzeniami. Popatrzył na grób i wzruszył ramionami. - Ja... ja byłem najstarszy. Nie mogłem się rozklejać. Musiałem być silny.

- Wymagałeś od siebie tak dużo, bo miałeś poczucie winy. Wmówiłeś sobie, że gdybyś był lepszym dzieckiem, to Maks by nas nie zostawił - dodała łagodnie.

Skinął głową, a jego wargi wygięły się w gorzkim uśmiechu.

- Och, Brandon - szepnęła. - Właśnie tak wtedy myślałam.

- Ja też - cicho przyznał C.J. - Ja też.

Brandon poczuł, że coś dławi go w gardle.

- To już nie ma znaczenia - powiedział i te słowa dodały mu sił. - Ja też dobrze pamiętam tamto lato, Maggie. Całą naszą trójkę - ciebie, taką smutną, C.J., pełnego gniewu, i siebie, zmrożonego jak lodowy lizak. Ale spójrzmy na siebie teraz. Ty, Maggie, masz Caina, a także piękny dom, wspaniałą córkę i drugie dziecko w drodze. A ty, C.J., i Tamara tworzycie fantastyczną parę. Już teraz mogę sobie was wyobrazić z dwójką ber-



beci na torze wyścigowym. No i ja... Poznałem Julię, która tak wiele mi dała. A teraz mam Victorie. Znow mi się udało. Jestem... szczęśliwy.

Maggie uśmiechnęła się szeroko i radośnie.

- A więc dokonaliśmy tego - wyszliśmy na ludzi.

- Pomimo Maksa czy dlatego, że jednak go mieliśmy - takiego, jaki był? - spytał C.J.

- Z obu powodów - po chwili milczenia stwierdził Brandon.

- To jedyna odpowiedź.

Brandon wracał do Shilo Inn sam. Po drodze zatrzymał samochód, zebrał ogromny bukiet polnych kwiatów i pojechał dalej. Victorie zastał w hotelowym pokoju. Właśnie odkładała słuchawkę po rozmowie z Randym. Brandon pomyślał, że jest prawdziwym szczęściarzem. Z uśmiechem usiadł na brzegu łóżka. Serce wezbrało mu uczuciami. Z wahaniem podał jej bukiet.

- Dla ciebie. Sam je zrywałem.

- Coś podobnego! Zgadnij, co mi powiedział Randy. Podobno zaprezentował Libby. Ktoś ma ochotę ją kupić.

- To wspaniale. - Uznał, że to doskonała okazja do uścisku. Oraz całusa. I drugiego bardziej namiętnego pocałunku. Dopiero po dłuższej chwili odsunęli się od siebie.

- Randy chyba szaleje z radości.

- Jasne. Uważa, że to wszystko jego zasługa. Rzeczywiście ciężko pracował.

Randy wraz z Victoria trenował Libby przez całe lato. Brandon często im się przyglądał, jeśli akurat nie gasił żadnego pożaru. Randy odziedziczył talent po matce. Zapowiadał się na doskonałego trenera, o ile nie zdecyduje się na karierę baseballisty.

- Wiesz, tak sobie myślę... - zagaił Brandon.

- Oho.
  - Wydaje mi się, że taki stary dziad jak ja powinien osiąść gdzieś na stałe.
  - Tak sądzisz?
  - Tak.
  - Miejskie życie nie bardzo mi odpowiada. I chyba nie zdołam po raz drugi wdrapać się na Everest. Potrzebuję ciepłego, przytulnego domu. Może rancza, na którym mógłbym ciężko pracować, a na boku troszkę bawić się w różne inwestycje. Oczywiście przydałaby mi się jakaś kobieta, żeby trzymała mnie w karchach. Oboje wiemy, że czasem staję dęba.
  - Święta prawda.
  - Poza tym muszę przypomnieć sobie, jak się gra w baseball, i nie zapomnieć podstaw matematyki. Tak łatwo można zardzewieć, a nie ma nic gorszego, jak błędy przy mnożeniu ułamków.
  - Tak, to prawdziwa tragedia.
  - Dlatego wciąż się zastanawiam, gdzie znajdę ładne ranczo wymagające trochę pracy, piękną kobietę, która będzie dyktować mi warunki, i zajadłego, ośmioletniego baseballistę?
  - Mam pewien pomysł. Za odpowiednią cenę mogłabym ci go zdradzić.
  - No cóż, jestem na to przygotowany. Kiedyś słyszałem, że właściciele rancza i samotnych matek nie da się kupić za pomocą taniej błyskotki. Przemyślałem tę sprawę.
- Ukląkł na jednym kolanie, wziął Victorie za rękę i wyjął z kieszeni puzderko, które od dwóch tygodni nosił przy sobie. Otworzył je, aby ujawnić najwspanialszy opał, jaki zdołał znaleźć. Był przepiękny -jarzył się czerwonym i zielonkawym ogniem, lśnił i migotał jak coś żywego. Brandonowi od razu skojarzył się on z Victoria. Pasował do niej bardziej niż brylant.
- Czy zechcesz wyjść za bezrobotnego urzędnika federal-

nego, mającego blizny po oparzeniach i trudny charakter? Będziesz mnie zawsze kochać, dzielić ze mną dom i syna? Czy jeszcze kiedyś przygotujesz mi śniadanie, odziana tylko w fartuszek?

- Tak.

Wsunął pierścionek na jej palec i ścisnął jej dłoń w swojej.

- Ja nigdy nie przestanę cię kochać. Dam ci siebie całego - moje serce i duszę, moje nadzieje i rozterki. Ofiaruję ci cały mój czas i uwagę, a jeśli kiedykolwiek zamknę się w sobie, to mam nadzieję, że potężnym kopniakiem przywołasz mnie do porządku. Kocham cię, Victorio, i pragnę twojego szczęścia.

- Tak - powtórzyła, a po jej policzkach spływały łzy.

Wstał i wziął ją w ramiona. Nie mogło go spotkać nic lepszego i bardziej słodkiego. Pomyślał o Julii i o Maksie. A także o zgorzkniałej matce, która nigdy nie nauczyła się, że przeszłość należy zostawić za sobą. On już o tym wiedział. Już to uczynił. Stał się takim mężczyzną, jakim zawsze chciał być.

- Uczyniłaś ze mnie nowego człowieka - szepnął. – Dzięki tobie urodziłem się po raz drugi.